

Jerzy EdziŃcy



ISKRY



**najgorszy jest**

**PONIEDZIAŁEK**



**TEGOŻ AUTORA:**

CZEK DLA BIAŁEGO GANGU  
MISTER MacARECK I JEHO BUSINESS  
TRZY PŁASKIE KLUCZE  
WAGON POCYTOWY GM. 1981  
SPRAWA MITECKIEGO  
UMIĘSZE JAK MOCZYNA  
BABA-JAGA GUHI TROP  
SENKLET DRE PALCOW  
STRZELA Z KAMU  
KLEBIKA ODRODZI

PIĘĆ KONTAKTOWYCH KONTAKTOWYCH  
PRAWOŚCI NA STRASZLIWYM  
KONTAKTOWY W KONTAKTOWYM  
KONTAKTOWY W KONTAKTOWYM  
KONTAKTOWY NA KONTAKTOWYM KONTAKTOWYM  
KONTAKTOWY Z KONTAKTOWYM  
KONTAKTOWY W KONTAKTOWYM  
KONTAKTOWY KONTAKTOWYM  
KONTAKTOWY - KONTAKTOWY - KONTAKTOWY  
KONTAKTOWY KONTAKTOWYM  
KONTAKTOWY KONTAKTOWYM KONTAKTOWYM  
KONTAKTOWY KONTAKTOWYM KONTAKTOWYM

1981

**1981**

# Jerzy Edigey

## Najgorszy jest poniedziałek



ISKRY • WARSZAWA • 1975

Okładkę projektował  
Mieczysław Kowalczyk

Redaktor:

Danuta Łukawska

Redaktor techniczny:

Barbara Muszyńska

Korektor:

Jolanta Rososińska

PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”.

Warszawa 1975 r.

Wydanie I.

Nakład 100.000 + 275 egz.

Ark, wyd. 8.5. Ark. druk. 12,5.

Papier druk. sat. kl. VII 65 g. 75 cm. rotacja.

Druk ukończono w sierpniu 1975 r.

„Dom Słowa Polskiego”.

Zam. nr 9721. B-60.

Cena zł 22.—

Chciałbym zaznaczyć, że zarówno treść książki, jak i wszystkie występujące w niej osoby są tylko fikcją wymyśloną przez autora. Wszelkie podobieństwo postaci do opisanych tu wydarzeń do faktów, które mogły mieć miejsce w rzeczywistości, jest przypadkowe, a jeśli naprawdę istnieje, tym gorzej dla faktów.

Jerzy Edigey

## Rozdział I

### Zły dzień mecenasa

Najgorszy jest poniedziałek. A zwłaszcza we wrześniu, kiedy Warszawa kipi ruchem i gwarem setek tysięcy tych, którzy właśnie wrócili z wakacji i z czasów. Ludzie odraabiają zaległości letnich miesięcy. Dokonują zakupów, załatwiają najrozmaitsze sprawy. Także i takie, gdzie potrzebna jest pomoc adwokata.

Toteż długi i szeroki korytarz, spełniający w sto czwartym zespole adwokackim rolę poczekalni, był w ten poniedziałek pełen klientów. Zabrakło nawet krzeseł i woźny, pan Franciszek, musiał je przynosić z pokoiów adwokackich. Prawdę mówiąc, nie były to pokoje, tylko niewielkie boksy powstałe w ten sposób, że dużą salę podzielono drewnianymi ściankami na przechodzący środkiem korytarzyk i ciągnące się po jego obu stronach niewielkie pomieszczenia; starczało tam miejsca na małe biurczko i najwyżej trzy krzesła. Ściany nie sięgały sufitu, boksy nie miały drzwi, nic więc dziwnego, że w zespole huczało jak w ulu, z którego mają wyroić się pszczoły.

W ostatnim na prawo boksie siedział za biurkiem mężczyzna krępej budowy, o twarzy opalanej raczej na czerwono niż na brąz, siwej czuprynie i młodych, niebieskich oczach.

Wyglądał na pięćdziesiąt lat, chociaż przyjaciele wiedzieli, że adwokatowi Mieczysławowi Ruszyńskiemu stuknęła już sześćdziesiątka.

Dzisiaj Miecio, jak go nazywali znajomi, był w fatalnym humorze. W ogóle nie znosił wrześnie z jego kipiącym ulicznym ruchem i przepełnionymi sklepami, lokalami, a nawet poczekalniami adwokackimi. Nie lubił też poniedziałków, które uważał za najgorszy dzień tygodnia.

A ten poniedziałek był najgorszy z najgorszych. Przed adwokatem stała na wpół napełniona szklanka i już pusty syfon. Woda niewiele jednak pomagała. W głowie Miecicia co najmniej tysiąc diabelskich kowali waliło młotami w kowadła, a w gardle ciągle sucho. Jeszcze nieznośniejsze było samopoczucie.

Kto jak kto, ale żeby on, Mieczysław Ruszyński, dał się przerobić jakiemuś Szwedowi? To wprost niepojęte. Od początku zresztą postępował nie jak mężczyzna, który, jak to się mówi, „z niejednego pieca chleb jadał”, tylko jak młokos, idący na swoją pierwszą randkę.

A było to tak. Miecio słynął w szerokich kołach stołecznego highlife'u jako wybitny znawca nie tylko kodeksu cywilnego i karnego, lecz również płci pięknej. I właśnie w ubiegłym tygodniu poderwał ślicznego kota. Zgrabna, wysoka prawie jak on i o rudych — może nawet naturalnych — włosach? — „Rude” były słabą stroną Miecicia.

Zamiast dziewczynę wywieźć od razu w niedzielę gdzieś za miasto swoim samochodem, choćby do słynnej z pstrągów knajpki w Olsztyнку, a później wstąpić na paschę do kawiarni w zamku w Niedzicy, gdzie w razie pomyślnego rozwoju wypadków można przenocować w zamkowym hotelu, Miecio umówił się ze swoją rudowłosą pięknoscią dopiero w południe. „Dumny i błądy” z nowej zdobycy, nie miał już,

lepszego pomysłu, jak zaprowadzić dziewczynę do „Grand-Hotelu” na obiad. Tutaj sprytnie dziewczę, grające pierwszą naiwną — jak teraz mądry po szkodzie przypuszczał — zauważyło z niewinną miną, że jeszcze nigdy w życiu nie piło koktajlu. Więc Ruszyński rycersko zaprowadził swojego kota do małego barku. Tam już siedział jakiś Szwed. Bardzo miły i przyjacielski.

Tak się zaczęło. Jeden, drugi koktajl, później obiad przy wspólnym stoliku. Szwed był spragniony jak gąbka, przynajmniej dziesięć lat nie stykająca się z wodą. Z miejsca też narzucił ostre tempo. A poza tym mieszał trunki. Najgorszy był chyba ten „benedyktyn”, który obaj panowie pili już po kawie, zakąszając kufelkiem piwa. A potem znowu przyszły jakieś koniaki. Szwed zapłacił bajoński rachunek, ale dopiął swego...

Ostatni obrazek, jaki Miecio zapamiętał przed „przerwą w życiorysie”, to była szeroko uśmiechnięta gęba Szweda, ostrożnie pakującego swojego nowego przyjaciela do taksówki. A dziewczynę naturalnie, mecenas był pewien, że od początku tamtemu o to chodziło, Szwed poholował jak swoją do pokoju na górze.

Tak się dać przerobić! — Miecio, rozmyślając nad wydarzeniami ubiegłej niedzieli, aż się złapał za głowę. — Ci Szwedzi to cholerny naród. Nie dość, że kiedyś oblegali Częstochowę, dzisiaj podrywają nam dziewczyny. I skąd taki mocny łeb? A forsy miał jak lodu. To powinno być zabronione ustawowo...

Adwokata Ruszyńskiego znano w zespole z tego, że nie rozpieszcza klientów. Potrafił przerywać ich wywody w pół słowa i mówiąc, że już wszystko rozumie, po prostu wyprasać z „gabinetu”. Tak szumnie bowiem nazywał adwokackie klitki stary woźny Franciszek.



Tego dnia mecenas pobił jednak wszystkie rekordy. Żaden z interesantów nie zabawił u niego dłużej nad trzy minuty. Najszczęśliwsi byli ci, których zegnał słowami: „Niech pan przyjdzie w środę, teraz jestem zajęty” — i pozwalał wpłacić zaliczkę do kasy zespołu.

Pomimo to Ruszyński uznał, że dłużej nie wytrzyma w tym rojnym i gwarnym kotle, jakim bywał w pierwszy dzień tygodnia zespół adwokacki. Postanowił pójść do Łazienek i tam posiedzieć z godzinkę w kawiarni na świeżym powietrzu. Może ten huczący ból głowy choć na chwilę przejdzie albo przynajmniej trochę się zmniejszy?

Szybko chował leżące na biurku akta. Dopił resztkę wody ze szklanki i już miał wstać z fotela, kiedy do boksu zajrzał woźny.

— Panie Franciszku — wyjaśnił Ruszyński — wychodzę. Gdyby do mnie ktoś przyszedł lub telefonował, będę jak zwykle w środę.

— Kiedy, panie mecenasie, w poczekalni jest jeszcze jedna pani do pana mecenasa.

— Niech ją diabli wezmą!

— Czeka pół godziny...

— Niech przyjdzie w środę.

— Ja jej tłumaczyłem, że pan mecenas dzisiaj bardzo zajęty, ale ona, uparła się. Co miałem z nią robić?

— W środę — adwokat zamknął na klucz szuflady biurka.

— Panie mecenasie, to śliczna dziewczyna. Taka, jak pan mecenas lubi. Ruda!

— Klientka jest tylko klientką — oburzył się Ruszyński. — Powiedziałem w środę.

— Ja wiem, dla pana mecenasa klient rzecz święta. Ale niech ją pan przyjmie.

— Ja się zabiję — jęknął Miecio zbolalym głosem — albo Franciszka zamorduję. Każdy sąd mnie uniewinni.

Woźny wiedział już, że wygrał, ale nadal dyplomatyzował.

— Ta dziewczyna jeszcze z dziesięć minut poczeka. A ja panu mecenasowi przyniosę nowy syfon i aspirynkę. Aspirynka dobrze robi na takie przemęczenie. Pan mecenas musiał się wczoraj trochę przeziębici. Ta pogoda wrześnieowa jest taka zwodna.

— Właśnie! Chyba się przeziębilem. Ale dlaczego Franciszkowi tak zależy, żebym przyjął tę panią?

— Żal mi jej. Ona, panie mecenasie, tak wygląda, jak by miała za chwilę się rozplakać albo, broń Boże, z szóstego piętra skoczyć na bruk.

— One wszystkie tak wyglądają. A później z byle Szwedem... — tu Miecio nagle uciął, aby nie powiedzieć zbyt wiele.

— Ta pani naprawdę ma bardzo smutne oczy. Ją spotkało chyba jakieś wielkie nieszczęście. Znam się trochę na ludziach przychodzących do naszej kancelarii.

— Pewnie się z mężem pokłóciła i chciałaby w trzy dni rozwód dostać.

— To bardzo ładna pani i bardzo nieszczęśliwa.

— Co mi tu Franciszek ciągle wychodzi z tym „ładna, ładna”. Guzik mnie obchodzi uroda klientki.

— Ja wiem, panie mecenasie, że zawsze lepiej mieć do czynienia z miłą twarzą niż z taką, jak ta Rozbicka, która nas nachodzi dwa razy w tygodniu.

— Jezus, Maria! — przestraszył się Ruszyński. — Jeszcze mi dzisiaj tylko tej czarownicy brakowało.

— Nie przyjdzie. Telefonowała, ale powiedziałem jej, że

pan mecenas ma sprawę w Sądzie Najwyższym i nie wróci do zespołu — pochwalił się woźny. — Obiecała, że nas odwiedzi w piątek.

— Czego chce ta baba? Przecież zakończyłem jej sprawy. Wszystko uregulowane.

— Mówiła mi przez telefon, że ktoś tam umarł i dostała duży spadek.

— Takiej to dobrze — Miecio westchnął. — Ona będzie miała forszę, a ja i sądy będziemy się z nią męczyli. Sędzia Maciąg mi groził, że jak ją ponownie zobaczy, oknem wy-skoczy.

— To pan mecenas przyjmie tę panią? Żeby i ona nie zrobiła nam takiego kawału.

— Co ja z wami mam! — jęknął adwokat. — No, dawaj ją pan. Ale najpierw trochę wody. Może być zwykła, byle zimna.

— Dla pana mecenasa schowałem syfonik w lodówce. Zaraz przyniosę. A także i dwie aspirynki... — Franciszek szybko znikł, aby adwokat nie zdążył zmienić decyzji.

Po paru minutach w progu stanęła „protegowana” woźnego.

Miecio musiał przyznać, że Franciszek nie kłamał. Słowo „ładna” zbyt słabo określało jej urodę. Śmiało można ją było nazwać piękną. Miecio ocenił jej wiek na dwadzieścia pięć, najwyżej trzydzieści lat. Zgrabna. O regularnych rysach twarzy, ładnym wykroju warg i prostym nosku. Ale największą ozdobą tej kobiety były włosy. W kolorze starego złota z dodatkiem miedzi, jakiego się nie osiąga za pomocą „Igotinu” czy innej — choćby najlepszej farby.

A oczy miała naprawdę przerażająco smutne. Urzekająco smutne. Woźny nie mylił się. Tę kobietę sprowadziło do zespołu adwokackiego wielkie zmartwienie. Może nawet tragedia?

Ruszyński podniósł się z krzesła. Kac i ból głowy nagle zniknęły. Klientkę witał adwokat, czujny na każde jej słowo i gest, gotowy służyć jej całą swoją wiedzą i doświadczeniem człowieka, który sam także w życiu dużo przeszedł.

— Jestem Ruszyński — powiedział wyciągając rękę. — Czym mogę pani służyć?

— Helena Kowalska.

— Proszę, niech pani siada — adwokat wskazał jej krzesło stojące naprzeciwko biurka.

Kobieta usiadła. Milczała. Ruszyński nie przerywał jej milczenia. Cisza panująca w boksie dziwnie kontrastowała ze szmerem rozmów prowadzonych w innych pomieszczeniach zespołu adwokackiego. Wreszcie przerwała ją klientka. Złożyła ręce jak do modlitwy.

— Panie mecenasie — powiedziała — niech pan ratuje mnie i moje dziecko.

To mówiąc, wybuchnęła płaczem.

## Rozdział II

### Nikt nic nie wie

Adwokat zerwał się z miejsca. Szybko napełnił szklanę wodą i podsunął ją płaczącej kobiecie.

— Proszę, niech się pani uspokoi. Na pewno poradzimy coś w tej sprawie.

Helena Kowalska upiła łyk. Z wolna opanowała się. Wytarła oczy chusteczką, a nawet próbowała, co zresztą niezbyt

się udało, uśmiechnąć się.

— Bardzo pana mecenasa przepraszam za moje zachowanie, ale naprawdę spotkało mnie straszne nieszczęście. Moje dziecko, czteroletni synek, Januszek, zaginął.

— Jak to: zaginął?

— Stał przed supersamem i później już nikt go nie widział. Nikt nic nie wie i nikt nie chce mi pomóc.

Kobieta bliska była nowego wybuchu płaczu. Żeby do tego nie dopuścić, Ruszyński szybko zadał pytanie:

— Kiedy to się stało?

— We wtorek, ósmego czerwca. Około jedenastej rano.

— Na Puławskiej? Przed supersamem?

— Nie. Na Solcu. Tam też jest duży pawilon samoobsługowy. Wprawdzie mniejszy od tego przy Puławskiej, ale wszyscy na Powiślu nazywają go „supersamem”.

— To było przed przeszło trzema miesiącami — zdziwił się adwokat. — Chyba szukała pani dziecka? Dała pani znać milicji?

— Tego samego dnia. Zawiadomiłam naszą komendę dzielnicową. Początkowo zajęli się tym bardzo energicznie. Nawet były komunikaty w radio i w telewizji. Wszystko na próżno. Nie znaleziono najmniejszego śladu. A dzisiaj rano otrzymałam to przez pocztę...

Kobieta sięgnęła do torebki. Mecenas doskonale wiedział, co mu klientka za chwilę pokaże: urzędowe zawiadomienie o umorzeniu śledztwa.

— Kiedy dostałam ten papier, myślałam, że mi serce pęknie. Albo że najlepiej będzie od razu z szóstego piętra skoczyć na bruk. Wtedy jeden z kolegów opowiedział mi o panu. Jakie pan mecenas zawiąłane sprawy rozwiązuje i jak pan bardzo ludziom pomaga.

— No — przyznał adwokat — coś niecoś w życiu się zrobiło... — Fałszywa skromność nie była wadą Miecia.

— Pomyślałam wtedy, że w panu mecenasie mój jedyny ratunek. Jeśli pan mi nie pomoże, nie ma dla mnie już życia.

— Na pewno pomogę — potwierdził adwokat. Naprawdę zrobiło mu się żal młodej kobiety. Takiej ładnej i takiej zrozpaczonej.

— Panie mecenasie — zapewniła żarliwie Kowalska — nie jestem bogata, ale nie ma sumy, której bym nie zapłaciła. Dam tyle, ile pan zażąda.

Sławny adwokat aż się zachnął. Najwidoczniej facet, który podał jej adres zespołu, musiał narobić jakichś głupich plotek.

— O wysokości honorarium będzie pani rozmawiała z kierownikiem zespołu — wyjaśnił zimno. — Najpierw muszę dokładnie poznać całą sprawę i wtedy zastanowimy, się, co można zrobić. Na odwrocie dokumentu, który pani przysłano, jest zaznaczone, że od tej decyzji przysługuje odwołanie.

— Ja nie chcę odwołania! Chcę, żeby znaleziono moje dziecko! Błagam pana mecenas, żeby pan wziął sprawę w swoje ręce — kobieta najwidoczniej zrozumiała, że przed chwilą strzeliła głupstwo. — Tyle o panu słyszałam. Mam bezgraniczne zaufanie do pana mecenas.

Miecio nie umiał oprzeć się czarowi pięknej pani, jej prośbom i... jej prawdziwej tragedii. Sam przecież miał córkę. Wprawdzie już dorosłą, doktora medycyny, ale czyż w uczuciach rodzicielskich wiek dziecka odgrywa rolę?

— Wobec tego niech mi pani wszystko od początku opowie — zadecydował.

— Mieszkam w nowych blokach przy ulicy Kruczkowskiego — zaczęła pani Kowalska. — Mam tam pokój z kuchnią. Niewielkie jak to w nowym domu, ale bardzo przyjemne mieszkanie. Dorobiłam się go dzięki pomocy mojego zakładu pracy. W tym samym domu otrzymał przydział także kolega z biura. Właściwie to mój zwierzchnik, bo wiceprezes naszej spółdzielni. Ma dwoje dzieci. Pięcioletnią córeczkę Krysę i rocznego synka Zygmunia. Żona pana Derkowskiego nie pracuje zawodowo, zajmuje się wychowaniem tej dwójki. Jestem bardzo zaprzyjaźniona zarówno z Krzysztofem, jak i z Jadwigą. Mój mały, chociaż to normalne, dobrze rozwinięte dziecko, kiedy chodził do przedszkola, stale na coś chorował. A to zapalenie oskrzeli, a to grypa. Nawet zapalenie ucha wewnętrznego nie ominęło go. Więc Jaga zaproponowała mi, żebym Januszka zabrała z przedszkola, a ona, opiekując się własnymi dziećmi, zajmie się także i moim synkiem. To mi rozwiązało ręce, bo ciągle brałam zwolnienia z pracy dla pielęgnowania malca. Poważnie się bałam, że mana u personalnego kreskę.

— Syn przestał chorować? — zapytał adwokat, aby przezwyciężyć ten przydługi monolog nie wnoszący niczego istotnego do sprawy.

— Jak ręką odjął. Wychodząc rano do pracy, odprowadzałam Januszka do Derkowskich, a wracając gdzieś około czwartej po południu, zabierałam go z powrotem. Tego dnia, nigdy nie zapomnę tej chwili, we wtorek ósmego czerwca, Jaga zatelefonowała do mnie do spółdzielni, że Januszek zniknął. Natychmiast przyjechałam. Sama szukałam wszędzie mojego dziecka. Bez skutku.

— Jak to się stało? Niech pani dokładnie opowie.

— Jak zwykle około jedenastej Jaga Derkowska zabrała dzieci na spacer. Zygmunia w wózku, Krysia i Januszek

szli obok. Pogoda była tego dnia nie za ładna, więc dzieci były dość ciepło ubrane. Januszek w granatowym ubranku i w czerwonym bereciku. Doszli ulicą Kruczkowskiego do alei Trzeciego Maja i alejami do rogu Solca. Tutaj na małym placyku znajduje się właśnie nasz powiślański supersam.

— Znam ten sklep.

— Jaga postawiła wózek z boku i zostawiła przy nim dzieci, sama zaś weszła do supersamu. Robiła tak prawie codziennie. Jak już kupowała produkty dla swojego domu, to i dla mnie... Krysia i Januszek wiedzieli, że nie wolno im oddalać się od wózka z małym dzieckiem, i zawsze cierpliwie czekali na powrót Jagi. A tego dnia, pierwszy raz, Krysia opuściła braciszka i Januszka. Weszła do sklepu, odszukała tam matkę i zaczęła prosić, żeby Jaga kupiła jej jakieś cukierki. Kiedy Derkowska wyszła z supersamu, wózek stał na swoim miejscu, Zygmus spał, lecz Januszka nie było. Szukając małego, obiegała całą okolicę. Na próżno. Zatelefonowała do mnie. Przyjechałam natychmiast. Szukałyśmy obie. Dopytywałyśmy się wszędzie. Nikt niczego nie zauważył. Po paru godzinach bezskutecznych poszukiwań zawiadomiłyśmy milicję. I ona dziecka nie odnalazła. Jak kamień w wodę...

— Wybacz pani, że będę może brutalny, ale sama pani użyła wyrażenia „jak kamień w wodę”. Tam do Wisły, blisko. Najwyżej sto metrów.

— Pan mecenas ma rację. Wisła tuż, tuż. Ale żeby do niej dojść, trzeba przejść przez bardzo uczęszczaną ulicę, Wybrzeże Kościuszkowskie, gdzie panuje wielki ruch samochodowy.



— Januszek na pewno nieraz tamtędy chodził ze swoją opiekunką na spacer.

— To prawda. Chodził. Ale nauczyłam dziecko, że nie wolno mu choćby tylko jedną nogą stanąć poza chodnikiem. Przechodził jezdnię trzymając za rękę osobę dorosłą. Na pewno więc i wtedy nie wbiegłby sam na jezdnię, nie zapuściłby się pod wiadukt i nie przeszedł drugiego pasa ulicy. To wykluczone! Obie pytałyśmy wędkarzy nad brzegiem rzeki, rozmawiałam też na pobliskiej przystani z obsługą statków pasażerskich... Nikt nie widział samotnie idącego dziecka, ubranego przecież tak znacznie, bo w czerwonym bereciku. Przyjmując najgorsze, gdyby Januszek nawet — Boże, broń — wpadł do Wisły, to ten beret płynąłby przecież z nurtem rzeki. Ludzi na wybrzeżu jest zawsze sporo. Wędkarze, spacerowicze, zakochane parki. Trudno przypuścić, żeby nikt niczego nie zauważył.

— A co zrobiła milicja?

— Oni także przypuszczali, że dziecko mogło nieostrożnie podejść zbyt blisko brzegu i wpaść do wody. Pilotowali rzekę motorówkami, ciągnęli sieci, nawet sprowadzili dwóch pletwonurków, którzy szukali na dnie Wisły. Nie znaleźli. Na szczęście! Ja wiem, że Januszek żyje. On został porwany.

Cóż adwokat mógł odpowiedzieć matce, która nie chciała uwierzyć w śmierć jedyne dziecko?

— Sądząc z okoliczności, które mi pani opowiedziała, rzeczywiście synek mógł zostać porwany.

— On żyje. Jestem tego najzupełniej pewna. Nie dalej jak trzy dni temu śnił mi się. Wyciągał do mnie rączki i prosił: „Mamo, zabierz mnie stąd”.

Ruszyński taktownie nie zabierał głosu, zaś klientka ciągnęła dalej:

— Milicja jest przekonana, że Januszek utopił się. Jakiś kapitan z komendy dzielnicowej wręcz mi to powiedział. A ja wiem, że mi synka ukradli...

— Domyśla się pani, kto to mógł zrobić?

— Pojęcia nie mam. W Ameryce porywają dzieci dla okupu.

— Sama pani powiedziała przed chwilą, że nie jest pani bogata. Takie porwanie opłaca się przestępcy jedynie wówczas, kiedy może liczyć na naprawdę grube pieniądze w zamian za oddanie dziecka. Inaczej ryzyko jest zbyt wielkie. Prawo bardzo surowo karze kidnaping. Zresztą do tej pory, w ciągu przeszło trzech miesięcy, porywacze już by wystąpili ze swoimi żadaniami.

— Może Cyganie? — podsunęła zrozpaczona matka. — Zawsze słyszałam, że oni kradną małe dzieci, podchowają je i później każą im żebrać.

Ruszyński uśmiechnął się.

— Może tak bywało dawniej. Ale to chyba raczej legendy. Dziś, w 1973 roku, zupełnie wykluczone.

— Może jakieś bezdzietne małżeństwo?

— To już bardziej prawdopodobne — zgodził się adwokat — ale nie ma żadnych przeszkód, aby takie małżeństwo adoptowało sierotę z Dorna Dziecka.

— Januszek wszystkim się bardzo podobał. To bardzo grzeczne, ładne i nad wiek mądre dziecko.

— Pani powiedziała, że mieszka sama, tylko z synkiem — adwokat dyplomatycznie zmienił temat rozmowy. Obawiał się, że pani Kowalska będzie się długo rozwodziła nad zaletaniami synka.

— Tak. Tylko we dwójkę.

— A pani stan cywilny?

Złotoruda piękność po raz pierwszy roześmiała się.

— Pan mecenas wziął mnie za pannę z dzieckiem?

— Nie widzę w tym niczego złego. — zastrzegł się szybko adwokat — kobiet jest przecież więcej niż mężczyzn. Cóż więc dziwnego, że są takie, które chcą doświadczyć radości macierzyństwa nie zważając na głupie przesady?

— Nie jestem jedną z nich. Sama zresztą nie wiem, czy jestem wdową, czy też rozwódką?

— Nie rozumiem... — przyznał szczerze Ruszyński.

— Banalna historia. Wyszłam za męża. Po paru latach rozstaliśmy się. Przeprowadziliśmy formalny rozwód. Niedługo potem mój były mąż zmarł. Zostałam rozwiedzioną wdową albo, jak pan woli, owdowiałą rozwódką.

— Tylko rozwódką — adwokat był w sprawach prawnych zawsze bardzo ścisły. — Śmierć byłego męża nie zmienia stanu cywilnego rozwiedzionej z nim żony. To by miało znaczenie wyłącznie w prawie kanonicznym. Gdyby pani drugi raz wychodziła za męża, mogłaby pani brać ślub także i w kościele, czego nie wolno rozwodzącym się.

— Nie mam zamiaru po raz drugi popełnić tego samego głupstwa.

— Może opowie mi pani trochę szerzej o waszym małżeństwie — zaproponował Ruszyński. — Podejmując się prowadzenia takiej sprawy, muszę być zorientowany we wszystkich szczegółach, jakie mogłyby mieć związek z zaginięciem małego Januszka.

— To są moje prywatne przeżycia — broniła się klientkę — zresztą przykre dla mnie. Wolałabym do nich nigdy nie wracać. Jaki mogą mieć związek z tym, co stało się ósmego czerwca?

— Przypuszczalnie żaden. Ale musimy szukać wszędzie.

— Jeśli pan mecenas tak uważa... — zgodziła się Kowalska. — Pochodzę z Puław. Mój ojciec jest listonoszem. Mam czworo rodzeństwa. Sam pan rozumie, że w domu nie przelewało się, a jednak rodzice zadbali, żeby każde z nas otrzymało przynajmniej średnie wykształcenie. Po maturze zdałam na Politechnikę Warszawską i tu śmiertelnie się zakochałam w koledze z wydziału. Był ode mnie rok wyżej. Moi rodzice niezbyt chętnie przyjęli wiadomość, że córka postanowiła wyjść za mąż jeszcze na studiach, jednakże nie protestowali. Natomiast matka mojego chłopca, bo jego ojciec już nie żył, szalała wprost ze złości. Nigdy zresztą nie przebaczyła mi, że „uwiodłam” jej syna.

— Skąd pochodzi pani mąż?

— Z Krakowa. Ale tam nie dostał się na politechnikę. Z większym szczęściem spróbował w stolicy. Z tego, co opowiadała teściowa, jej mąż był jakimś wysokim urzędnikiem w byłym cesarstwie austriackim. Podobno nawet radcą stanu. Karol był jedynakiem. Ukochanym dzieckiem i miał też „najdroższą mamusię”...

Adwokat ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Imię „Karol” nie zdarza się często wśród dzisiejszych studentów. Czy mąż był znacznie od pani starszy? — zapytał.

— Nie. Zaledwie o trzy lata. Nazwano go Karolem, bo właśnie ten ostatni cesarz nieboszczki monarchii austriackiej nadał mojemu teściowi jakiś order. Do tej pory wisi on na honorowym miejscu w mieszkaniu przy Łobzowskiej. Teściowa stale powtarzała, jakie to wielkie wyróżnienie mnie

spotkało i jaki wielki mezalians popełnił syn „rzeczywistego tajnego radcy dworu” żeniąc się z listonoszówną.

— Zdarzają się takie mamy.

— Bogiem a prawdą, kariery wielkiej nie zrobiłam. Karol, podobnie jak i ja, nie mógł liczyć na żadną pomoc z domu. Jego matka pobierała niewielką emeryturkę i trochę dorabiała jako chałupniczka. Wprawdzie mieszkanie miała załadowane najrozmaitszymi antykami, niektóre nawet znacznej wartości, widziałam tam także kilka dobrych obrazów, ale nie było mowy, aby coś z tego ruszyć i sprzedać. Na moje nieśmiałe propozycje, aby któryś z tych przedmiotów wymienić na pieniądze, usłyszałam, że „Karolek to wszystko dostanie po mojej śmierci”. Podejrzywałam, że teściowa ma również jakąś cenną biżuterię, ale nigdy mi jej nie pokazywała. Starsza pani była chorobliwie skąpa, a synowi, który się ożenił bez jej pozwolenia, ani myślała pomagać.

— Więc jak dawaliście sobie radę?

— On mieszkał w swoim akademiku, ja w moim. On miał stypendium, ja także. Tak przemęczyliśmy się prawie dwa lata. Miałam tego dosyć. Postanowiliśmy oboje z Karolem, że przerwę studia i znajdę jakąś posadę. Kiedy on już skończy politechnikę i zacznie zarabiać, wtedy przyjdzie kolej na mój dyplom. Taka dżentelmeńska umowa dwojga zakochanych ludzi.

— Z której nic nie wyszło? — domyślił się adwokat.

— Z której później nic nie wyszło. Ale początkowo byłam bardzo szczęśliwa. Udało nam się nawet tanio, bo za siedemset złotych miesięcznie, wynająć ładny pokoik na Marymoncie. Znalazłam posadę w spółdzielni pracy i szybko awansowałam. Wkrótce zarabiałam prawie trzy tysiące

miesięcznie. To była fortuna w porównaniu z naszą poprzednią egzystencją.

— A potem przyszło dziecko?

— Kiedy Karol był na ostatnim roku politechniki, zaszłam w ciążę. Mąż uznał to za mój życiowy błąd, żądał, abym się „pozbyła kłopotu”. Nawet zaalarmowana przez Karola teściowa pośpieszyła tym razem z pomocą i przysłała dwa tysiące złotych. Nie planowaliśmy powiększenia rodziny. Odkładaliśmy to na potem, po ukończeniu i moich studiów, Kiedy jednak stało się, bardzo pragnęłam tego dziecka. Nie zgodziłam się na usunięcie ciąży. Wtedy w domu powstało istne piekło. Może zresztą już przedtem zaczęło się coś psuć między nami? Tylko ja, głupia i zakochana, kładłam wszystko na karb ciężkich studiów męża finiszującego ze swoim dyplomem. Teściowa też stale intrygowała przeciwko mnie. A wiadomo, kropla po kropli draży skały, a cóż dopiero męską miłość.

— Zgodziła się pani na rozwód?

— Cóż miałam robić? Nie ja jedna, mając do wyboru: mąż czy dziecko, wybrałam dziecko. Karol, a zwłaszcza jego matka szantażowali mnie, iż w sądzie podniosą zarzut, że dziecko nie jest jego.

— Tego nie mogli zrobić.

— Być może. Nie orientowałam się. Bałam się skandalu. Byłam wtedy młodsza i dużo, dużo głupsza. Rozumiałam jednak, że ze szczęściem jest jak z kruchą szklanką. Kiedy się stłucze, niepodobna jej skleić. Zgodziłam się na wszystko. W sądzie ukryłam, że jestem w ciąży. Karol właśnie skończył studia i wrócił do Krakowa, do mamusi. Wspaniałomyślnie zobowiązał się przesyłać na dziecko tysiąc złotych

miesięcznie. Nigdy jednak nie zainteresował się na tyle swoim synem, żeby go chociaż raz zobaczyć.

— Pani teściowa musiała triumfować?

— Wyobrażani sobie. Ja, mimo trudności, jakoś dałam sobie radę. Zdobyłam mieszkanie spółdzielcze z puli pracowników zakładu i za namową prezesa naszej spółdzielni pracy rozpoczęłam studia wieczorowe na politechnice. Zaliczono mi dwa lata. Gdyby nie przerwa w nauce, za rok byłabym inżynierem, a tak musiałam zaczynać prawie od początku. Ale nigdy, nawet w najcięższych momentach, nie żałowałam swojej decyzji. Odzyskałam równowagę ducha i spokój. I nagle ten straszny cios...

— Pani były małżonek płacił alimenty? — adwokat znowu szybko zmienił temat.

— To trzeba Karolowi przyznać, że bardzo akuratnie przesyłał mi pieniądze zaraz po pierwszym. Poza tym nie kontaktował się ze mną. Jedyne raz otrzymałam od niego krótki list. Ale i w nim nie było o dziecku ani słowa... Przesyłał mi pozdrowienia, pytał, czy wysłałam drugi raz za męża. Wspominał też, że z jego zdrowiem jest niedobrze. Chyba w trzy miesiące później teściowa napisała do mnie, że jej syn nie żyje. Gdybym była wierząca — piękna pani uśmiechnęła się smutnie — powiedziałabym, że Pan Bóg skarał Karola za to, że się wyrzekł własnego dziecka.

— Wracając do dnia zniknięcia Januszka — adwokat już dawno zapomniał o swoim złym samopoczuciu i wcale nie próbował pozbyć się siedzącej naprzeciwko niego klientki — co mówiła córeczka tej pani znajomej?

— Krysia? Dziewczynka była okropnie wystraszona. Do stało się jej od matki za nieposłuszeństwo. Rozmawiała z nią również pani psycholog przysłana przez milicję. Ale nic z

dziecka nie udało się wydobyć. Mała powtarzała w kółko, że poszła do supersamu, do mamusi, żeby poprosić o kupienie cukierka. A Januszek został przy wózku, przy Zygmsiu. Na pewno zresztą tak było, jak Krysia opowiadała.

— Więc co się później mogło stać?

— Ktoś musiał podejść i porwać mi dziecko. Wystarczyło wyskoczyć z samochodu, wziąć Januszka na ręce, wrócić z powrotem do wozu i natychmiast odjechać.

— To nie takie proste — zauważył adwokat. — Synek pani miał już cztery lata, a jak pani wspomniała, był bardzo rozwinięty. Przecież narobiłby alarmu. Pamiętam, że obok pawilonu stoi budka z owocami. Sprzedawca musiałby coś zauważyć czy usłyszeć.

— Budka była wtedy zamknięta.

— Przed takim dużym sklepem panuje zawsze spory ruch. Chyba nawet jest tam przystanek autobusów. Ludzie by coś widzieli.

— Przystanek jest na Solcu, blisko głównego wejścia do supersamu — tłumaczyła biedna matka. — Ale od alei Trzeciego Maja jest drugie wejście, do hali samoobsługowej i do działu mięsnego. Wózek z Zygmsiem stał właśnie z tamtej strony. A tam prawie nie ma ruchu. Wszyscy kupujący wchodzi do sklepu od strony Solca. Łatwo można było porwać dziecko albo je w jakiś sposób zwabić do samochodu. Januszek, jak każdy chłopiec w jego wieku, bardzo lubił jeździć autobusem, a zwłaszcza taksówką.

— Tak — zgodził się Ruszyński. — Jeśli dziecko zostało uprowadzone, to raczej namówiono je, aby wsiadło do samochodu.

— Na pewno uprowadzono.



Adwokat zorientował się, że do matki nie przemówią żadne argumenty. Toteż chociaż sceptycznie zapatrywał się na możliwość kidnapingu w samym sercu Warszawy, wolał nie dyskutować na ten temat z panią Kowalską. Zapytał jedynie:

— A komunikaty ogłoszone w prasie, radiu i telewizji nie przyniosły żadnego echa?

— Było sporo zgłoszeń. Milicja je sprawdzała. Wszystkie okazały się albo nieludzkim żartem, albo zwykłą pomyłką. Obawiam się zresztą, że milicja po pierwszych energicznych poszukiwaniach poszła po linii najmniejszego oporu i przyjęła za pewnik, że Januszek utopił się w Wiśle.

— Żeby nie było na przyszłość podobnych obaw — Miecio postanowił uspokoić piękną klientkę — kiedy tylko go odnajdziemy, zaprowadzę chłopca do znajomej instruktorki pływania, która specjalizuje się w uczeniu takich malców. Czyba mi pani na to pozwoli?

— O tak! — twarz kobiety rozjaśnił uśmiech. — Nie omyliłam się. Wierzyłam, że pan mecenas zgodzi się zająć tą sprawą

— My, adwokaci, jesteśmy po to, aby ludziom pomagać. Ma się trochę znajomości. Także i w milicji. Jutro pogadam z pewnym pułkownikiem. To mój stary przyjaciel i bardzo porządne chłopisko. Jak się to mówi „ludzki człowiek”. I sądzę, że uda się coś zrobić.

— Oo, panie mecenasie! Jak ja się panu odwdzięczę?

Złotoruda tak spojrzała na adwokata, że Miecia aż ciarki przeszły.

— No i co? — zapytał Franciszek, kiedy klientka opuściła lokal zespołu adwokackiego. — Lepiej się pan mecenas

czuje? Od razu to widzę po oczach. A dziewczyna ładna, nie? Dużo ładniejsza niż ta ostatnia, co to...

— Ale mnie Franciszek wrobił w sprawę — Ruszyński szybko przerwał wynurzenia woźnego. — Rodzonemu wrogowi takiej bym nie życzył. — Jednym ruchem wrzucił do szuflady resztę przedmiotów znajdujących się na biurku i opuścił lokal zespołu.

Franciszek uśmiechnął się. Znał dobrze mecenasa Miecia, wiedział, że jeżeli adwokat tak narzeka, to sprawa naprawdę go zainteresowała.

## Rozdział III

### Pierwsze kroki

Naczelnik jednego z wydziałów w Komendzie Stołecznej MO, pułkownik Adam Niemiroch zaraz po wyjściu z jego gabinetu adwokata Mieczysława Ruszyńskiego huknął przez drzwi do sekretarki, panny Krysi:

— Proszę wezwać majora Kaczanowskiego!

Kiedy Janusz Kaczanowski wszedł do pokoju „starego”, ten powitał go:

— Siadaj, Januszku — obaj oficerowie MO od lat byli wielkimi przyjaciółmi. — Miałem wizytę mecenasa Ruszyńskiego. Rozmawialiśmy całą godzinę.

— Czego chciał ten siwowłosy playboy?

— Może i playboy, ale bardzo miły. Musisz to przyznać.

— Widziałem go bodaj w niedzielę. Z jakimś rudym kotem. Dziewczyna nie miała chyba dwudziestu lat, a jemu przecież sześćdziesiątka już stuknęła. Holował ją do „Grandu”.

— Ona dwadzieścia, on sześćdziesiąt to średnio czterdziestka. Sama pełnia życia. A czy nie mówi się, że „życie zaczyna się po czterdziestce?” Najwidoczniej mecenas wyznaje tę zasadę. To jednak doskonały prawnik i bardzo dobry adwokat. Nieraz nam dopomógł.

— Tylko niepotrzebnie wtrąca się do naszego dochodzenia. Jak tak będzie wszędzie pakował swój nos, to mu go kiedy przytnę.

— Nie wiedziałem, że masz z nim na pieńku.

— Wcale nie, ale nie lubię, jak ktoś wyręcza nas na siłę.

— No wiesz... Dochodzenie milicyjne czy śledztwo prokuratorskie nie może być obojętne adwokatowi broniącemu swojego klienta. Nos Ruszyńskiego nieraz okazał się niezawodny i naprawdę szkoda byłoby, aby ktoś mu go przyciął. Właśnie i tym razem adwokat oddał nam sporą przysługę. Pod względem formalnym wszystko jest w porządku, ale tak biorąc zwyczajnie, po ludzku, w pewnej sprawie zrobiono dość niefortunny krok. Mecenas zwrócił mi na to uwagę i podzielam jego zdanie.

— W jakiej sprawie?

— Tak się dziwnie składa, że mówię właśnie o twoim imienniku, małym Januszku. Wiesz, to dziecko, które zginęło na Powiślu.

— Słyszałem o tej historii, bo narobiła wiele szumu. Dzielnica postawiła na nogi milicję w całej Polsce. Mały nazywał się bodaj Kowalski.

— Właśnie. Janusz Kowalski. Miał cztery lata.

— Sprawę trzeba jednak było w końcu umorzyć. Widziałem ją w ostatnim spisie. Nie ulega wątpliwości, że dzieciak

zawędrował nad Wisłę i wpadł do rzeki.

— Umorzenie było tym błędem, które nam wytknął mecenas Ruszyński.

— A co mieli robić? Nie było żadnego punktu zaczepienia. A że ciała nie odnaleziono? Nie wiesz, że co trzecia ofiara Wisły ginie bez śladu? Wtedy była duża woda.,

— Tak — zgodził się pułkownik. — Powtarzam, formalnie wszystko w porządku. A jednak umarżając sprawę nie pomyślano, że została matka. Samotna matka. To jej jedyne dziecka

— Nie znam szczegółów i nie wiem, czy można było coś więcej zrobić?

— Nawet jeśli nic, nie trzeba było umarżać jej oficjalnie tak szybko. Należało oszczędzić tego ciosu matce. I tak wszystkie umorzeniówki są co pewien czas systematycznie przeglądane. Tę sprawę warto było jeszcze trzymać zamkniętą. Czas łagodzi i goi najcięższe rany. Po cóż je rozdrapywać niezbyt przemyślanymi pociągnięciami. Zgodzisz się chyba ze mną? Lepiej dla tej matki, jeżeli może się jeszcze jakiś czas ludzić, że jej dziecko żyje, a milicja je szuka.

— Pewnie masz rację, ale... wybacz, to już nie rozumowanie oficera dochodzeniowego, tylko psychologa.

— Czasami musimy być i psychologami.

— Do czego zmierzasz?

— Znam w naszej komendzie oficera, który od dłuższego czasu nie ma nic do roboty. Poleciałem, aby jemu przekazano te akta. To wprawdzie patentowany leń, ale nie mogę zaprzeczyć, zdolna bestia. Niech przestudiuje dokładnie dokumenty i jeżeli znajdzie już nie tylko punkt zaczepienia, ale choćby jego cień, oficjalnie wznowimy dochodzenie. Prokuratura

podziela całkowicie moje zdanie.

— Gdzie ty widzisz u nas takiego oficera, który nie ma nic do roboty? — roześmiał się Kaczanowski. — Chciałbym go zobaczyć.

— Nic trudnego, Januszkule. Tam, w niszy, nad umywalnią wisi lustro. Pofatyguj się nieco, a spełnisz swoje marzenie.

— Ja???

— Major Janusz Kaczanowski.

— Bój się Boga! Wstydu nie masz. A na kogo ostatnio sam zwałeś aż siedem dochodzeń?

— Te dziecinnie łatwe sprawunki nazywasz „dochodzeniem”? No, wiesz!

— Od miesiąca nie udało mi się nigdy wyjść z tego gmachu wcześniej niż przed szóstą wieczorem — bronił się major.

— Dawno zauważyłem, że wpadła ci w oko ta Elżbietka. Ona teraz pracuje na drugą zmianę. Nie dziwię ci się, że zostajesz, dziewczyna naprawdę ładna. Sam byłem młody i rozumiem.

— Ludzie, trzymajcie mnie...

— Umówiłem się z mecenasem Ruszyńskim, że odwiedzi ciebie za dwa dni. Dobrego czasu przestudujesz akta. Razem coś uradzicie. Adwokat jednak twierdzi, że nie można z góry wykluczyć porwania dziecka.

— To rozkaz, obywatelu pułkownika?

— No, no, już się nastroszyłeś jak ten jeź na widok lisa. Orientuję się, podobnie jak ty, Januszkule, że to najprawdopodobniej niepotrzebna strata twojego czasu. Ale zrozum, tam jest matka. Matka!

Kaczanowski uśmiechnął się. Cała złość mu minęła.

— Masz, stary, rację — powiedział. — Zrobię wszystko,

co w mej mocy. A co do Ruszyńskiego, wprawdzie nie kocham tego krętacza, ale myślę, że nasza współpraca ułoży się pomyślnie. Przynajmniej z mojej strony.

— Z jego na pewno także. To mądry facet. Z dużym doświadczeniem życiowym.

Kiedy w dwa dni później do majora Kaczanowskiego zatelefonowano z dyżurki, że zgłosił się do niego adwokat Mieczysław Ruszyński, oficer MO wyszedł na spotkanie gościa.

— My się chyba znamy, panie majorze?

— Tak jest, mecenasie — obaj panowie uściśli sobie ręce. — Ale pan mecenas nie zawsze mnie zauważa.

— Co pan powie... Kiedy na przykład?

— Choćby w ostatnią, niedzielę. Kłaniałem się panu. Na Kruczej.

— Na Kruczej? — zdziwił się adwokat.

— Szedł mecenas z jakąś młodą panią. Zapewne z córeczką?

— Nie. Z bratanicą — spokojnie odpowiedział Miecio. — Bardzo pana majora przepraszam, ale ze mnie straszna gapa, jeżeli chodzi o poznawanie znajomych na ulicy. Dziewczyna umówiła się na randkę z pewnym Szwedem w „Grandzie”, a ja miałem grać rolę rodzinnej przyzwoitki.

— I sympatyczny ten Szwed?

— Bardzo! — gorąco zapewnił Miecio.

Tak sobie „gwarząc” mężczyźni doszli do pokoju majora. Tutaj, na biurku, leżała gruba teczka: sprawa małego Januszka Kowalskiego.

— Jak pan mecenas wie — zagaił Kaczanowski — z polecenia pułkownika Niemirocha dokładnie przestudiowałem dokumenty.

— Do jakich wniosków pan doszedł?  
— Niewesołych dla pańskiej klientki.  
— Obawiałem się tego — spokojnie przyznał adwokat.  
— Jeśli bez śladu ginie człowiek — ciągnął major — prowadzimy dochodzenie. Poszukuje się zaginionego mniej lub bardziej energicznie. Ostatecznie dorośli ludzie, będący w pełni władz fizycznych i umysłowych, mają prawo decydować o swoim losie czy o swoim otoczeniu. Byleby tylko nie popełnili żadnego przestępstwa. Bywają różne motywy takiego kroku.

— Sam nieraz miałem ochotę dać drapaką, aby zmienić środowisko — uśmiechnął się Ruszyński.

— Kiedy ginie dziecko, wtedy sprawy przybierają inny obrót. Wówczas cała milicja, jak to się mówi, staje na głowie, aby wyświetlić zagadkę. Jeśli chodzi o małego Kowalskiego, szukało go w Polsce przez te trzy miesiące parę tysięcy ludzi. Umieszczaliśmy komunikaty w radio, w prasie i telewizji. To dochodzenie, chociaż nie dało wyniku, zatoczyło ogromny krąg. Wszystko wskazuje na to, że dziecko utonęło w Wiśle.

— Urowadzenie wykluczacie?

— Technicznie byłoby ono możliwe, chociaż niezmiernie trudne. Biały dzień, ruchliwa ulica. Nie takie cuda jednak się zdarzały.

— Dziecko znajdowało się już za rogiem ulicy Solec.

— Wiem. Mamy w aktach szczegółowy plan sytuacyjny. Można było dziecko uprowadzić na Wybrzeże Kościuszkowskie lub choćby za filar mostu Poniatowskiego i stamtąd wywieźć dalej samochodem. Ale kto i w jakim celu miałby to zrobić?

— *It fecit, cui prodest* — Ruszyński zacytował swoją ulubioną, klasyczną rzymską formułę.

— Wiem. Ten popełnia przestępstwo, kto ma w tym swój interes. W tym właśnie cały sęk, że nie widać tu takiego człowieka. Znamy spory małżeńskie o dzieci i nieporozumienia na tym tle, rzeczywiście kończące się porwaniem. Ale tu nie było żadnego sporu! Ojciec dziecka nie żyje od paru lat. Na wszelki wypadek milicja krakowska sprawdziła, czy dziecko nie znajduje się u teściowej. Mało tego, dyskretnie sprawdzono, czy malec nie pojawił się u krewnych lub znajomych. Nie muszę panu dodawać, że i to nie dało wyniku.

— Może dziecko spodobało się jakiejś bezdzietnej parze małżeńskiej?

— Dlaczego właśnie to dziecko? Bez najmniejszego ryzyka mogli sobie wyszukać chłopca w najbliższym Domu Dziecka i usynowić jakiegoś malca. Nie zanotowaliśmy w Polsce takiego przypadku, aby bezdzietna para uprowadziła dziecko.

— Co nie znaczy, że to nie jest właśnie ten pierwszy.

— Dochodzenie nasze szło także i w tym kierunku.

— Może umarł jakiś chłopczyk, do którego mały Januszek był podobny? Zrozpaczeni rodzice zdecydowali się na porwanie?

— W aktach mamy spis wszystkich dzieci, mniej więcej w tym samym wieku, które zmarły w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Sprawdzono adres po adresie.

— Pani Kowalska wysuwała również hipotezę, że dziecko ukradli Cyganie.

— Nam też to sugerowała. Pan, mecenasie, sam dobrze wie, że kradzieże dzieci przez Cyganów należą do legend. Może miały uzasadnienie w dawnych wiekach, ale nie dzisiaj.



— W tak nietypowej sprawie niczego nie można wykluczyć.

— Słusznie — zgodził się major — dlatego też milicja przeprowadziła lustrację niektórych taborów cygańskich,

— Pomimo starannych poszukiwań zawsze istnieje możliwość ukrycia dziecka. Poza tym wielu Cyganów nie koczuje z taborami.

— W ten sposób można podważyć każde dochodzenie, które nie dało wyniku.

— Ta sprawa ma jeszcze inny aspekt.

— Wiem. Bardzo smutny i tragiczny. Matka straciła jedyne dziecko. Ta nieszczęśliwa kobieta nie chce się pogodzić z najprostszym i najbardziej logicznym wytłumaczeniem faktów. Być może, że każdy z nas na jej miejscu zachowywałby się tak samo.

— Musimy jej, majorze, jednak jakoś dopomóc.

— Z całego serca bym tego chciał. Już nie jako milicjant, ale jako człowiek. Doprawdy nie widzę jednak, w jaki sposób to zrobić? Wysłucham każdej rady, zastosuję się do każdego pańskiego projektu.

— Ja, niestety — smutnie przyznał Ruszyński — nie mam żadnej nowej hipotezy. Także działam bardziej jako człowiek i jako ojciec rozumiejący ból matki niż jako adwokat.

— Panie mecenasie — zaproponował oficer milicji — te akta nie kryją żadnych tajemnic. Nie potrzebujemy wstydzić się roboty, którą wykonaliśmy dla odnalezienia chłopca. Proszę, niech pan usiądzie przy moim biurku i przestudiuje dokumenty, kartka po kartce. Może moje zawodowe oko popełniło jakiś błąd? Może przeoczyłem jakiś drobiazg, który byłby choć najmniejszym punktem zaczepienia? Co dwie głowy, to nie jedna. Mam sporo innej pracy. Pokój obok jest

akurat wolny, bo kolega w terenie. Tam się przeniosę, zostawiając mecenasa tutaj, z tą teczką. Zamówię kawę. Telefon przełączymy i nikt pana nie będzie niepokoił. Jak pan skończy, proszę zapukać w ścianę. Mam nadzieję, że dysponuje pan wolnym czasem?

— Idąc do was liczyłem się z tym, że to mi zajmie najmniej dwie godziny. Zresztą specjalnie wybrałem ten dzień. Dzisiaj nie muszę być w sądzie.

— To świetnie. A więc zostawiam pana sam na sam z aktami.

Minęło przeszło trzy godziny, zanim obydwaj mężczyźni podjęli przerwana rozmowę.

— A więc, panie mecenasie? — zapytał Kaczanowski. — Jakie wnioski?

— Jedynie takie, że dochodzenie prowadzono z wielkim rozmachem. Rzeczywiście objęło całą Polskę.

— Sam pan widzi, zrobiono wszystko, co tylko można było zrobić. Jak w tej sytuacji można nawet myśleć o wznowieniu dochodzenia?

— Tak — przyznał adwokat. — To, czego dokonano, nie budzi najmniejszych wątpliwości. Brak jakiegokolwiek punktu zaczepienia, prawda? Ale skoro tego punktu nie znajdziemy w aktach, trzeba go szukać poza materiałem dochodzeniowym.

— Jak mam to rozumieć? — oficer milicji nie umiał ukryć zdziwienia.

— Po prostu odrzucam tezę, że jeżeli teoria przeczy faktom tym gorzej dla faktów. A faktem jest, że czteroletni Januszek Kowalski zaginął bez śladu.

Major westchnął z lekkim zniecierpliwieniem.

— Już mówiliśmy na początku naszej dzisiejszej

rozmowy, że dziecko na pewno wpadło do Wisły. To jedyny logiczny wniosek z faktów.

— Nie — żywo zaprzeczył adwokat — to jest właśnie ta wasza teoria, do której naginacie fakty. Dziecko mogło utonąć, ale tego także trzeba dowieść. Gdzie ciało?

— Panie mecenasie, ileż to razy Wisła nie wydaje swoich ofiar? Wystarczy, żeby zwłoki zawadziły o jakiś stary korzeń lub choćby o większy kamień.

— To mogło się zdarzyć. Niemniej nie stanowi to dowodu, jest tylko hipotezą. I jak każda tego rodzaju teoria może być obalona przez inną.

— A pan ma tę inną?

— Może ją będę miał? W tej chwili trudno mi odpowiedzieć na to pytanie.

— Panie mecenasie, bardzo pana szanuję jako znanego prawnika, ale to wszystko, co pan powiedział, jest pustą kazuistyką i nie stoimy naprzeciwko siebie jako przeciwnicy. Nie jesteśmy w sądzie. Obydwa chcemy dopomóc tej biednej kobiecie. Natychmiast wznowię dochodzenie, jeżeli zdobęde choćby najbardziej nikłą poszlakę, że milicja coś pominęła lub zaniedbała. Niestety, ja tej luki w dochodzeniu nie widzę. Wydaje mi się, że pan jej, także nie dostrzegł.

— Zgoda, panie majorze. Ale niech pan rozwiąże sobie następującą zagadkę: co należy zrobić, jeżeli się uprowadziło lub zamierza się porwać dziecko?

— Obejrzeć dziecko, zaplanować, w jakim miejscu i w jaki sposób dokona się porwania. Zatroszczyć się o pewnych współników, zabezpieczyć sobie transport i lokum, gdzie ukryje się porwanego. Przeprowadzić dokładne rozpoznanie

terenu z wyliczeniem każdej minuty akcji, poznać zwyczajnie dziecka i jego opiekunów. Może nawet dokonać przedtem próby.

— Brawa, brawo! — adwokat był w coraz lepszym humorze. — Ciepło, bardzo ciepło! A czy w waszym dochodzeniu próbowano sprawdzić, czy przed zniknięciem dziecka nie zauważono jakichś sygnałów zapowiadających zbliżanie się tragedii?

— Co pan ma na myśli?

— Nie znalazłem żadnego dokumentu, który by potwierdził ten kierunek badań milicji: czy przed zaginięciem Januszka ktoś nie interesował się dzieckiem, może chciał nawiązać z nim kontakt? Czy nikt nie kręcił się w pobliżu, kiedy pani Derkowska wyprowadzała swoją trójkę na spacer i dokonywała codziennych zakupów w powiślańskim supersamie? Może to właśnie jest owa luka w dochodzeniu, o której pan mówił?

— Przyznaję, mecenasie, że rzucił pan pierwszy celny kamyk do mojego ogródka. Jutro wyślę wywiadowców, żeby spróbowali wyjaśnić pańskie wątpliwości. Na obronę ludzi z komendy dzielnicowej, bo to ona prowadziła dochodzenie, mogę tylko powiedzieć, że rozmawiano z dziesiątkami ludzi. Zarówno pani Jadwiga Derkowska, jak i pracownicy sklepu oraz mieszkańcy okolicznych domów, wszyscy składali zeznania. Zresztą czytał pan protokoły. Gdyby zauważyli kogoś podejrzanego, na pewno by o tym wspomnieli.

— Niekoniecznie. Przecież pytaliście, co się stało po zaginięciu dziecka, a nie, co działo się, zanim Januszek przepadł bez wieści. To kolosalna różnica dla człowieka, któremu się zadaje serię pytań. Stara się on wtedy dać odpowiedź możliwie ścisłą i dokładną, nie zbaczając z tematu.

— Może pan ma i rację. Wszystko to wyjaśnimy.

— A więc wznawiacie dochodzenie?

— Oficjalnie ciągle nie ma do tego żadnych podstaw; dopiero gdyby znalazł się jakiś nowy materiał. Na razie przeprowadzamy akcję sprawdzającą.

— Dobre i to — zgodził się Ruszyński. — Mówił pan, że rzuciłem pierwszy kamyk do pańskiego ogródka. Obawiam się, że kiedy przyjdę tutaj następnym razem, wrzucę do tego ogrodu już nie kamyk, ale wielki głaz.

Major Kaczanowski nie obraził się. Wprost przeciwnie.

— Byłbym z tego naprawdę rad.

— Ile czasu zajmie wam sprawdzenie moich wątpliwości?

— O ludzi jak zawsze u nas ciężko. Pan wie, mecenasie, że nie próżnują. Ale dla tej sprawy pułkownik Niemiroch na pewno znajdzie tylu wywiadowców, ilu będzie potrzeba. Sądzę, że w dwa dni uporamy się z całą robotą.

— Powiedzmy dla pewności: trzy dni. Dzisiaj mamy środę, a więc umawiamy się na sobotę.

Patrząc za odchodzącym adwokatem major Kaczanowski pomyślał:

Znalazł się tajemniczy James... Ale zdaje mi się, że wiem, o co mu chodzi. Jeżeli tak jest rzeczywiście, mogę publicznie odwołać wszystko, co kiedykolwiek powiedziałem o siwo włosym playboyu. Ale i ja przygotuję mu małą niespodziankę...

## Rozdział IV

### Major Kaczanowski wznawia dochodzenie

Co trzeba zrobić, przygotowując się do uprowadzenia dziecka? To pytanie adwokat Mieczysław Ruszyński zadał nie tylko majorowi MO, Januszowi Kaczanowskiemu, ale także i sobie samemu.

Jego odpowiedź była zupełnie inna niż oficera milicji.

Trzeba — rozumował prawnik — przede wszystkim zdobyć prawdziwe lub fałszywe dokumenty. Przecież porwanego nie można stale ukrywać gdzieś na odludziu. Dzieciak powinien w końcu znaleźć się w przeznaczony dla niego rodzinie. Musi więc być tam zameldowany i mieć jakąś metrykę. O nowe, fałszywe dokumenty jest w naszych warunkach bardzo trudno. Ale dużo łatwiej z oryginału usunąć prawdziwy tekst i wpisać inny. Przy dokładnej robocie taki papier na pierwszy rzut oka nie będzie budził żadnych wątpliwości. Przeróbki i dopiski wykrywają dopiero promienie podczerwone czy ultrafioletowe. Nie stosuje się powszechnie takich rygorów przy badaniu metryki.

Tak rozumując, adwokat zgłosił się w Urzędzie Stanu Cywilnego, żeby sprawdzić, czy ktoś przed porwaniem lub też już po zaginięciu małego Januszka nie zamawiał odpisu metryki jego urodzenia. Podał urzędnicze legitymację adwokacką i pełnomocnictwo podpisane przez Helenę Kowalską. Dziewczyna ledwie rzuciła okiem na przedstawione jej dokumenty.

— W jakiej sprawie pan mecenas?

— Chciałbym sprawdzić akt urodzenia Janusza Kowalskiego, urodzonego w Warszawie w dniu dwudziestym

siódmym marca 1969 roku. Pracownica urzędu bez najmniejszego wahania wyjęła grubą księgę i prawie nie szukając otworzyła ją na odpowiedniej stronie.

— Proszę.

Ruszyński nie zadawał sobie trudu czytania pełnego aktu. Szukał jedynie urzędowych adnotacji o wydaniu odpisów metryki. Ucieszył się, kiedy spostrzegł, że ostatnia notatka nosiła datę: 30 kwiecień 1978 r.

O to właśnie mu chodziło! Znalazł swój głąz, który miał wrzucić do skrzętnie pielęgnowanego ogródka dochodzeń milicyjnych. Teraz sprawa musi być wznowiona!

— Pamięta pani może, kto zamawiał tę metrykę? Ja rozumiem, to było już tak dawno, ale może...

— Przypadkiem zapamiętałam tego interesanta. To ja legitymowałam tamtego pana. Obcym ludziom nie wydajemy metryk. To był dziadek tego chłopca.

— Miał dowód osobisty?

— Nie. Legitymację służbową. Albo kolejową, albo z poczty.

— Pani ma naprawdę świetną pamięć — Ruszyński wiedział, że nawet najbardziej błahy komplement w porę użyty może zdziałać cuda. — Tylu tu przychodzi najrozmaitszych interesantów, a pani zapamiętała tego człowieka!

Urzędniczka uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— To prawda, panie mecenasie, już wiele osób mówiło mi o mojej spostrzegawczości. Jednakże tym razem nie było to zbyt trudne. Rzadko się zdarza, żeby dziadek nie wiedział, jakie nazwisko nosi jego wnuk. A on podał zupełnie inne niż Kowalski. Dlatego początkowo nie mogłam znaleźć. Dopiero później poprawił się.

— Rzeczywiście dziwne.

— Cóż, stary człowiek. Po prostu, jak mówił, pomyliło mu się z innym wnukiem, od innej córki. Opowiedział mi, że ma czworo dzieci i aż siedmioro wnucząt.

— Ale datę urodzenia wnuka znał?

— Też pomylił, chociaż tylko o parę dni. To nie miało zresztą wielkiego znaczenia.

— Spieszyło mu się z tą metryką?

— Nie. Powiedziała, że będzie gotowa za trzy dni. Nawet proponowałam, że możemy mu wysłać pocztą. Ale chciał sam odebrać. Zgłosił, się czwartego czy piątego dnia.

— Jak wyglądał?

— Starszy człowiek...

— Wysoki, niski?

— Niski. Siwe, dość długie włosy. Ciemne okulary. Tęgi.

— Rzeczywiście, ale pamięć! Poznałaby go pani?

— O, co to, to chyba nie. Jednak tyle ludzi tu codziennie przychodzi...

— Niech się pani chwilę zastanowi — uśmiechnął się prosząco adwokat. — To ważna sprawa. Może przypomni sobie pani jakiś charakterystyczny rys tego człowieka.

— Obawiam się, że nie. Już ten pan z milicji mnie prosił, abym przyszła do nich, do Pałacu Mostowskich, to będą próbowali zrobić „portret z opisu”.

— Pani była przesłuchiwana przez milicję? — Ruszyński nie mógł ukryć zdziwienia.

— Skądże! Ale dzisiaj z rana przyszedł tu pewien major MO. Bardzo sympatyczny i przystojny. On również prosił o pokazanie mu metryki Janusza Kowalskiego. Ojej! — urzędniczka urwała nagle. — Niechący się wygadałam. Ale pan mecenas mnie nie zdradzi, prawda?

— Nie zdradzi?...



— Bo ten oficer milicji uprzedził mnie, że pan mecenas tutaj przyjdzie. Prosił, żebym ani słowa nie pisnęła, że on pierwszy ze mną rozmawiał. Mówił, że chce mecenasowi zrobić niespodziankę.

— Kochany chłop! — Miecio powiedział to takim tonem, jakim zazwyczaj mówi się: „A żeby go szlag trafił!”

Ponieważ po bytności w urzędzie przedstawiciela MO dalsza rozmowa nie miała wielkiego sensu, Ruszyński miło podziękował dziewczynie za informacje i pożegnał się.

W sobotę, zgodnie z zapowiedzią, zjawił się u majora Kaczanowskiego.

— Mam dla mecenasa dobrą wiadomość — tymi słowami oficer milicji powitał adwokata. — Pułkownik, po zapoznaniu się z materiałami, postanowił wznowić dochodzenie w sprawie Janusza Kowalskiego.

— Ogromnie się cieszę. Czy pani Kowalska wie już o tej decyzji?

— Pułkownik polecił, aby zawiadomienie o wznowieniu dochodzenia natychmiast doręczyć matce. Sekretarka pułkownika przesłała odpowiednie pismo radiowozelem, który patrolował tamten rejon Powiśla.

— Bardzo się cieszę, że odnieśliśmy wspólnie ten mały sukces. Początki są zawsze najtrudniejsze, mam nadzieję, że i dalej powodzenie będzie nam sprzyjać.

— Miał pan, mecenasie, przynieść tutaj dzisiaj wielki głaz. Gdzie on jest?

— Kiedy go do was niosłem, rozsypał się w pył. Nic z niego nie zostało. Czasem tak bywa. Zwłaszcza podczas tak upalnej pogody. A propos ładnej pogody, jak się udała majowski wycieczka do Puław?

Janusz Kaczanowski, który z góry cieszył się, jak sprytnie

sparuje rewelacje adwokata, na chwilę zaniemówił. Dopiero po paru sekundach opanował się.

— Skąd mecenas wie, że wyjeżdżałem do Puław? Niedługo zacznę podejrzewać, że adwokaci mają swoich szpiegów w Komendzie. Stołecznej MO. A może w czasie poprzedniej wizyty zainstalował pan tutaj jakiś aparat podsłuchowy?

Ruszyński serdecznie się uśmieł.

— Po prostu, majorze, bardzo dawno nauczone mnie, że dwa a dwa równa się cztery. Zrobiłem więc to nieskomplikowane działanie matematyczne i dlatego zapytałem o wizytę u sympatycznego listonosza. Jakże on się miewa? Mam nadzieję, że jego wygląd zewnętrzny różni się od pewnego „portretu z opisu”. Zgadłem?

— Listonosz już od roku przeszedł na emeryturę. Miewa się dobrze, chociaż zrozumiałe, że przejął się nieszczęściem, jakie dotknęło najmłodszą córkę. To człowiek wysokiego wzrostu, łysawy i szczupły. A co do „portretu z opisu”, guzik z tego wyszło. Ta id... dziewczyna — poprawił się major — nie tylko wygadała się przed mecenasem, ale na seansie w ogóle nie umiała nic zdecydowanego powiedzieć. Ale wracając do naszej sprawy, starszy pan Kowalski naturalnie nigdy nie zamawiał metryki swojego wnuczka. Bo i po co? Nie odwiedzał Warszawy od przeszło pół roku. Nie ma również legitymacji pracownika poczty, bo przeszedł na emeryturę. Nie przypomina sobie jednak, żeby kiedykolwiek zgubił podobny dokument. Co prawda nasza informatorka nie umiała bliżej sprecyzować, czym się tajemniczy „dziadek” legitymował. Może jakąś przepustką, do której wkleił swoją fotografię? Wątpię, czy ta dziewczyna przeczytała choć jedno słowo z tej legitymacji. Obserwowałem ją, kiedy przyjmowała zamówienie ha odpis jakiegoś aktu zgonu.

Klient wprawdzie pokazał jej dowód osobisty, ale ona nawet do niego nie zajrzała.

— Mnie się także wydaje, że jej wystarczyło machnięcie jakąkolwiek twardą okładką i słowa: „Jestem pracownikiem urzędu pocztowego w Puławach”. Jakkolwiek jednak tam by było, zdobyliśmy bezsporny dowód, że dziecko zostało uprowadzone.

— Ejże... Pan mecenas upraszcza sprawę.

— Panu majorowi to jeszcze nie wystarczy?

— Zdobyliśmy dowód, że ktoś, posługując się fałszywymi dokumentami, wziął odpis aktu urodzenia Janusza Kowalskiego.

— Parę dni przed zaginięciem chłopca!

— Tak, ale to może być zbieg okoliczności.

— No wie pan, majorze!

— Gdyby nam się udało w tej chwili aresztować fałszywego dziadka i gdybyśmy go oskarżyli o kidnaping, jego obrońca, znakomity mecenas Mieczysław Ruszyński, na pewno rozbiłby w proch i pył cały akt oskarżenia dowodząc, że pomiędzy tymi dwoma czynami nie zachodzi żaden związek, i że to tylko zbieg okoliczności. Sąd, tłumacząc wszelkie wątpliwości na korzyść oskarżonego, na pewno uniewinniłby tego człowieka. Czyż nie tak?

— Jeden zero dla pana majora. Ale w takim razie kto i po co potrzebował metrykę dziecka i to potrzebował tak gwałtownie, że dla jej zdobycia zaryzykował nawet kolizję z prawem?

— Właśnie dlatego wznowiliśmy dochodzenie, aby odnaleźć tajemniczego dziadka i zbadać, czy jego dziwne postępowanie łączy się z zaginięciem małego Januszka. Chciałbym także poinformować pana mecenasa, że wywiad

przeprowadzony według jego ostatnich sugestii niczego podejrzanego nie wykrył. Nikt nie zauważył, aby wokół dzieci ktoś obcy się kręcił. Nadal jednak prowadzimy akcję i w tym kierunku. Gdyby pan miał jakieś nowe koncepcje i hipotezy, chętnie je sprawdzimy.

— Nie mam — szybko odpowiedział adwokat.

Coś knuje — pomyślał Kaczanowski. — Zbyt szybko mi zaprzeczył.

— A pan, majorze? — zapytał z kolei adwokat.

— Także nie mam.

Panowie pożegnali się. Mecenas, idąc do wyjścia długim korytarzem, rozmyślał:

Ten oficer coś kręci. Na pewno znowu szykuje mi jakąś niespodziankę. Ale niech mu się nie zdaje, że już zjadł wszystkie rozumy świata. Ruszyńskiego jeszcze nikt na plewy nie złapał. Jeszcze mu pokażę, aż mu w pięty pójdzie.

A major Kaczanowski, jak zwykle, udał się do pułkownika Niemirocha, aby zdać mu raport z dotychczasowych postępów w sprawie. Liczył też na jakąś radę doświadczonego przyjaciela. Nie krył bowiem przed samym sobą, że wprawdzie udało się ruszyć z miejsca, ale wszystko zapowiadało trudne i długotrwałe dochodzenie.

— Ruszyński to jednak cwaniak — major pochwalił adwokata.

— Mówiłem ci, że jest wybitnym prawnikiem i ma otwartą głowę.

— Przyznaję, zwrócił nam uwagę, na błąd w dochodzeniu, ale wolałbym, aby więcej nie wtrącał się do mojej roboty. Adwokaci nie powinni bawić się w oficerów dochodzeniowych. W czasie jednej z naszych rozmów powiedziałeś, że oficer milicji musi być także psychologiem.

Właśnie chcę wcielić się w tę rolę.

— A co zamierza robić mecenas Ruszyński?

— Powiedział, że nic. Ale mu nie wierzę.

— A tyś go wtajemniczył w swoje plany?

— Jeszcze czego! Ruszyński, przyznaję, jest dobrym graczem, ale tym razem mu się nie uda.

— Słuchaj, Janusz, nie graj z Ruszyńskim, tylko prowadź dochodzenie w sprawie porwania dziecka.

— Cały czas to robię.

— Dla sprawy najlepiej byłoby, żebyście działali zgodnie.

— To będzie trudny orzech do zgryzienia — mówił major zapalając kolejnego papierosa. — Rozumując logicznie ktoś, kto zamawiał metrykę dziecka, potrzebował jej w celu przygotowania kidnapingu. Na to nie ma jednak najmniejszych dowodów. Za wszelką cenę musimy znaleźć tego faceta.

— Ale jak to zrobić?

— Właśnie ciągle myślę o tym. Na razie nie wiem. Musimy się dowiedzieć czegoś więcej o owym tajemniczym człowieku. No i gnębi mnie pytanie, jaki mógł być powód uprowadzenia dziecka?

— Może — zauważył Adam Niemiroch — maczała w tym palce babka małego Januszka. Ta ze strony ojca. Straciła jedyne go syna, chciała odzyskać choćby wnuka. Ta sama krew. Dobrze byłoby, żebyś wybrał się na parę dni do Krakowa. Warto sprawdzić alibi starszej pani.

— To już zrobione. Komenda dzielnicowa, poza jednym jedynym błędem, że ominęła Urząd Stanu Cywilnego, prowadziła dochodzenie wprost wzorowo. Zainteresowali się wdową po rzeczywistym tajnym radcy stanu. Nie przesłuchiowano jej, ale rozpytywano wśród sąsiadów. Teściowa pani

Kowalskiej ani przed zniknięciem małego Januszka, ani też w następnych dniach nie opuszczała Krakowa. Wprawdzie „radczyni” jest tak skłócona z całą okolicą, że nikt z nią nie rozmawia, ale widziano ją i słyszano.

— To musi być dobra cholera.

— Taką teściową dostać... — uśmiechnął się major.

— A może — odpowiedział pułkownik — to po prostu kobieta na swój sposób bardzo nieszczęśliwa.

— Bardzo często pierwsze łączy się z drugim lub odwrotnie.

— Nie odbiegajmy od tematu. Ruszyński swoją intuicją lub też swoim doświadczeniem naprawił błąd popełniony w trakcie dochodzenia. Uprawdopodobnił hipotezę o porwaniu dziecka. Jednakże nadal nie dostrzegam motywu, którym kierował się porwawcz.

— Właśnie — zgodził się major — najgorsze w tej sprawie jest to, że wszystkie logiczne powody porwania dziecka, jak na przykład spór o chłopca pomiędzy dwojgiem rozwiedzionych rodziców czy, co jest mało prawdopodobne, kidnaping dla wymuszenia okupu, odpadają. Na razie nie znamy motywów postępowania przestępcy i to jest najważniejszą przeszkodą, aby dochodzenie ruszyć z miejsca.

— Jest jeszcze jeden motyw... Urowadzenie i zbrodnia na tle seksualnym.

— To raczej wykluczone. A więc, co dalej?

— Przyznaję, błędę w ciemnościach. Będę tropił fałszywego dziadka, chociaż to zajęcie podobne jest do szukania igły w stogu siana.

## Rozdział V

### Tajemnica cukierka „Bajeczny”

Miecio zwykł soboty i niedziele poświęcać „rozrywkom kulturalnym”, takim jak „kobieta, wino, śpiew”. Naturalnie najmniej ważny był „śpiew”, najmiłszy — „kobieta”. Tym jednak razem adwokat zrezygnował ze swoich przyzwyczajęń i mimo soboty natychmiast po opuszczeniu komendy MO spotkał się z panią Heleną Kowalską.

Jakże inaczej przedstawiała się młoda kobieta obecnie niż podczas poprzedniego widzenia. Była znacznie spokojniejsza, wierzyła, że odzyska synka najdalej za parę dni. Swojego pełnomocnika darzyła bezgranicznym zaufaniem. Co gorsze, oczywiście dla Miecia, wydała mu się jeszcze ładniejsza. Tak piękna, że adwokat zaczął się poważnie obawiać o dotrzymanie swojej żelaznej zasady, że „klientka jest tylko klientką”.

Ruszyński nie miał serca gasić entuzjazmu młodej kobiety. Nie chciał i nie mógł jej wyjaśnić, że na drodze do rozwikłania tajemnicy zaginionego chłopca zrobiono zaledwie mały kroczek naprzód. Prawdziwe trudności jeszcze są przed nimi, a jaki będzie wynik dochodzenia, trudno nawet przewidzieć. Przyjmował więc komplementy i zachwyty nad „geniuszem pana mecenasa” z lekkim zażenowaniem. Nie dlatego, aby nie podzielała opinii pani Kowalskiej o Mieczysławie Ruszyńskim, lecz po prostu uważał je za nieco przedwczesne. Niemniej słowa te nie były mu niemiłe.

Wszystko drobiazgowo przygotowano i wyreżyserowano. Adwokat wykazał wiele przezorności. Aby zapobiec niespodziankom i przedwczesnym obudzeniem się. Zygmusia nie

zepsuć całego eksperymentu, poprosił panią Kowalską, aby w tym czasie zaopiekowała się dzieckiem i zabrała je do siebie.

Punktualnie o godzinie piątej po południu Ruszyński naciśnął dzwonek przy drzwiach opatrzonych mosiężną tabliczką: „Krzysztof Derkowski”. Pani domu wręczył trzy piękne goździki. Dla małej Krysi postawił na stole pudełko mieszanki czekoladowej. Uścisnął rękę gospodarzowi, jak gdyby witał się ze starym przyjacielem. Z przyjemnością stwierdził, że zrobił dobre wrażenie.

Derkowsy mieli stosunkowo duże i przytulnie urządzone mieszkanie. Chętnie się nim pochwalili przed adwokatem. Miecio w pokoju dzieciennym podziwiał zabawki, wypytywał Krysię, od kogo je dostała, a nawet sam zaczął się bawić łąmigłówką z klocków. Dziewczynka, początkowo trochę nieufna wobec nieznanego, szybko nabrała zaufania do grubawego wujka ze srebrną czupryną

Potem Derkowsy zaprosili gościa do pokoju, który spełniał podwójną rolę: był jadalnym i jednocześnie gabinetem pana domu. Tutaj, kiedy Krysia zajmowała się zabawkami w sąsiednim pomieszczeniu, rozmowa siłą rzeczy zesłała na tragiczne wypadki z ósmego czerwca. Pani Jadwiga jeszcze raz ze szczegółami opowiedziała, jak to się stało, jak dwie zrozpaczone kobiety biegały po ulicach miasta i nad brzegiem rzeki, wypytując o chłopczyka w czerwonym bereciku. A dziecka nikt nie widział.

— Nie zauważyła pani, żeby kręcił się przedtem ktoś w pobliżu?

— Milicja mnie na ten temat indagowała przed dwoma dniami. Nikogo podejrzanego nie zauważyłam.

— Nikt dzieci nie zaczepiał?

— Dzieciaki były... są — poprawiła się pani Jadwiga —



ładne, zadbane i nieraz ktoś do nich zagadał. Najczęściej kobiety. Czasem ktoś je poczęstował owocem lub cukierkiem.

— Przyjmowały taki przygodny poczęstunek?

— Na ogół nie. Chyba że ja też namawiałam, aby wzięły. Wiadomo, jak to dzieci. Lubią owoce i słodczyce, a boją się nieznajomych.

— Jakim dzieckiem jest mały Januszek?

— Grzecznym. Dobrze wychowanym, chociaż nieco rozpieszczonym. Trudno dziwić się samotnej matce, że rozpieszcza jedynaka.

— Mnie chodzi raczej o charakter.

— Powiedziałabym, że jak na dziecko w tym wieku nieco zbyt powolny. Moja Krysia to przy nim żywe srebro. Januszek sprawia wrażenie flegmatyka, chociaż jest w pełni rozwinięty fizycznie i umysłowo.

— Czy bardzo bał się obcych ludzi?

— Nie. Mniej niż moja dziewczynka. Może dlatego, że matka wszędzie go ze sobą zabierała. Helenka popołudniami krępowała się podrzucać mi Januszka, przecież i tak dziecko dwie trzecie dnia spędzało w naszym domu. Chociaż — trzeba powiedzieć — nie miałam z nim wielkich kłopotów. Mniej niż z moją dwójką.

— Państwo znali byłego męża pani Kowalskiej?

— Ja nie znałam — zaprzeczyła pani Jaga.

— Widziałem go kilka razy. Czasem bywał z żoną na różnych uroczystościach urządzanych przez naszą spółdzielnię.

— Jaki to był człowiek?

— Trudno powiedzieć, za mało się z nim stykałam. Ale raczej nieciekawy typ. Jedno rzucało się w oczy: jego samolubstwo. Pamiętam taki incydent. Odbywała się u nas

jakaś potańcówka i Helenka bardzo dobrze się bawiła. W trakcie najlepszej zabawy on zdecydował, że wracają do domu. I ona, i my wszyscy prosiliśmy go, aby został jeszcze godzinę. Odpowiedział, że się nudzi i że na sali jest za dużo „hołoty”. Chcąc nie chcąc, Kowalska musiała opuścić towarzystwo. Miała łzy w oczach.

— Może po prostu był zazdrosny?

— Na to był zbyt zarozumiały. Uważał się za najmądrzejszego na świecie. Żonę traktował z pogardliwym lekceważeniem. Nieraz dawał jej i nam do zrozumienia, że jest głupią gęsią. Listonoszówną z Puław. Tak ją zresztą w chwilach złości nazywał. Szczerze mówiąc, ludzie zaprzyjaźnieni z Kowalską przyjęli z ulgą wiadomość o rozłączeniu się tego małżeństwa. On by tej dziewczynie ze szczętem zmarnował życie.

— I tak nie miała zbyt wesołego — wtrąciła pani Jadwiga.

— Jeszcze wszystko przed nią. Ma dwadzieścia sześć lat, kończy politechnikę, cieszy się w naszym zakładzie, bardzo dobrą opinią. Niewątpliwie będzie szybko awansowała, no i jest przystojna. Gdyby tylko chciała, szybko by wyszła za mąż. Ilu już przy niej bezskutecznie się kręciło!

— Wy, mężczyźni, wyobrażacie sobie, że dla kobiety takie wielkie szczęście wyjść za mąż. A to tylko praca na dwa etaty.

— Zmieńmy szybko temat — roześmiał się inżynier Derkowski — bo moja sufrażystka zaraz nam tu zrobi długi wykład o upośledzeniu kobiet.

— Bo i są upośledzone. W biurze czy fabryce praca, w domu praca. Statystyka stwierdziła, że kobieta nie ma czasu na

sen. Śpi o dwie godziny krócej niż mężczyzna. No, ale widzę, że mój pan i władca już się krzywi, więc uciekam, aby zrobić kawy.

— Może ja dowiodę, że jest równouprawnienie i zastąpię cię w kuchni — ofiarował się gospodarz.

— Dziękuję, ale nie. Boję się o całość porcelany — pani Jaga zostawiła mężczyzn.

— Niech mi pań wierzy, mecenasie — powiedział Derkowski — że to nieszczęście z Januszkiem ciężko i nas dotknęło. Jadwiga okropnie to przeżyła. Udała wesołą, ale to dzisiaj jeden kłębek nerwów. Musiałem ją zaprowadzić do lekarza. Brała jakieś zastrzyki i łykała pigułki. Wywoziłem ją na miesiąc nad morze. Niewiele pomogło.

— Rozumiem doskonale.

— Jaga ciągle robi sobie wyrzuty, że przez nią dziecko zginęło.

— Czy pan przypuszcza, że Januszek mógł sam pójść nad Wisłę?

— To wykluczone — stwierdził kategorycznie inżynier. — Malec był na to za mało ruchliwy. O, Kryśka, ta by pobiegła bez namysłu. Januszek — nie. Jak go postawili przy wózek Zygmunta, stałby tam do wieczora. Ale żadne argumenty nie trafiają do Jagi. Nieraz w nocy zrywa się w krzykiem...

— Może uda mi się pomóc państwu.

— Helenka nie ma słów zachwyty dla pana. Jest przekonana, że dzięki mecenasowi już niedługo odzyska dziecko.

— To nie jest takie proste.

— Oboje z żoną zastanawiamy się, co się mogło stać z Januszkiem, jeśli się nie utopił, a to raczej wykluczone. Kto i dlaczego go uprowadził?

Tymczasem pani Jadwiga ustawiła na stoliku ciasteczka,

trzy filiżanki i kawę, a dla Krysi lekką herbatę z mlekiem. Zaprosiła panów do stołu. Znalazło się tu także pudełko mieszanki czekoladowej, Mieczysław Ruszyński odczuwał treść większą, niż ją kiedykolwiek miewał zabierając głos przed Sądem Najwyższym w najbardziej skomplikowanych sprawach. Zbliżał się decydujący moment eksperymentu.

Podczas podwieczorku przy stole toczyła się wesoła rozmowa. Pani Jaga opowiadała o pobycie nad morzem, mecenas wspominał Nałęczów, do którego jeździł co roku, nie uznając żadnej innej formy spędzania urlopu. Zainteresował Krysię łąbiedziami. Opowiadał jej, że ptaki uważają cały park zdrojowy za swoją własność i nie ustępują nikomu z drogi.

— Jeden z czarnymi łąpami jest taki duży, że mogłabyś, Krysiu, na nim jeździć.

— Ja już jeździłam na łąbiedziu.

— O! A gdzie?

— Na huśtawce. Mamusia mnie tam zaprowadziła. Na koniku też jeździłam — pochwaliła się mała kobietka.

Adwokat podsunął dziewczynce pudełko z cukierkami w różnokolorowych papierkach.

— Wybierz sobie, Krysiu — częstował — taki sam, jaki dała ci tamta pani.

Dziecko bez wahania wybrało cukierek o nazwie „Bajeczny”.

— Ona mi nie dała — wyjaśniła — dała tylko Januszko wi. Powiedziała, że ma jeden. A ja żebyś poszła do mamusi, to mi kupi taki sam.

Pani Jadwiga aż podskoczyła na krześle. Adwokat ruchem ręki dał jej znać, aby się nie odzywała. Sam zaś pytał dalej:

- Ale przedtem dawała ci cukierki?
- Dawała — przyznała mała — ale nie takie.

Wybrała cukierek w zielonym opakowaniu i pokazała go mecenasowi.

- Taki jadłam. Januszek też.
- A który, Krysiu, wolisz: „Bajeczny” czy „Pierrot”, fioletowy czy zielony?
- Oba wolę — sprytnie odpowiedziała dziewczynka.
- To weź oba.

Tego Krysi nie trzeba było powtarzać.

— Widziałś — zaryzykował adwokat — jak ta pani zdjęła Januszkowi berecik?

— Ta pani powiedziała, że w bereciku jest za gorąco i zdjęła go Januszkowi. Ja też zdjęłam swoją czapeczkę.

— A jaką masz czapeczkę? — Ruszyński, ku przerażeniu matki, znowu podsunął małej pudełko ze słodyczami.

- Mam białą. Mamusia sama zrobiła.
- Ta pani miała Ciemne włosy, prawda?
- Nie, jasne. Takie jak peruka mamusi.

Jadwiga Derkowska zaczerwieniła się aż po białka oczu, mąż parsknął śmiechem.

— Widzisz, jak cię rodzone dziecko kompromituje?

— Wcale nie. Peruka oszczędza kobiecie czasu i pozwala jej być zawsze elegancko uczesaną. Nie każda może sobie pozwolić na chodzenie co parę dni do fryzjera.

— Ta pani nosiła okulary jak tatuś? — adwokat usiłował wydobyć z dziecka jak najwięcej wiadomości o tajemniczej nieznanym.

- Nie — zaprzeczyła Krysia.
- A jakie miała oczy? Takie jak Zygmusz?
- Niebieskie.
- A może zielone?

— Zielone — zgodziła się Krysia.

Mała zaczynała fantazjować. Mecenas uznał, że i tak dowiedział się wiele. Przerwał indagację.

— Zjadłaś już, Kysiu, idź się bawić do swojego pokoju — poleciła pani Jaga.

— Ja chcę jeszcze cukierka.

Pomimo protestów matki, Miecio podsunął dziecku pudełko.

— Pan jest genialny — stwierdziła z zachwytem pani Jadwiga, kiedy za Krysią zamknęły się drzwi. — Co ja się namęczyłam, żeby z małej coś wydobyć. Dostała i klapsy za to wejście do sklepu. Później trzy razy z nią rozmawiała pani psycholog. Jak pan do tego doszedł? To wspaniałe!

— Trzeba umieć postępować z kobietami. Kiedy są małe, najlepsze są cukierki, później trzeba je zastępować komplementami i słówkami zachwyty.

— Wyobrażam sobie, jaki z mecenasa numer — rozesłmiał się Derkowski. — Muszę zacząć pilnować żony.

— W gruncie rzeczy sprawa była zupełnie prosta — adwokat mówił teraz poważnie. — Sama pani twierdziła, że Krysia nigdy nie odstępowała Zygmunusia i Januszka, i nigdy nie wchodziła za panią do sklepu. Jeśli to zrobiła, ktoś musiał ją do tego odpowiednio namówić. A najłatwiej namówić dziecko do takiego kroku, dając drugiemu jakiś cukierek i polecając dziewczynce: „Idź do mamusi, to ci kupi taki sam”. Co zaś do czerwonego bereciku, to tu już nie było problemu. Kolor tak znaczny i tak rzucający się w oczy, że nikt by nie zaryzykował uprowadzenia dziecka nie zdejmując mu beretu. To łatwe. Jeden ruch pod byle pretekstem. Wasze poszukiwania i dochodzenie prowadzone przez milicję dlatego nie dały żadnego wyniku, że wszyscy rozpytywali o chłopczyka

w czerwonym nakryciu głowy. Jak państwo sami widzicie, nie potrzeba geniusza, wystarczy chwileczka logicznego rozumowania.

— Ale pan to wszystko wydobyl z Krysi! Nam nie pisnęła ani słówka. Niczego nie zdradziła psychologowi.

— Bo to było wypytywanie. Coś w rodzaju śledztwa. Dziewczynka bała się. I tak na pewno ciężko przeżyła zniknięcie małego Januszka, Albo więc zacięła się w uporze, albo w ogóle zapomniała o incydencie z cukierkiem. Siedząc tutaj i słuchając naszych rozmów, które niczym nie zahaczały o tragiczny dzień ósmego czerwca, Krysia całkowicie rozprężyła się psychicznie. Dlatego chętnie mi wszystko opowiedziała. Nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Bardzo państwa proszę, nie wracajcie przy niej do tego tematu ani nie wypytujcie jej więcej. Nic już nie doda. Chyba że będzie kłamać. A to nie prowadzi do niczego.

— Krysia na ogół nie kłamie.

— Może użyłem złego terminu. Małe dzieci nie kłamią. One fantazjują. W umyśle dziecka prawda i fantazja znajdują się blisko siebie. Bawiąc się w konie czy w pociąg ułożony z krzesel ustawionych w jednym rzędzie, dzieci naprawdę wierzą, że odbywają piękną podróż.

— Pan mecenas jest stanowczo za skromny — entuzjastkowała się Derkowska. — To, co widzieliśmy, to był popis mistrza.

„Mistrz” uśmiechnął się.

— Nadal nie mogę sobie darować — pani Jaga wróciła do bolesnego tematu — że kiedy Krysia weszła do sklepu, od razu nie wybiegłam do dzieciaków na ulicę. Może zdołałabym zapobiec nieszczęściu.

— Niepotrzebnie to panią gryzie. Gdyby dziecka nie porwano wtedy, spotkałoby je to samo kiedy indziej.

— Pan sądzi?...

— Teraz już mamy pewność, że chłopczyka uprowadzono. Tę akcję planowano bardzo starannie. Czynności przygotowawcze rozpoczęto znacznie wcześniej. Mamy bezsporny dowód działalności przestępcy już pod koniec kwietnia, a więc sześć tygodni przed zniknięciem Januszka. Gdyby w dniu ósmego czerwca nie doszło do porwania, nastąpiłoby ono w innym czasie i w innych okolicznościach, ale na pewno by nastąpiło. Nie można dziecka trzymać pod kluczem albo każdemu z małych chłopców przydzielić milicjanta do asysty. Uprowadzono by go na przykład, kiedy by się bawił z kolegami na podwórku lub gdy sam wracał z mieszkania państwa do matki.

— To na tej samej klatce schodowej, tylko o dwa piętra wyżej — zauważył inżynier.

— Dla naszego bandyty nie stanowiłoby to przeszkody. Na pewno Januszek nieraz przebywał tę drogę sam.

— O, tak, trzy, cztery razy dziennie.

— Cóż więc łatwiejszego, jak zacząć się na schodach i stamtąd uprowadzić dziecko?

— No widzisz, Jaguś — wtrącił inżynier. — Tłumaczyłem ci, żebyś się tak nie przejmowała.

— Łatwo ci powiedzieć! Zresztą i ty sam wyglądałaś jak z krzyża zdjęty. Gdybym nie miała naszej dwójki, chyba bym zwariowała albo zrobiła sobie coś złego. Jeszcze teraz zupełnie nie mogę sypiać. Miewam koszmarne sny.

— Najważniejsze — stwierdził Krzysztof Derkowski — że dzięki panu mecenasowi mamy pewność, iż dziecko nie utonęło w Wiśle. Porwane, ale żyje.

— Jestem przekonana, że pan je odnajdzie — gorąco powiedziała pani Jadwiga.



— I ja też jestem tego pewien — dodał jej mąż.

W powodzi ciepłych słówek „mistrz” Miecio promieniał jak na bezchmurnym niebie słońce w samo południe.

Tego dnia los był szczególnie łaskawy dla mecenasa Ruszyńskiego. Kiedy wylewnie żegnany opuścił dom nowych przyjaciół i zajął miejsce przy kierownicy swojego zielonego „fiata”, zobaczył z daleka znajomą sylwetkę wysokiego, zgrabnego mężczyzny o pociągłej twarzy i ciemnych, z lekka sfalowanych włosach.

Major Janusz Kaczanowski szedł Tamką w dół, w stronę ulicy Kruczkowskiego i właśnie przecinał jezdnię, skręcając w prawo, gdzie stał samochód adwokata. Trzymał w ręku kwiaty owinięte w biały papier, a spod pachy wystawał mu podłużny pakunek. Nie ulegało wątpliwości, że było to pudełko czekoladek.

Adwokat nie uruchomił silnika swojego auta. Czekał, aż oficer milicji zbliży się do niego.

— Dzień dobry, panie majorze! — zawołał radośnie. — Co za miłe i nieoczekiwane spotkanie!

Pomimo dość krępej budowy (za słowo „tusza” Miecio śmiertelnie się obrażał) zwinnie wyskoczył z samochodu i z wyciągniętą ręką podszedł do majora. Na okrągłym obliczu mecenasa gościł szeroki uśmiech.

— To róże czy goździki? — zapytał zdumionego tym spotkaniem Kaczanowskiego.

— Goździki — oficer milicji nie rozumiał sensu dziwnego pytania.

— O, to gorzej!

— Dlaczego? — major był zaskoczony.

— Lepsze byłyby róże, bo goździki już przyniosłem pani Jadze Derkowskiej. Co za przemiła babka, nawet sobie major

nie wyobraża. A on? Wspaniały mężczyzna. Mała Krysia jest wprost rozkoszna. Urocze dziecko. A jaka inteligentna! I co za pamięć! To wprost fantastyczne, że taka mała dziewczynka mogła tyle zapamiętać z wydarzeń tego fatalnego ósmego czerwca.

Janusz Kaczanowski powinien był coś powiedzieć, ale zastygł jak słup soli z na wpół otwartymi ustami, zaś nieubłagany Miecio ciągnął dalej:

— Mam świetny pomysł, żeby się te kwiaty nie zmarnowały. Niech pan złoży wizytę pani Helenie Kowalskiej. Piękna kobieta. Pan zdaje się także lubi rude. Wprawdzie uprzedziłem państwa Derkowskich, że będą mieli miłe odwiedziny, ale to tak luźno się mówiło i do niczego majora nie zobowiązuje. No, na mnie już czas.

Ruszyński wylewnie uściśnął dłoń Kaczanowskiego i wskoczywszy do samochodu natychmiast odjechał. Aż coś zgrzytnęło w skrzyni biegów zielonego „fiata”. Skręcając w Tamkę, Miecio czuł się naprawdę szczęśliwy. Powiedział głośno sam do siebie:

— No, nareszcie mu zapłaciłem za tę „córeczkę”!

Jednakże w domu, kiedy spokojnie zastanowił się nad dotychczasowymi postępaniami sprawy, miał już mniej wesołą minę. Wprawdzie odniósł dwa błyskawiczne sukcesy, bo nie tylko uzyskał wznowienie dochodzenia, ale także zdobył bezsprzeczny dowód uprowadzenia dziecka, jednak musiał przyznać, że nie posunął się nawet o milimetr w kierunku odnalezienia małego Januszka.

Również i tryumf z pogiębienia „zarozumiałego” majora nieco zbladł. Ruszyński był zbyt mądrym człowiekiem, aby nie wiedzieć, że jedynie zgodne współdziałanie z milicją może przynieść jakieś konkretne sukcesy. Systemem „partyzantki” odnalazł lukę w pierwiastkowym dochodzeniu i za pomocą kolorowych papierków wyciągnął z małej Krysi

faktyczny przebieg wydarzeń, jakie rozegrały się przed super-samem, ale teraz „partyzantka” się skończyła. W końcu, aby ruszyć śledztwo, nie wystarczyło „ruszyć głową”. Potrzebna była żmudna, długotrwała praca całego potężnego aparatu milicyjnego.

A co jeżeli w wyniku ostatnich jego „posunięć” milicja nie będzie chciała informować go o swoich krokach i o swoich osiągnięciach? Ruszyński zaś uważał, że i dalsza jego pomoc będzie jej niezbędna. W tym przekonaniu tkwiło dużo zwykłego zarozumiałstwa człowieka, któremu w życiu na ogół wszystko się udawało, ale niewątpliwie i spora doza słuszności.

Wobec tego Miecio postanowił w najbliższy poniedziałek odwiedzić Komendę Stołeczną MO, złożyć wizytę pułkownikowi Niemirowi i wywiesić białą chorągiew. A na razie... zerknął na zegarek. Była jeszcze „dziecinna” godzina. Więc może...

Kiedy jadł ostatnio obiad w „Szanghaju”, zauważył, że pewna przystojna dziewczyna ciekawie na niego zerka. Widział ją tam zresztą kilka razy w gronie koleżanek i kolegów. Postanowił sprawdzić, czy urodziwe dziewczę i dziś wybrało się do „Szanghaju”. Zostawił samochód przed domem, wsiadł do taksówki i kazał się wieźć na Marszałkowską. Praca pracą, a odpoczynek i jakaś drobna przyjemność należy się przecież uczciwemu człowiekowi.

## Rozdział VI

### Dyplomatyczne zabiegi pułkownika

W poniedziałek, parę minut po ósmej, major Janusz Kaczanowski wpadł jak bomba do gabinetu pułkownika Adama Niemirocha. Nie zapytał sekretarki, czy można wejść, nie powiedział jej nawet „dzień dobry”. Już od progu zaczął;

— Jeżeli nie uspokoisz tego pieszczocha socjalizmu, ja nie ręczę za siebie. Wybieraj, ja albo on!

— Siadaj! — pułkownik także podniósł głos. — Spokojnie i dokładnie opowiedz mi, co znowu zaszło.

Major powtórzył rozmowę, jaką miał z adwokatem w sobotę na ulicy Kruczkowskiego.

— Śmiał mi się, drań, w żywe oczy. Jak on w ogóle może się wtrącać do czynności dochodzenia? Kto go upoważnił do przesłuchiwania Derkowskich?

Pułkownik z trudem zachowywał powagę.

— A tyś mu nie zrobił kawału z tą pracownicą z Urzędu Stanu Cywilnego? Przecież doskonale wiedziałeś, że Ruszyński tam się wybiera. To miała być ta jego bomba, a tyś cieszył się, że wygrałeś drugą rundę. To ty go sprowokowałeś do tego, że ci odpłacił pięknym za nadobne.

— Ja prowadzę dochodzenie milicyjne. Czemu ten amator pęta się po moich ścieżkach?

— Nie zapominaj, że jednak Ruszyński jest pełnomocnikiem matki zaginionego dziecka. Tylko dzięki jego interwencji i jego spostrzegawczości wznowiliśmy sprawę. Bezspornie wyświadczył nam wielką przysługę.

— Można mu za to podziękować na piśmie albo przyznać dyplom.

Najlepiej przedstawić do nagrody ministra. Ale niech mi nie przeszkadza w pracy.

— On ci wcale nie przeszkodził. Przeciwnie, znowu popchnął sprawę trochę naprzód. Myśmy tego nie umieli zrobić. Nasz psycholog kapitan Irena Szublińska spisała się nie najlepiej. A Ruszyński sprytnie wydobył z małej wiadomości. Nic mu nie można zarzucić. Działa na naszą korzyść...

— On doskonale wiedział, że ja wybieram się na Kruczkowskiego do Derkowskich, aby porozmawiać z małą. Na złość mnie przyszedł tam godzinę wcześniej!

W tej chwili odezwał się dzwonek telefonu. Pułkownik podniósł słuchawkę.

— Niemiroch. Słucham... Ach, to pan, panie mecenasie... Naturalnie. Jest pan u nas zawsze miłym gościem... Oczywiście. Uprzedzę na dole w dyżurce. Proszę przyjść bezpośrednio do mojego gabinetu.

Pułkownik odłożył słuchawkę.

— Właśnie — poinformował Kaczanowskiego — dzwonił Ruszyński. Słyszałeś? Zaraz tu będzie. Powiedział, że chciałby z tobą porozmawiać, ale boi się, że nie ucieszysz się na jego widok.

— Jeszcze by... Niech idzie do stu par diabłów. Odplywam.

Pułkownik roześmiał się w głos.

Nie upłynął i kwadrans, kiedy adwokat zjawił się w Pałacu Mostowskich. Pułkownik kazał sekretarce podać kawę, a i sam wyciągnął z szuflady biurka butelczynę winiaku.

— Wypijmy, mecenasie, za pańskie sukcesy.

— Za nasze sukcesy — zastrzegł się Ruszyński.

— Słusznie, za nasze sukcesy i za naszą zgodną współpracę.

— Oj, to by się przydało.

— Coś się nie składa? — pułkownik udawał, że w niczym się nie orientuje.

— Nie bardzo się składa. Major Kaczanowski od samego początku uprzedził się do mnie. Nie przyszedłem tu ze skargą, ale skoro już zaczęliśmy o tym mówić, nie mogę milczeć.

— No, mecenasie, jeszcze jednego. Zupełnie niezły jest ten winiak. Prawda?

— Zawsze twierdziłem, że ten zwykły jest lepszy niż ten w opłatanej butelce.

Z namaszczeniem i bez pośpiechu obaj panowie wypili do dna. Niemiroch znowu napełnił kieliszki.

— Panie mecenasie — zaczął dyplomatycznie — cenię pańską wielką wiedzę prawniczą, szanuję ogromne doświadczenie, podziwiam genialną wprost intuicję. Niemniej, obawiam się, pan sam nie odnajdzie porwanego dziecka. Oddał pan milicji nie raz i nie dwa ogromne usługi. Przyczynił się pan i w tej sprawie do tego, że uniknęliśmy poważnych błędów. Jednakże żaden, najlepszy nawet adwokat nie zastąpi aparatu milicyjnego.

— To jasne.— zgodził się Ruszyński.

— Więc dlaczego chce pan działać w pojedynkę?

— Nigdy nie miałem takich zamiarów. Ale pan major Kaczanowski postępuje tak, jak gdyby specjalnie chciał mi zrobić na złość. A nawet ośmieszyć.

— A pan mecenas kropka w kropkę go naśladuje. A może to właśnie on bierze przykład z chluby naszej palestry?

— Wszystko, co zrobiłem, to jedynie dla dobra sprawy.

— W to nie wątpię. Chciałbym jednak, żeby i milicja wiedziała o sukcesach mecenasa.

Adwokat wyjął z teczki kilka arkuszy papieru i podał je oficerowi.

— Proszę, pułkowniku. Specjalnie dlatego dzisiaj tak wcześniej tu przybiegłem. Dokładny protokół rozmowy z dziewczynką. Odtworzony wiernie nie tylko z mojej pamięci, ale także z pomocą konsultacji obojga rodziców, którzy byli świadkami rozmowy. Dla pewności sporządziłem te zapiski w trzech egzemplarzach. Sobie pozostawiłem odpis.

— Dziękuję, mecenasie. Niewątpliwie jest to duże osiągnięcie. Naszemu psychologowi poszło gorzej.

— Jak pan widzi, staram się, a pułkownik na mnie z góry...

— Mecenasie, doskonale pan się orientuje, o co mi chodzi. Dochodzenie zamieniło się w jakąś grę. Trudno powiedzieć, czy to szachy, czy też ping-pong pomiędzy Ruszyńskim a Kaczanowskim. Czy tak być powinno?

— To się stało nie z mojej winy. — Adwokat był równie uparty jak major. — Ja lojalnie zgłosiłem swoją współpracę i nadal podtrzymuję tę ofertę.

— No, z tą lojalnością różnie bywało...

— Wina jest po obu stronach — zauważył Miecio.

— To na pewno, ale czas z tym skończyć. Zaraz zawołam tu Kaczanowskiego i zakopimy topory wojenne. Zgoda?

— Zgoda.

Kiedy major ponownie znalazł się w gabinecie zwierzchnika, pułkownik palnął małą mówkę.

— Panowie — zaczął — jesteście obaj dorosłymi, poważnymi ludźmi. Los was zetknął w ten sposób, że macie wspólne, bardzo poważne zadanie do wykonania. Nie ma

tutaj „zawodowca” milicjanta i „amatora” adwokata, który mu przeszkadza. Jest oficer dochodzeniowy i pełnomocnik matki porwanego dziecka. Ich zadanie polega na jak najszybszym odnalezieniu zaginionego. A tymczasem cóż się dzieje? Zachowujecie się jak sztubacy. Jeden drugiemu płata psie figle. Wiem dobrze, że każdy z was samodzielnie potrafiłby doprowadzić akcję poszukiwania małego Januszka do zwycięskiego końca. Ale wspólnie zrobicie to znacznie szybciej. Czas wreszcie skończyć z głupimi żartami.

— Pan pułkownik ma zupełną słuszność — przemógł się wreszcie major i wyciągnął rękę do adwokata.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a pułkownik bez słowa sięgnął do szuflady biurka i już wyjmował trzeci kieliszek.

— Napijemy się za zgodę. Żeby była twardsza. Ale po jednym. I tak chodzą plotki po Pałacu Mostowskich, że „stary” ostatnio strasznie się rozpił. I... do dzieła! Co panowie zamierzacie?

— Nie wiem dokładnie, czego się mecenas dowiedział o małej Krysi?

Pułkownik podał majorowi notatki Ruszyńskiego.

— Tak. To bardzo ważne — stwierdził Kaczanowski. — Tym razem w akcji uprowadzenia dziecka występowała kobieta. Sądząc z określenia Krysi i z koloru peruczki pani Derkowskiej — blondynka. Albo zrobiona na blondynkę. Niemniej ciekawe jest spostrzeżenie Krysi, że ta kobieta zdjęła małemu czerwony berecik. To przekreśla dotychczasową pracę naszych wywiadców, którzy przecież rozpytywali o dziecko w czerwonym bereciku.



— Działała sugestia, o której już wspominałem — adwokat nie mógł nie pochwalić się — że chłopczyk poszedł nad Wisłę i wpadł do rzeki. Gdyby brano pod uwagę możliwość porwania Januszka, każdy od razu domyśliłby się, że pierwszą czynnością porywacza będzie zdjęcie dziecku nakrycia głowy.

— No, cóż, trzeba to odrobić. Może uda nam się znaleźć kogoś, kto sobie przypomni, że w tej okolicy widział wówczas kobietę prowadzącą za rączkę małego chłopca.

— Trzeba największą uwagę zwrócić na ulicę Czerwonego Krzyża, Spasowskiego, Tamkę i Wybrzeże Kościuszkowskie — dorzucił pułkownik. — Tam na pewno czekał samochód, którym wywieziono dziecko z rejonu Powiśla. Może ktoś to zauważył?

— Nie ulega wątpliwości, że było tak, jak pułkownik mówi. Najważniejsze, aby znaleźć kogoś, kto mógłby nam dostarczyć jakichś danych o tej kobiecie. Krysia pamięta jedynie kolor włosów, bo był podobny do matczynych. Zresztą czy to absolutna prawda, czy dziewczynka nie fantazjuje?

— Musimy — dodał adwokat — przyjmować słowa dziecka za dobrą monetę i szukać ich potwierdzenia.

— Jutro poślę w ten rejon moich najsprytniejszych ludzi. A pan mecenas jakie ma zamiary?

— Chciałbym się wybrać do Krakowa.

— A tam po co? — zapytał pułkownik.

— W Krakowie — poinformował major — mieszka teściowa pani Kowalskiej. Osoba, która walnie przyczyniła się do rozbicia tego małżeństwa.

— Właśnie. Chciałbym porozmawiać z tą panią.

— Racja! — przypomniał sobie pułkownik. — Ale

krakowska milicja sprawdzała alibi wdowy po rzeczywistym tajnym radcy dworu. Była cały czas w Krakowie.

— Nie podejrzewam jej specjalnie — wyjaśnił adwokat.  
— Trudno przypuszczać, żeby osoba pod siedemdziesiątkę ryzykowała już nie tyle samo porwanie, co wychowanie dziecka. Na to trzeba mieć pewność, że będzie się żyło jeszcze co najmniej piętnaście lat. A chyba starsza pani Kowalska nie zawarła tego rodzaju paktu z Panem Bogiem czy też z diabłem.

— Ona nie nazywa się Kowalska — poprawił Kaczanowski. — Po rozwodzie pani Helena wróciła do panieńskiego nazwiska. Nasza radczyni to Maria Teresa Szczerbiecka. Jej adres: Kraków, ulica Łobzowska 77.

— Major ma świetną pamięć i doskonale zna akta sprawy — Ruszyński pochwalił niedawnego antagonistę.

— Czego mecenas chce się dowiedzieć od pani Szczerbieckiej?

— Dokładnie sam nie wiem — szczerze przyznał adwokat. — Chciałbym wczuć się w atmosferę małżeństwa. Poznać powody, z jakich się rozleciało. Każdy medal ma dwie strony. Niekoniecznie wszystko, co mówiła pani Kowalska o swoim związku małżeńskim, musi być prawdą, tylko prawdą i samą prawdą. Chciałbym też usłyszeć zdanie teściowej na temat uprowadzenia dziecka. Może ona będzie miała jakąś teorię, gdzie szukać sprawcy?

— Czyby się nie udało wykombinować mecenasowi jakąś delegację służbową? Jak myślisz, Janusz?

— Zrobi się.

— Dziękuję. Mam pod koniec tego tygodnia termin w Sądzie Wojewódzkim w Krakowie. Przy okazji znajdę godzinkę, aby porozmawiać z panią Szczerbiecką na różne

interesujące mnie tematy. Może z niej coś wyciągnę, co ułatwi nam dalsze dochodzenie. Mam raczej większe szanse, niż gdyby milicja przesłuchiwała ją oficjalnie.

— Tak, to może się nam przydać — zgodził się major. — W tej cholernej sprawie nigdy nie wiadomo, która dobra, a która fałszywa droga. Uprzedzę Komendę Wojewódzką MO w Krakowie. Gdyby mecenasowi potrzebna była jakakolwiek pomoc, proszę się do nich zwrócić.

— Przypuszczam, że do tego nie dojdzie. To na razie wstępne rozpoznanie. Poszukiwania motywu działania przestępcy. Kiedy to zrozumiemy, samo odnalezienie sprawcy porwania małego Januszka będzie już znacznie łatwiejszym zadaniem.

## Rozdział VII

### Po sukcesach znowu porażki

Młody człowiek włókł się niby bez żadnego celu Wybrzeżem Kościuszkowskim. Doszedł do rogu ulicy Czerwonego Krzyża. Uważnie obejrzał gmach teatru „Ateneum”, jak gdyby widział go pierwszy raz w życiu. Przystudiował fotosy wiszące w gablotach. Mijali go przechodnie, ale wywiadowca MO otaksował ich jako nietutejszych, a w każdym bądź razie nie takich, którzy by orientowali się w wydarzeniach tej dzielnicy.

Ale właśnie ze znajdującego się naprzeciwko budynku hotelu nauczycielskiego wyszedł listonosz. Pracownik MO spojrział na zegarek. Za kwadrans dwunasta. Podszedł do pocztowca.

— Chciałbym z panem zamienić parę słów.

- Nie teraz, panie ładny, torba pełna, a czego pan chce?
- Nie zajmę dużo czasu. Będę szedł obok. Jestem z milicji — pokazał legitymację.
- Mów pan tak od razu. A co tam?
- Słyszał pan o chłopcu, który zaginął w pobliżu przed czterema miesiącami.
- Pewnie, że słyszałem. Przecież to mój rejon. Chłopczyk w czerwonym berecie. Jak czerwony kapturek. Ale nie wilki go zjadły, tylko wpadł do Wisły. Milicja już mnie o niego pytała. Rozpytywali zresztą wszystkich. Nie widziałem.
- Wiem, że pan nie widział czerwonego beretu. Chodzi o coś innego. Pamięta pan tamten dzień ósmego czerwca?
- Panie, co tu można pamiętać... Dni listonosza są podobne do siebie. Rzemień ciężkiej torby przygina do ziemi, a droga od bramy do bramy. Napełnianie listami skrzynek. Doręczanie przekazów pieniężnych i listów poleconych. Dobrze jak dom z windą. Kiedy jej nie ma, trzeba się drapać po schodach aż pod samo niebo. Pan wie, jakiś student to obliczył, że ja już byłbym w połowie drogi między Ziemią a Księżycem. Ale czy to prawda?
- Pan zawsze o tej porze roznosi listy?
- Zaczynam o dziewiątej, bo wtedy wydają listy z ekspedycji. Obchodzę Dobrą, potem Czerwonego Krzyża i skręcę na Wybrzeże Kościuszkowskie. Zawsze zejdzę najmarniej dwie do trzech godzin, zanim tutaj dotrę. Trzeba kilka razy wracać na pocztę po nową porcję towaru.
- A nie zauważył pan, to mogło być akurat ósmego czerwca, że jakaś kobieta prowadzi za rękę chłopczyka z gołą głową? Może wsiadali do samochodu?

Listonosz namyślał się.

— Na pewno nieraz mijały mnie kobiety prowadzące małych chłopców za rękę. Ale żeby akurat wsiadali do samochodu? Nie widziałem.

— Niech pan sobie przypomni.

— Nie widziałem. Ja nie zwracam uwagi na to, co dzieje się na ulicy. Muszę listy roznosić, nie gapić się. Rejon bardzo duży. Na żarty nie ma czasu.

— Trudno — westchnął wywiadowca — przepraszam pana i dziękuję chociaż za dobre chęci.

— Nie ma za co. Może gdzie indziej pójdzie wam lepiej?

Ale i gdzie indziej także nie szło. Nie widziała chłopczyka ani portierka z hotelu, która przecież miała dobry widok na ulicę przez wielkie szklane wejście, ani niczego nie zauważyli chłopcy grający na trawniku w piłkę nożną, chociaż twierdzili, że w czerwcu, jeszcze przed wakacjami, także codziennie grywali tu rano, bo chodzą do popołudniówki.

Wywiadowca łąził cały dzień i wrócił do komendy z pustymi rękoma. Nieco lepiej poszło jego koledze, który penetrował rejon na południe od Mostu Poniatowskiego. Jeden z mężczyzn z obsługi stacji benzynowej, znajdującej się w alei Trzeciego Maja koło nowego „ślimaka”, którym można wjechać na most, zapamiętał w pobliżu stacji samochód. Wsiadła do niego kobieta prowadząca jakiegoś chłopca. Pracownikowi wydawało się, że to mogło być ósmego czerwca, ale przysiąc, nie przysięgnie. Przecież upłynęło od tego czasu ponad trzy miesiące. W ogóle zdarzenie uszłoby jego uwagi, gdyby nie fakt, że chłopczyk, kiedy go wsadzano do samochodu, płakał, a auto natychmiast odjechało.

— Co to był za wóz?  
— Chyba jasna „syrena”, ale nie jestem pewien.  
— Pamięta pan może wygląd chłopca?  
— Nie zwracałem uwagi, właśnie podjechał jeden gość i poprosił o sprawdzenie ciśnienia w oponach.  
— No, ale to było duże dziecko?  
— Nie. Ze trzy, cztery lata.  
— Miał czapkę na głowie?  
— Ciągłe wam jeszcze chodzi o tego chłopczyka w czerwonym berecie? — zdziwił się benzyniarz. — Przecież tamten wpadł do rzeki. To nie był on. Pamiętam, że miał jasne włosy i był bez beretu.  
— A ta kobieta?  
— Jak to kobieta. Co ja mogłem widzieć? — sprzedawca zaczynał się denerwować przeciągając się indagacją. — Mam swoją robotę. Nie płacą mi za gapienie się na kobiety.  
— Ale stara czy młoda, to pan chyba zauważył?  
— Młoda nie była. Tyle pamiętam. Nic więcej.  
— A włosy?  
— Bo ja wiem? Panie władzo, odczep się pan ode mnie. Już przecież raz mnie maglowaliście.  
— Więc jasna „syrena”... — wywiadowca nie dawał za wygraną.  
— Tak mi się widzi. Nieco już podniszczona.  
— A kierowca?  
— Nie zauważyłem, żeby wychodził z auta. Nic o nim nie mogę powiedzieć... Chyba młody. Młodszy od tej kobiety.  
— Samochód miał warszawską rejestrację?  
— Żeby to ja wiedział? Popracuj pan na moim miejscu, to także będzie pan taki mądry jak ja w tej chwili.

To była jedyna zdobycz majora Kaczanowskiego. Sam przyznawał, że niewielka. Dochodzenie nie mogło ruszyć z miejsca.

A tymczasem adwokat Ruszyński realizował swój plan w Krakowie. Wdrapał się na trzecie piętro domu przy ulicy Łobzowskiej. Na drzwiach mieszkania oznaczonego numerem jedenastym wisiała bardzo już zużyta mosiężna tabliczka. Głosiła:

FRANCISZEK JÓZEF SZCZERBIECKI

— Cała monarchia habsburska — w głos rozeźmiał się mecenas. — Ojciec Franciszek Józef, matka Maria Teresa, a syn Karol. Trochę tylko kolejność przestawiona. Cesarzowa Maria Teresa nie była żoną, lecz babką Franz-Josefa.

Nacisnął guzik dzwonka. Dopiero po upływie paru chwil rozległo się szuranie domowych pantofli i kobiecy głos zapytał:

— Kto tam?

— Swój. Ja do pani Marii Szczerbieckiej.

Drzwi uchylły się na szerokość, na jaką pozwalał założony łańcuch. W szparze między drzwiami a framugą mecenas dostrzegł wydatny nos, dwoje bystrych oczu i ciemne, szpakowate włosy.

— Siostry nie ma. Wyjechała.

— Co za szkoda — Ruszyński nagle zmienił pierwotny zamiar — mnie tu skierował znajomy pani Marii, adwokat Sas-Wisłocki. Podobno pani Szczerbiecka ma do sprzedania sekretkę. Właśnie takiego antyku brakuje mi do kompletu.

Nazwisko znanego w Krakowie adwokata zrobiło swoje. Kobieta zdjęła łańcuch. Mecenas uklonił się, jak gdyby; przed nim stała autentyczna cesarzowa austriacka.

— Całuję rączki — powiedział. — Mmmszyński jestem — wymówił nazwisko niewyraźnie. — Z kim mam przyjemność?

— Jestem siostrą.

— Od razu się domyśliłem. Panie są bardzo podobne.

— Pan zna Marysię?

— Nie osobiście, niestety, łaskawa pani, ale pan mecenas Wisłocki kiedyś mi panią Marię pokazał w kawiarni i dużo o niej mówił, a zwłaszcza o świętej pamięci nieboszczyku mężu.

— Proszę, niech pan wejdzie — kobieta nabierała zaufania do tego przyjemnie wyglądającego pana, mówiącego tak gładkie słówka.

Ruszyński nie kazał sobie tego powtarzać dwa razy. Za chwilę znalazł się w zagraconym do ostatnich możliwości salonie.

— Właśnie mecenas Wisłocki mówił mi o tej sekretlerce — pokazał na naprawdę ładny antyk.

— Nie wiem, czy Marysia zechce ją sprzedać. To pamiątka po dziadku jej męża.

— Piękny mebel!

— Ja tam wolę nowoczesne. Nie ma teraz mieszkań na te wszystkie fotele, stoliki i etażerki.

— Pani ma rację. Ale ja kocham starocie. Może jednak uda mi się namówić panią Szczerbiecką?

— Chyba nie. Może co innego to by i sprzedała. U niej, jak i u wszystkich przyzwoitych ludzi, dzisiaj się nie przelewa.

— Pozwoliłaby mi pani dobrodziejka rzucić okiem na te inne mebelki?

— Proszę bardzo — siostra Szczerbieckiej była kobietą w



wieku po sześćdziesiątce. Niska i dość krępa, trzymała się prosto, ruchy miała żywe.

Mieszkanie składało się z trzech pokoiów, po których trudno się było poruszać bez obawy zawadzenia o jakiś przedmiot. Pełno tu stało najrozmaitszych figurek i bibelotów. Przeważnie bezwartościowa tandeta, chociaż mogły się zdarzyć i rzeczy cenniejsze. Adwokat, pobieżnie oglądając pomieszczenia, zauważył parę porcelanowych figurek, prawdopodobnie „stary Wiedeń”, i trochę ciekawej porcelany w oszklonej serwantce. Meble także były „od Sasa do lasa”, ale i tutaj czasem błysnął prawdziwy antyk.

— A szanowna pani Szcherbiecka na długo wyjechała?

— Wróci za dziesięć dni. Jest w Krynicy na kuracji.

— Krynica bardzo dobrze robi. Sam tam jeżdżę co roku — zełgał Ruszyński, który z Warszawy ruszał się jedynie do pobliskiego Nałęczowa. — Piękne meble! I jak świetnie utrzymane. Prawdziwe skarby. A ta porcelana...

— To dorobek z dawnych, dobrych czasów.

— Słyszałem, że pan Szcherbiecki był rzeczywistym tajnym radcą dworu — ten tytuł adwokat wymówił z najwyższym szacunkiem.

— To nie on, jego ojciec. Zmarł staruszek w czasie okupacji. W salonie wisi order, który mu osobiście wręczał ostatni cesarz Austrii, Karol. Franciszek był radcą w magistracie.

— Zauważyłem od razu. Wysokie odznaczenie. Pani mieszka razem z siostrą?

— Nie. Przy córce w Myślenicach. Tylko kiedy Marysia wyjeżdża, prosi mnie o przypilnowanie mieszkania.

— Słusznie. Jak się ma takie skarby — słowa Ruszyńskiego były przesadą, ale niezbyt wielką. Przecież na

ścianach wisiały: jeden Brandt, na pewno autentyczny, dwa Kossaki i parę innych dobrych płócien. Wszystko to zresztą obok litografii wołających o pomstę do nieba.

Jedno zdziwiło adwokata. Brak jakichkolwiek zdjęć czy portretów rodzinnych. Nie spostrzegł nawet fotografii jednego syna, który tak niedawno zmarł.

— Państwo Szczerbieccy nie mieli dzieci?

— Mieli trójkę — wyjaśniała siostra — ale dwoje zmarło zaraz po urodzeniu. Dorosły syn, inżynier, przed paru laty.

— To straszny cios.

— W ogóle Marysia nie miała lekkiego życia. Najpierw tych dwoje małych, później mąż, który zmarł w pięćdziesiątych siódmym roku, wreszcie i Karol.

— Na co umarł?

— Mąż i syn na raka. Mąż na raka płuc.

— To pewnie przez papierosy? Dużo palił?

— Nigdy nie brał papierosa do ust. A syn na białaczkę.

Ale pan ciekawy!

— Taki byłem zawsze. Od dziecka — adwokat, aby nie budzić podejrzeń, zaczął się żegnać. — Kiedy już pani Szczerbiecka wróci z kuracji, odwiedzę ją. Może mi się jednak uda kupić tę sekreterę?

— Niech pan próbuje. Powiem siostrze, że pan był — sucho stwierdziła starsza kobieta.

Na najbliższym spotkaniu major i adwokat mieli rzadkie miny. Znowu upłynął prawie tydzień, a oni nie mogli się pochwalić sukcesami. Przyznali się do tego szczerze, wymieniając swoje doświadczenia.

— Jeżeli to nawet była kobieta z małym Januszkiem — stwierdził Kaczanowski — co nam z tego, że odjechała samochodem sprzed stacji benzynowej, kiedy brak

jakichkolwiek szczegółów pozwalających na zidentyfikowanie auta lub porywaczki.

— U Szczerbieckiej śladu dziecka. Uważam też, że jestem spalony na tym terenie. Jej siostra musiała się domyślić, że nie chodzi mi o meble, bo pod koniec naszej rozmowy stała się nagle bardzo podejrzliwa.

— U Szczerbieckiej, jak i u jej siostry, sprawdziliśmy. W Myślenicach zrobimy to jeszcze raz. Spróbujemy także ustalić, co robiła Szczerbiecka w Krynicy.

— I cóż to nam da? — mecenas był pesymistą.

— Ale w razie czego nie będziemy mieli sobie nic do wyrzucenia. W tej sprawie, przeczuwam to, dochodzenie ruszy z miejsca przy jakimś na pozór nie znaczącym drobiazgu.

— Może powtórzyć komunikaty w radio i w telewizji? Inaczej zredagować tekst. Kto widział kobietę z małym chłopcem, ósmego czerwca lub później, jadących jasną „syreną”. Kobieta, blondynka w starszym wieku...

— To na nic. Kobieta mogła mieć perukę, którą zdjęła w samochodzie. A takim komunikatem wystraszymy porywaczy. Niech im się zdaje, że przyjęliśmy hipotezę utonięcia dziecka. Tymczasem wydałem polecenie sprawdzenia wszystkich meldunków w całej Polsce, czy gdzieś nie zameldowali małego chłopca o nazwisku Janusz Kowalski lub o podobnym brzmieniu. Wiek trzy, cztery czy też pięć lat. Metrykę na pewno przerobili, ale zapewne nie całą. Na dacie urodzenia zmienili tylko jedną cyfrę. Falszerze zawsze tak postępują. To samo z imieniem i nazwiskiem. Janusza łatwo przerobić na Jana, a Kowalskiego na Powalskiego. Znamy te chwytły i pod tym kątem będziemy rozpatrywali materiały, które nam dostarczy Centralne Biuro Adresowe.

— Gigantyczna robota.

— Ale musi być zrobiona, choć być może niczego nowego nam to nie przyniesie. Obawiam się, że porywacze, wolno chyba już dzisiaj mówić o nich w liczbie mnogiej, są bardzo sprytni.

## Rozdział VIII

### Masz, Cyganie, świadka?

Ogromną sensację w sto czwartym zespole adwokackim wzbudziło dwóch Cyganów, którzy zjawili się w lokalu zespołu już o godzinie trzeciej po południu. Jeden był starszym człowiekiem, tak pod siedemdziesiątkę, drugi nie dobiegł trzydziestki. Obaj o ciemnej cerze, czarnych, falujących włosach i wielkich oczach. Ubrani z przesadną elegancją. Ciemne garnitury, piękne różnokolorowe koszule. Na lewym ręku starszy Cygan miał ciężką, złotą bransoletkę, obaj zaś wiele pierścieni na palcach.

— My do pana mecenasa Ruszyńskiego — ten starszy bezbłędnie władał literacką polszczyzną — chcieliśmy się zapisać na listę przyjęć w dniu dzisiejszym.

— Nie prowadzimy listy — wyjaśnił woźny pan Franciszek. — Mecenas Ruszyński przyjdzie dzisiaj dopiero około wpół do piątej, bo ma sprawę w Sądzie Powiatowym dla miasta Pruszkowa. Mecenas przyjmuje klientów w kolejności zgłoszeń. Na razie do niego jeszcze nikogo nie ma. Przyjdźcie, panowie, tak dwadzieścia po czwartej. I tak będziecie pierwsi.

— Zaczekamy — zdecydował starszy Cygan.

Usiedli na krzeselkach obok siebie i trwali bez ruchu i bez jednego słowa, jak dwa ciemne posągi. Pozornie obojętni na wszystko, co ich otaczało, i rzekomo nie zdający sobie sprawy, jaką sensację wywołali swoim pojawieniem się.

Dopiero gdzieś za kwadrans piąta Ruszyński zjawił się w zespole. Był w świetnym humorze. Wygrał ciężki proces.

— Panie mecenasie — wyjaśniał Franciszek — w poczekalni pełno klientów. Sami nowi. Są także dwaj Cyganie. Czekają już prawie dwie godziny. Tyle się dziś narodu zeszło, nie wiem, czy damy radę wszystkim przyjąć.

— Damy, damy. Nie pozwolę im za długo głądzić. Kto pierwszy?

— Chyba należy się tym Cyganom. Najdłużej czekają.

— Dobrze, Franciszku. Dawaj pan Cyganów.

— Jestem Tymoteusz Kwiek — przedstawił się starszy Cygan — a to mój syn Damazy.

— Jakie piękne imiona — pochwalił Ruszyński.

— My, Cyganie, szanujemy tradycję. Dzieciom nadaje się imiona, jakie nosili ich ojcowie i dziadowie. Kwiekowie to stary ród Cyganów polskich.

— Wiem, wiem. Byłem przed wojną na koronacji jednego z was.

Cygan nieznacznie się skrzywił.

— To był zwykły cyrk — mruknął niechętnie. — Mateusz za bardzo lubił pieniądze.

— Co panów do mnie sprowadza? — mecenas pamiętał, że inni klienci czekają.

— Mam kłopoty z najmłodszym synem, Sebastianem. Krzywdę chłopakowi zrobili.

— Kto? Chuligani? — zdziwił się Ruszyński.

- Nie. Milicja. Zatrzymali go.
- Za co?
- Potrącił na motorze jednego.
- Dawno?
- To było wczoraj po południu.
- Gdzie?
- Na szosie pod Strugą. Tam mieszkamy z całą rodziną.
- Nie pod Strugą, koło Pustelnika — wtrącił młodszy

Cygan.

- A ty milcz, jak starsi rozmawiają.

Zgromiony trzydziestoletni chłop zamilkł i aż się skurczył na swoim krzeselku.

— Teraz to jajko chciałoby być mądrzejsze od kury. Żeby ja tak przerwał kiedy swojemu ojcu, zębów bym się w pysku nie doliczył.

— Ten przejechany doznał ciężkich obrażeń? Leży w szpitalu? — adwokat pytaniami przerwał rodzinne nieporozumienie.

— Nic mu nie jest. Trochę potłuczony. Tylko dwa żebra złamane.

- A wasz syn?
- Tyle, że siedzi.
- A był chociaż trzeźwy?
- Naturalnie. Na trzech wypili tylko litra.

— No tak, to rzeczywiście trzeźwiutki. Brali mu krew po wypadku?

- Brali — zgodził się Tymoteusz Kwiek.

Młodszy z Cyganów zrobił taką minę, jak gdyby chciał coś powiedzieć.

- Możesz mówić — zezwolił łaskawie ojciec.
- Jeszcze na miejscu kazali mu dmuchać w balonik.

- Przyjechało pogotowie i milicja?
- Tak. Zabrali chłopaka do samochodu i zawieźli na posterunek. Trzymają tam do tej pory. Opowiadał znajomy milicjant, że jutro mają go przewieźć do więzienia i że będzie go przesłuchiwał prokurator.
- Miał chociaż prawo jazdy?
- Nie miał.
- A motor był jego?
- Nie. Pożyczył sobie. Stał na szosie.
- Adwokat roześmiał się.
- Z ładną sprawą przyszlście. Kradzież motocykla, używanie go bez prawa jazdy. Przejechanie człowieka i wypadek wywołany nadużyciem alkoholu.
- Właśnie dlatego przyszedłem do pana mecenasa, żeby pan go ratował.
- Cóż ja mogę zrobić?
- Żeby go prokurator wypuścił za kaucją. Zapłacimy, ile zażądata.
- Ten numer nie przejdzie. Prokurator, dobrze się orientuje, że jak tylko wypuści waszego ptaszka z klatki, więcej go nie zobaczy.
- Więzienie nie dla Cyganów — stwierdził filozoficznie starszy Kwiek.
- Ciężka sprawa. O zwolnieniu nie może być nawet mowy.
- Panie mecenasie, zapłacimy, ile pan zechce. Zrobimy wszystko. Cyganie umieją być wdzięczni. Przekona się pan.
- Panie Kwiek, cóż tu można zrobić? Prawo jest prawem. Na rozprawie można walczyć o możliwie najniższy wyrok. Tłumaczyć chłopaka młodym wiekiem, głupotą, bo ja

wiem czym, ale zwolnić przed rozprawą mowy nie ma. Ile pański Sebastian ma lat? Pełnoletni?

— Osiemnaście skończył. Na wiosnę idzie do wojska.

— Nie będę was łudził, panowie. Nie widzę, co mógłbym w tej sytuacji zrobić.

— Ja także rozumiem, że chłopak głupio wpadł. Postaraliśmy się mu trochę pomóc.

— W jaki sposób?

— Ten potrącony nie ma żadnej pretensji do mojego syna. Nie uważał. Wybiegł z domu i nie rozglądając się przebiegał przez jezdnię. To on wpadł na motocykl, a nie syn na niego. On bardzo przeprasza Sebastiana za to, co zrobił.

— Przypuśćmy — powątpiewał adwokat.

— A właściciel motocykla także nie złożył meldunku, że mu motor ukradli. To przecież przyjaciel Sebastiana i nieraz mu pożyczał maszynę. Syn mógł brać ten motocykl, ile razy chciał.

— Ale ten człowiek zeznał, że mu skradziono motor — Ruszyński strzelił na ślepo.

— On tak mówił — zgodził się Cygan — ale potem dobrze sobie wszystko przypomniał i zmienił zeznania. On już dawno chciał swoją starą „wuefemkę” zamienić na nową „jawę”.

— Rozumiem. I co dalej?

— Mój syn, kiedy się zdarzył ten wypadek, bardzo się przestraszył. Dostał jakiegoś ataku. Rzucił się na ziemię. Strasznie płakał. Dostał drgawek i konwulsji.. Znajomi Cyganie, nie krewni, nie rodzina — zastrzegł się szybko starszy pan — chcieli ratować chłopaka i dali mu wódki. On nie chciał pić, bo nigdy nie pije. Wleli mu w usta prawie całą butelkę. Jeszcze zanim przyjechało pogotowie i milicja.



— Chłopakowi pomogło? — uśmiechnął się Ruszyński.  
— Jak ręką odjął. Tylko dlatego z tym balonikiem źle wypadło.

— Panie Kwiek, za te matactwa możecie głupio posiedzieć. Znacznie dłużej niż wasz syn. Za to w większym towarzystwie. Razem z waszymi wszystkimi świadkami.

Cygan nie obraził się.

— Tu nie ma żadnego matactwa. Ci świadkowie ludzie dorośli. Mężczyźni i kobiety. Nie karani.

— I pan liczy, że prokurator i sąd uwierzą w te bajki?

— Jak nie mają uwierzyć w zeznania dziewięciu świadków? Jeżeli trzeba, znajdziemy jeszcze więcej.

— Też Cyganów?

— Mogą być i nie Cyganie. W Strudze ludzi dużo. Niejeden widział ten wypadek.

— Panie Kwiek — zdecydował adwokat — poszukajcie sobie innego pełnomocnika.

— Panie mecenasie, jedynie pan może uratować moje dziecko. Błagam pana, niech pan mecenas przyjmie tę sprawę. Zrobię, co pan zechce.

Jakże często adwokat słyszał takie słowa. A przecież zdarzało się, że ludzie, którzy je tak żarliwie wypowiadali, zaraz po zakończeniu procesu zapominali nawet o uregulowaniu reszty honorarium. Ile to razy zespół musiał pisać listy i grozić procesem? Kiedy sprawa się skończyła pomyślnie, klienci uważali, że była łatwa i prosta, i adwokaci nic dla nich nie zrobili, toteż żadne honorarium im się nie należy.

— Pan tak wszystko pięknie wyreżyserował, że żaden adwokat nie jest potrzebny.

— Ja wiem, jak pan mecenas pójdzie i porozmawia z

prokuratorem, zwolnią mi syna za kaucją. Po co dzieciaka trzymać w więzieniu? Tylko za darmo będzie chłop jadł państwowy chleb. Niech pan powie panu prokuratorowi, że jak mi syna wypuszczą, to ja sam z nim porozmawiam. Tak mu wleję, że każdy motocykl będzie na kilometr obchodził, a wódki do ust nie weźmie co najmniej przez pięć lat. Krew z dupy będzie tryskać strumieniami. Sam nieraz dostałem od nieboszczyka ojca i wiem, że to bardziej pomaga niż wszystkie więzienia razem wzięte. Ciężką rękę miał mój ojciec, ale wykierował mnie na ludzi. Mnie i moich braci. Ja też wychowam dzieci na porządnych Cyganów.

— Dużo pan ma dzieci?

— Niestety, nie. Opatrzność poskąpiła tej radości. Tylko czterech synów i trzy córki. Zamężne i dzieciate. Trzech synów także żonaty. Najmłodszy, Sebastian, właśnie w grudniu miał porwać dziewczynę.

— Porwać? To znowu trafi do kryminału — przestraszył się Ruszyński.

— U Cyganów dziewczynę się porywa, a dopiero potem jest ślub.

— Rozumiem. Taka forma. Młodzi się umawiają.

— Co młodzi mają do gadania w takich sprawach? Rodzice uzgadniają pomiędzy sobą. Pokazuje się chłopcu dziewczynę i wyznacza czas i miejsce porwania.

— A jeśli dziewczyna nie zechce? Albo chłopak?

— Na świecie jest coraz gorzej, ale jeszcze nie tak źle, żeby Cygan czy Cyganka nie posłuchali rodziców. Nie byłoby dla nich życia. Ani w taborze, ani gdzie indziej.

— A miłość?

— Na miłość jest miejsce po ślubie. Każdy Cygan kocha swoją żonę i nigdy jej nie zdradza. Cyganki też są wierne.

Oboje kochają dzieci. Każde małżeństwo powinno mieć jak najwięcej dzieci. Chociaż teraz zepsucie dosięga i Cyganów. Ot choćby ten młokos — tu Kwiek wskazał na syna — ma jedynie czwórkę dzieci i ośmiela się mówić, że to wystarczy.

— No tak — zgodził się adwokat — co to znaczy przy pańskiej siódemce?

— Mojej świętej pamięci matka dwadzieścia dwa razy rodziła. Wychowała dziewięciu synów i pięć córek. Dziś już nie ma takich kochających się rodzin.

— Coraz mniej też Cyganów żyje w taborach.

— To prawda. Osiedlamy się. W różnych miastach Polski. Wielu Cyganów pracuje i żyje w Nowej Hucie. Pod Warszawą. W Słupsku. Wiele rodzin cygańskich ma mieszkania, ale także wędruje od miasta do miasta. Jako muzykanci. Sprzedają patelnie. Reperują chłopom maszyny rolnicze. Zajmują się ciesielką. A na zimę wracają do miasta i pracują w fabryce. Cygan wszystko umie, wszystko zrobi.

Adwokat z zaciekawieniem słuchał cygańskiego patriarchy. Nie znał tego świata. Tak bliskiego, ale jakby wyjątego z dawnych wieków.

— No to jak, panie mecenasie? — z niepokojem zapytał Tymoteusz Kwiek — podejmuje się pan sprawy?

— Nieładnie mi ona pachnie. A poza tym pozostaje jazda motorem bez odpowiednich dokumentów.

— Panie mecenasie — zapewniał zarliwie ojciec — niech pan mi wierzy. Dopóki ja żyję, chłopak nie popełni żadnego przestępstwa. Pięciu groszy leżących na ulicy nie podniesie. Dają cygańskie słowo. Pan mecenas powtórzy to prokuratorowi. A więzienie chłopaka mi zniszczy i zepsuje. Zaraz jak go wypuszczą, zrobi prawo jazdy.

To był niewątpliwie argument.

Adwokatowi przyszedł pewien pomysł do głowy.

— Dobrze — powiedział — wezmę sprawę. Ale przysługę za przysługę.

Stary Kwiek wyjął z kieszeni gruby plik tysiąc złotych banknotów.

— Ile, panie mecenasie? — zapytał.

— Schowaj pan te pieniądze. Zapłaci pan w kasie. Wysokość honorarium ustali kierownik zespołu. Mnie chodzi o zupełnie co innego.

— Może pan rozkazywać. Ja i moi synowie zrobimy to, czego pan zażąda.

— Słyszał pan, panie Kwiek, ósmego czerwca w Warszawie na Powiślu zginęło bez wieści małe dziecko. Czteroletni Janusz Kowalski. Były o tym komunikaty w prasie, radio i telewizji.

— Coś tam słyszałem.

— Chciałbym wiedzieć, co z tym dzieckiem się stało?

— Panie mecenasie — stary Cygan był naprawdę oburzony — to nikczemne plotki. Dla nas dziecko jest największym skarbem. Gdyby ktoś ukradł matce dziecko, rodzony ojciec sam by takiego nożem zarznął. A jego bracia jeszcze by trzymali skazańca. To wymyślili podli ludzie przed wiekami. Nigdy nie zdarzały się takie zbrodnie.

— Może dotychczas nigdy, a właśnie teraz po raz pierwszy? Chcę wiedzieć, czy tak było. Ja poprowadzę sprawę, postaram się, aby pańskiego syna zwolnione z aresztu, a pan dowie się, gdzie w taborze cygańskim jest obce dziecko. I nie tylko w taborze.

— To będzie bardzo trudne, panie mecenasie.

— Sprawa pańskiego syna także nie jest łatwa. Dobrze będą musiał przed prokuratorem oczyma świecić i przekonywać

go do waszych świadków.

— Ale skąd obce dziecko u Cyganów? Przecież po kolorze skóry można poznać.

— Czy jest pan pewny, że jakieś bezdzietne małżeństwo cygańskie nie chciało dorównać innym rodzinom? U was kobieta pozbawiona macierzyństwa na pewno jest mniej szanowana niż taka, która rodziła dwadzieścia dwa razy jak pańska matka. Czy taka dziewczyna, żeby ukryć swoją „hańbę”, nie mogła porwać cudzego dziecka?

— To byłaby wielka zbrodnia. Bo bezdzietni Cyganie chowają sieroty po zmarłych krewniakach. Kochają je jak własne dzieci.

Syn pana Kwieka otworzył usta.

— Ojciec pozwoli...

— Mów.

— Ja, proszę ojca, słyszałem o jednym wypadku.

— Kradzieży dziecka?

— Ja nie wiem, czy kradzieży, ale jest Cygan, który ma obce, polskie dziecko.

— Gdzie?

— Nie wiem. Mówili mi. Nie pamiętam już, kto.

— Powtarzasz jakieś plotki — stary ostro huknął na syna.

— To nie plotki. Prawda.

— Słyszysz pan, panie Tymoteuszu, że moje przypuszczenia nie są wysrane z palca, jak się panu zdaje — adwokat w lot chwycił okazję.

— Nie mogę w to uwierzyć — upierał się Kwiek.

— Tu nie chodzi o to, aby pan wierzył, lecz żeby wiadomość została przez pana sprawdzona. Wy, Cyganie, lepiej to zrobicie, niż gdyby miały się w to mieszać władze.

— Jak ja mogę sprawdzić? Cyganów jest dużo. Dziś są tutaj, jutro gdzie indziej, nawet za granicą.

— Moja w tym głowa, żeby pańskiego chłopaka wyciągnąć z ciupy, pańska, żebym dostał nazwisko i adres tych Cyganów.

— A potem będą w taborach mówili, że stary Kwiek został agentem milicyjnym.

— A po sądach będą się śmieli, że stary Ruszyński dopomaga Cyganom w ich matactwach. Już i tak mówi się: „Masz, Cyganie, świadka?” Chyba słyszał pan to przysłowie?

— Nie wiem, co mam robić...

— Nie zatrzymuję pana. Rozejdziemy się i zapomnimy o naszej rozmowie. Może to i lepiej. W każdym razie dla mnie. Nie palę się do obrony Sebastiana Kwieka.

— Niech pan mecenas da pełnomocnictwo.

Adwokat podsunął mu kartkę papieru. Tymoteusz Kwiek podpisał.

— Wierzę cygańskiemu słowu — Ruszyński wyciągnął rękę do klienta.

— W poniedziałek będzie miał pan te dane, o które mecenasowi chodzi — zapewnił stary Cygan — tylko, panie mecenasie, wszystko między nami. W czterech ścianach.

— To, co usłyszę, pozostanie tajemnicą adwokacką — zapewnił Ruszyński.

Adwokat miał jednak rzadką minę, kiedy wkraczał do gabinetu wiceprokuratora powiatowego, prowadzącego śledztwo w sprawie młodego Kwieka.

— Pan mecenas broni tego Cygana? — zdziwił się prawnik.

Ruszyński uchodził bowiem za adwokata, który jak ognia unikał „brudnych spraw”.

— Cygan też jest obywatelem PRL i ma prawo do pomocy adwokata.

— Oni sobie, mecenasie, doskonale radzą sami. W tej sprawie mam już przynajmniej tuzin fałszywych świadków. Właśnie się namyślam, czy nie przyskrzynić całego towarzystwa. Jak posiedzą parę dni, pękną i przestaną kłamać.

— Obawiam się, że nie zmienią zeznań.

— Panie mecenasie, pan wierzy, że mówią prawdę?

— Jako obrońca Sebastiana wolę się na ten temat nie wypowiadać, nawet w półprywatnej rozmowie z prokuratorem — uśmiechnął się Ruszyński — ale znając nieco stosunki panujące wśród Cyganów, sądzę, że ci świadkowie bardziej się boją starego Kwieka niż całego wymiaru sprawiedliwości.

— Otóż to! Tam panują patriarchalne stosunki. Co rozkazała głowa rodu, to jest święte. I dlatego cholera mnie ciska, że nic nie mogę zrobić.

— Niech pan zwolni młodego Kwieka.

— Nie ma prawa jazdy, ukradł motocykl, jechał po pijanemu, wpadł na człowieka. A pan mówi: „niech pan go zwolni”.

— Zapewne było tak, jak pan prokurator przedstawił. Ale pan tego nie dowiedzie. Z jednym wyjątkiem: jazdy bez odpowiednich dokumentów. Jestem pewien, że ten poszkodowany będzie nawet w sądzie twierdził, że to on, piechur, przejechał motocyklistę. A facet, któremu skradziono maszynę, gotów zeznać, że ją podarował w prezencie młodemu Cyganowi. Czy więc, panie prokuratorze, nie lepiej zrobić dobrą minę do złej gry i pójść na małą ugodę?

- Jaką ugodę?
- Zwolnić mojego klienta za odpowiednio wysoką kaucją do rozprawy sądowej. Sąd mu na pewno wlepi sporą grzywnę. Czy więzienie zmieni Cygana?
- Szczerze mówiąc, nie sądzę.
- A może znalazłby się sposób, aby go wyprowadzić na porządnego człowieka?
- Ciekawy jestem?
- Tymoteusz Kwiek, patriarcha rodu, upoważnił mnie do oświadczenia panu prokuratorowi, że on, stary Cygan, zobowiązuje się do takiego pokierowania losami syna, aby ten nigdy nie wszedł w kolizję z prawem. A chłopaka za te figle ojciec już sam ukarze. Obawiam się, że będzie to gorsza kara niż najsurowszy wyrok.
- To takie cygańskie poręczenie?
- Może cygańskie nie gorsze od każdego innego? Prokurator namyślił się.
- Wie pan, mecenasie, to byłby ciekawy eksperyment. Chyba pierwszy w Polsce.
- Tym bardziej pana prokuratora na to namawiam.
- Nie mogę sam o tym decydować. Przecież kręctwa widać jak na dłoni.
- Sądzę, że pańskie władze zwierzchnie dojdą do tych samych wniosków, co pan prokurator. Sprawa by się rozděła jak balon stratosferyczny, a wynik byłby co najmniej wątpliwy. Takie załatwienie problemu, drogą poręczenia, jest przecież zgodne z tendencjami nowego kodeksu.
- No tak, ale Cyganie?
- Konstytucja nie robi rozróżnień pomiędzy obywatelami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — Ruszyński widząc, że prokurator mięknie, tym gwałtowniej atakował.



— Zabił mi pan klina w głowę.

— Jestem przekonany, że pańska propozycja spodoba się i znajdzie uznanie nawet w Prokuraturze Generalnej lub w Ministerstwie Sprawiedliwości. Pan prokurator stworzy ważny precedens.

— Żeby tylko na nim nie połamaliśmy kości.

— Stary Kwiek dotrzyma słowa.

— Jest pan tego pewien?

— Inaczej nie podjąłbym się prowadzenia tej sprawy. Dobrze wiem, że nie jest to kryształ czy brylant pierwszej wody.

— Spróbuję — zdecydował się prawnik. — Na razie jednak nic wiążącego panu mecenasowi nie przyrzekam. Muszę to przekonsultować z szefem.

— Naturalnie — zgodził się Ruszyński — gdyby pan prokurator miał jakieś wątpliwości co do osoby dającej rękojmię, że to rodzony ojciec, to służymy nazwiskami innych, poważanych rodzin cygańskich, a nawet zarządu miejscowej spółdzielni pracy, złożonej w przeważającej części z ludności cygańskiej.

— W każdym razie — zastrzegł się prokurator — kaucja jest raczej wykluczona. Rękojmia, zgoda, lecz będę obstawał za nadzorem milicyjnym. A także zobowiązaniem podjęcia stałej pracy.

— Bardzo słusznie, panie prokuratorze. Całkowicie się z panem zgadzam.

— Pan mecenas złoży odpowiednie podanie?

— Już je napisałem. Z góry wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia.

Adwokat wyjął z teczki papiery i wręczył je prokuratorowi.

— Dzisiaj mamy czwartek — stwierdził prawnik. — Sądzę, że do poniedziałku uzgodnię z moimi władzami odpowiednią decyzję. Niech mecenas zatelefonuje do mnie w sobotę koło południa. Powinienem coś wiedzieć. Przekonał mnie pan i będę popierał taki właśnie sposób załatwienia sprawy. W poniedziałek moglibyśmy załatwić formalności.

— Raczej we wtorek, panie prokuratorze. Dopiero po południu w poniedziałek będę się widział z ojcem mojego klienta.

— Jednakże — zastrzegł się prokurator — wcześniej nie zwolnię chłopaka, aż wszystko będzie związane na ostatni guzik. Szukaj go później po całym kraju.

— Nic mu się nie stanie, jak trochę posiedzi. Przeciwnie, zobaczy, że z władzą nie ma żartów. Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia.

— Podobno zaraz po wypadku, kiedy milicja zabrała chłopaka na posterunek, Cyganie już ofiarowywali za jego wypuszczenie paręset tysięcy złotych.

— Przypuszczam, że gdyby pan prokurator zażądał tak wysokiej kaucji, niewątpliwie zapłaciliby bez mrugnienia okiem,

— Niby biedacy, a skąd mają tyle pieniędzy?

— Sądzę, że w takiej sytuacji cała rodzina czy raczej cały ród składa się solidarnie, aby ratować jednego ze swoich. Te więzy u Cyganów są bardzo silne. A co do pieniędzy, zarabiają na pewno sporo, a wydają dużo mniej.

— Ciekawy naród. I taki tajemniczy.

— Przypuszczam, że to raczej my się nimi zbyt mało interesujemy. Stąd ta tajemniczość. W gruncie rzeczy o ich życiu i obyczajach wiemy stosunkowo niewiele. Bodaj mniej niż o jakichś plemionach afrykańskich.

— Ciągłe jednak nie pojmuję, dlaczego pan mecenas podjął się tej sprawy — prokurator dobrze znał adwokata i jego obyczaje.

— Miałem w tym swój interes.

— Chyba nie finansowy? Chociaż na pewno Cyganie nie będą, jeżeli chodzi o honorarium, zbyt skąpi.

— Mój interes jest ważniejszy aniżeli pieniądze.

## Rozdział IX

### Wyprawa do Słupska

Zabiegi adwokata odniosły skutek. Prokuratura przychyliła się do wniosku Ruszyńskiego, aby zwolnić Sebastiana Kwieka pod nadzór i za poręczeniem udzielonym przez zarząd spółdzielni pracy zajmującej się kotlarstwem. Chłopak miał także pracować w tej spółdzielni.

Tymoteusz Kwiek, kiedy dowiedział się o decyzji prokuratora, nie posiadał się z radości.

— Do grobowej deski będę wspominał, że mecenas uratował mi syna — zapewniał.

— Panie Kwiek, ja słowa dotrzymałem, teraz kolej na pana.

Kwiek wyraźnie się zmieszał.

— Jest taki Cygan — wyjaśnił — nazywają go „Lois”. U niego podobno chowa się polskie dziecko.

— Podobno czy na pewno? Mnie, panie Kwiek, plotki nie obchodzą. Wyłącznie prawda.

Stary Cygan wił się jak przysłowiowy diabeł w kąpielu z wodą święconą.

- No — wyjąkał — jest dziecko.
- A nazwisko tego „Loisa”?
- Po co panu mecenasowi nazwisko? Już milicja go znajdzie bez tego. Im wystarczy „Lois”. Oni mają swoje sposoby.
- Ale ja nie mam.
- Ja nie pamiętam, panie mecenasie. Cyganów jest dużo. Skąd mogę ich wszystkich znać? Wiem, że „Lois”.
- Panie Kwiek, będę musiał jutro zawiadomić prokuraturę, że rezygnuję z obrony pańskiego syna.
- Pan mecenas jest bardzo nerwowy. Ja już sobie przypominałem. On się nazywa Alojzy Srocza.
- A gdzie mieszka? Jaki jego adres albo jak go znaleźć? Do czyjego taboru należy?
- Gdzieś na północy Polski.
- Dał pan słowo, panie Kwiek. To takie wasze cygańskie słowo?
- Nie należy do żadnego taboru. Mieszka w Słupsku i tam pracuje. Czasem grywa w orkiestrze. Zwłaszcza w lecie. W przeszłym roku grał w Sopocie, a nawet w Berlinie, w węgierskiej restauracji.
- Cieszę się, że panu pamięć wróciła. Jaki jest jego adres w Słupsku?
- Koszalińska 15, mieszkania 3.
- A dziecko?
- Srocza — stary Cygan załamał się kompletnie — ożenił się z Polką.
- To tak można?
- Dlaczego nie? Jeżeli ojciec pozwolił, mógł się ożenić. Najmłodsza moja córka także wyszła za Polaka. Mieszkają w Ełku. Straciła głowę dla chłopaka, co miałem robić? Zgodziłem się. Dziewczyna nie była jeszcze nikomu

przyrzeczona. Płakała, gadała głupstwa, że się zabije.

— Więc jednak i u Cyganów zdarza się miłość nie tylko po ślubie.

Tymoteusz Kwiek uśmiechnął się.

— Nieraz rodzice wiedzą, że młodzi mają się ku sobie. Jeżeli na to pozwalają i zgadzają się, wszystko w porządku.

— A wasz zięć, chociaż nie Cygan, też musiał dziewczynę porywać?

— Jego przyjął do rodziny mój cioteczny brat. Wtedy on już był uważany za naszego. Wszystko odbyło się po cygańsku. Potem dopiero były polskie uroczystości.

— To ile tych ślubów było? — zapytał rozweselony adwokat.

— Musiały być trzy. Nasz cygański, cywilny i później, na żądanie rodziców chłopaka, jeszcze kościelny.

— Wesela także były trzy?

— Wesele wyprawilem jedno, ale jak nakazuje stary zwyczaj trwało od niedzieli do niedzieli.

— Wracajmy jednak do Sroczki — adwokat zmienił temat rozmowy.

— Ożenił się z Polką i nie mieli dzieci.

— Porwali cudze?

— Ja tam nic nie wiem, panie mecenasie. Już i tak powiedziałem za dużo. Pan sam może sprawdzić. Przypominam...

— Wiem, wiem. To jest nasza tajemnica. Nikt się nie dowie.

— Jeszcze raz dziękuję panu mecenasowi za uratowanie syna.

— Zrobiłem, co było w mojej mocy. Cieszę się, że się udało. Jutro załatwi się formalności i w środę chłopak będzie w domu.

— Już ja mu dam!

— Panie Kwiek — łagodził Ruszyński — w karaniu też trzeba mieć miarę. Pański syn i tak został ukarany. Będzie musiał meldować się w milicji i nie wolno mu zmieniać pracy. W razie jakiegoś najmniejszego nawet wybryku, znowu trafi do więzienia.

— Ja wiem, panie mecenasie, co należy zrobić. Ojciec dziecku krzywdy nie wyrządzi. A rozumu mu trzeba do głowy dolać. Chociaż inną drogą, od dołu.

— To wasze sprawy.

— Zapłaciłem, panie mecenasie, w kasie, co kazali. Mówiłem, żeby policzyli jak najwięcej. Ale ile tak naprawdę się należy? Niech pan mecenas nie żałuje Cygana.

Stary Kwiek znowu wydobył z kieszeni plik tysiączłówek.

— Wszystko jest w porządku. Dojdzie jeszcze honorarium — wyjaśnił adwokat — jak przyjdzie do rozprawy sądowej.

— Ale dla pana mecenasza za fatygę — upierał się Cygan.

— Zapłacił pan w kasie i to wystarczy.

— W takim razie — Tymoteusz Kwiek podniósł się z krzesła — dziękuję panu za syna. Jutro będę u pana prokuratora z dokumentami, o których pan mecenas mówił. Czy pan mecenas też przyjdzie?

— Nie będę tam potrzebny. Oddacie panu prokuratorowi pismo ze spółdzielni, on wyda decyzję zwolnienia Sebastiana Kwieka.

— Zawsze pan może na mnie liczyć, mecenasie. Zawsze!

Patriarcha cygańskiego rodu opuścił pomieszczenie zespołu, zaś Ruszyński zaczął wykręcać różne numery komendy MO, aby się skomunikować z pułkownikiem Niemirochem, a przynajmniej z majorem Januszem Kaczanowskim. Niestety. Dochodziła szósta wieczorem i obu oficerów nie było już w Pałacu Mostowskich.

Mimo to dumny z siebie Miecio postanowił sam uczcić sukces kolacją w ulubionym „Szanghaju”. Ostatnio wprawdzie „sandacz a la rouge” bardzo się tam zepsuł, ale na szczęście w karcie znajdowało się mnóstwo potraw, które odpowiadały smakiem zarówno mecenasowi, jak i kucharzowi tej restauracji. A poza tym jakoś dotychczas Ruszyńskiemu nie udało się spotkać czarnowłosej dziewczyny, która niedawno siedząc na dole w kawiarni tak się do mecenasusa uśmiechała. Może dzisiaj będzie? Powodzenia, jak i nieszczęścia, podobno chodzą zawsze parami.

Dopiero na drugi dzień mecenas Ruszyński zobaczył się z majorem Kaczanowskim, który uważnie wysłuchał relacji адвоката.

— To wprost nie może mi się pomieścić w głowie! — wykrzyknął. — Niesłychane!

— A jednak mam te wiadomości z bardzo pewnego źródła.

— Jakiego?

Mecenas rozłożył ręce.

— Niestety — powiedział — tajemnica adwokacka.

— A nie zakpił ktoś z pana?

— Ci, którzy ze mnie kpią, na ogół tego szybko żałują.

Major przypomniał sobie niedawne nieporozumienie z mecenasem i taktownie zmienił temat.

— Nie będziemy tego załatwiali przez Komendę

Powiatową MO w Słupsku. Za długo by to trwało. Porozumiem się z pułkownikiem. Myślę, że da mi samochód i jutro skoro świt pojedę na Pomorze. Może uda mi się od razu przywieźć chłopaka?

— To by się matka ucieszyła.

— Pan mecenas ją zawiadomił?

— Broń Boże! A jeśli to jakiś niewypał?

— Jednak pan nie jest pewny.

— Informatora jestem pewny jak siebie samego. Ale nie wiem, co zastaniemy w Słupsku. Dlatego lepiej, aby pani Kowalska nie cieszyła się przedwcześnie. Tym większa byłaby później jej boleść.

— Ma pan rację, mecenasie. To jest pański sukces i powinien go pan sam zdyskontować. Niech pan jedzie ze mną.

— Mam w środę termin w sądzie. Co prawda nic poważnego, mógłbym dać substytucję. A jeżeli bym raz do zespołu nie przyszedł, także dziury w niebie nie będzie...

— Świetnie — oficer milicji powiedział to zupełnie szczerze — a więc o piątej rano będę przed domem mecenas.

— Gdyby były jakieś trudności, możemy wziąć mój wóz.

— Nie jest tak źle. Mamy tu teraz ładny wózek. „Mercedes”, najnowszy typ. Zainstalowano w nim specjalne skrytki do wywożenia obrazów. Cudzoziemiec wołał stracić samochód i grube tysiące dolarów kaucji, niż się stawić na rozprawę. Już dawno chciałem wypróbować te cztery kółka. Ale jakoś przedtem nie było okazji.

Samochód wart był reklamy, jaką mu Kaczanowski zrobił. Prowadzili na zmianę, major i starszy sierżant, Kazimierz Adamik. Strzałka szybkościomierza tylko z rzadka spadała do setki, a prawie nigdy poniżej. Chyba że tablica ograniczała



prędkość lub też przejeżdżali przez „zabudowę zwartą”. Nie-  
wiele po ósmej rano już byli na miejscu.

— Przede wszystkim śniadanie — zdecydował Ruszyń-  
ski.

— Później na kilka minut wstąpimy do komendy MO —  
uzupełnił major — przyznaję, mam emocję, jak nigdy.

Dochodziła dziewiąta trzydzieści, kiedy srebrnopopielaty  
„mercedes” zatrzymał się przed nowym domem przy ulicy  
Koszalińskiej. Nieco z tyłu przystanął na wszelki wypadek  
miejscowy radiowóz.

Mieszkanie oznaczone numerem trzecim znajdowało się  
na parterze. Na liście lokatorów figurowali: Alojzy Sroczka,  
Irena Sroczka, Elwira Sroczka i Andrzej Sroczka. Miejscowa  
milicja zdążyła sprawdzić, że Alojzego zatrudnia jako stolar-  
za słupska fabryka mebli i dzisiaj stawiał się do pracy.

Na głos dzwonka, otworzyła im młoda, przystojna kobie-  
ta. Blondynka. Widok trzech mężczyzn, z których jeden nosił  
mundur sierżanta milicji, wywołał zdziwienie na jej twarzy.

— Panowie do mnie? To chyba jakaś pomyłka?

Major bez ceremonii wszedł do małego przedpokoiku.

Pozostali mężczyźni za nim.

— Pani Irena Sroczka? — zapytał oficer dla formalności.

— Tak jest — poświadczyła pani domu.

— Gdzie jest dziecko?

— Andrzej? — kobieta jeszcze bardziej się zdziwiła. —

Bawi się w kojcu.

Kaczanowski otworzył drzwi. Pod ścianą dość dużego po-  
koju stał kojec, w którym grajdał się roczny niemowlak.

Obok stały dwa dziecinne łóżeczka.

— Mówię o starszym dziecku — ostro rzucił oficer milicji. — Wiemy wszystko. Proszę nie kręcić, tylko mówić prawdę.

Kobieta zbladła.

— Jest o piętro wyżej. Bawi się z córeczką sąsiadki. Będkowskiej — wyszeptała raczej, niż powiedziała. — Czy mam przyprowadzić?

— Nie trzeba. Sami znajdziemy. Sierżancie, idźcie na górę i przyprowadźcie tu chłopaka.

Irena Srocza chciała coś powiedzieć, nawet już otwierała usta, lecz wydobyło się z nich jedynie westchnienie.

— Rozkaz, obywatelu majorze.

Ale sierżant Adamik sprowadził z góry... dziewczynkę. Chyba w wieku trzech lat. Mała była nieco przestraszona i zobaczywszy matkę, kurczowo złapała się jej spódnicy.

— Tam były jedynie dwie dziewczynki — wyjaśnił podoficer. — Pani Będkowska powiedziała, że ta jest Elwirą Sroczką.

— Gdzie chłopak?

— Jaki chłopak? — odpowiedziała pytaniem pani Irena.

— Proszę nie udawać. Ten, którego porwaliście w Warszawie.

— Nie wiem, o kim pan, mówi?...

— Janusz Kowalski. Uprowadzony w dniu ósmym czerwca tego roku. Na Powiślu, sprzed supersamu na Solcu. Przeprowadziliście chłopca przez ulicę; koło stacji benzynowej na panią i dziecko czekał samochód marki „syrena”. Wiemy o tym.

— Ale ja nic nie wiem. Powtarzam, że to jakieś nieporozumienie.

W słowach kobiety adwokat wyczuł jakby ulgę. Postanowił przejąć inicjatywę w swoje ręce.

— Proszę pani — wtrącił się do rozmowy — przecież dobrze wiemy, że macie u siebie cudze dziecko. Wszystko się wydało.

— Ciszej, na Boga! — Irena Srocza zrobiła ruch, jak gdyby chciała córeczce zatkać uszy.

— Tak jest. Wy sobie chyba nie zdajecie sprawy z odpowiedzialności za ten czyn.

— Ja nic złego nie zrobiłam.

— Nic złego? — roześmiał się oficer milicji. — Ukraść dziecko to nic złego?

— Lepiej dla pani będzie, jeżeli pani się przyzna i szczerze nam opowie całą historię — zachęcał adwokat.

— Dobrze, powiem — kobieta była bliska płaczu. — Wracaj, Wirko, do pani Będkowskiej. Mamusia przyjdzie po ciebie.

Dziewczynka zawahała się, ale posłuchała matki i wyszła z mieszkania.

— Proszę, może panowie pozwolą do tego pokoju — pani Srocza otworzyła drzwi do pomieszczenia, gdzie stał szeroki tapczan, jakaś toaletka i stół z paroma krzesłami. Nie za bogato, ale czysto.

— Niedawno dostaliśmy to mieszkanie — tłumaczyła pani domu — jesteście na dorobku. Niech panowie siadają.

Kiedy niespodziewani goście zajęli miejsca, adwokat potwórzył:

— A teraz proszę nam wszystko szczerze opowiedzieć. Niczego nie ukrywając.

— Pochodzę ze wsi. Przed kilkoma laty poznałam Alka. Panowie wiedzą, on jest Cyganem. Ale pokochaliśmy się. Początkowo rodzice nie chcieli się zgodzić. Zwłaszcza jego. Ale jakoś ich uprosiliśmy. Odbył się ślub, on mnie nawet porwał z ulicy, bo u Cyganów taki zwyczaj. Wtedy była taka akcja, aby Cyganie osiedlali się i podejmowali stałą pracę. Początkowo, po ślubie, mieszkaliśmy u moich rodziców. Ale na wsi, jak to na wsi, śmieli się ze mnie, a zwłaszcza z męża, chociaż Alek pracował u swoich teściów lepiej niż ich rodzinny syn. Więc namówiłam męża i przyjechaliśmy do Słupska. Początkowo dali nam jeden pokój i obiecali mieszkanie.

Młoda kobieta zamilkła. Wreszcie przemogła się i powiedziała:

— Nie wiem, czy panowie wiedzą, że jeżeli w małżeństwie cygańskim nie ma dzieci, to kobieta narażona jest na wytykanie jej palcami. Takiej nie szanują, a mąż może ją rzucić. Minęły dwa lata, a u nas nic. Teściowie nieraz mi wypominali, jak gdyby to była moja wina. Bałam się, że każą mojemu Alkowi rozwieść się ze mną. U Cyganów, jeżeli starszy coś postanowi, to młodszego obowiązuje. Więc chociaż z mężem bardzo się kochamy, ciągle mnie ta obawa prześladowała. U mnie we wsi także mówili, że Pan Bóg poskąpił mi swojego błogosławieństwa, bo wyszłam za Cyganicha.

Adwokat kiwał głową ze zrozumieniem, major, który nie orientował się tak dobrze w zwyczajach Cyganów, słuchał z niedowierzaniem.

— Kiedy byłam u rodziców na wsi, mojej koleżance przytrafiło się nieszczęście. Taki wstyd, panna z dzieckiem. A ja się bardzo ucieszyłam. Jak już nadszedł czas rozwiązania,

Janka pojechała do Lublina i niby tam nagle zaśląbła na ulicy. Pogotowie zabrało ją do szpitala. Miała przy sobie mój dowód osobisty. Nikt tam przecież nie sprawdzał, czy rodząca podobna do fotografii w dowodzie. Alek też zaraz się zjawił i podał dziecko za swoje. Na cześć babki męża nazwaliśmy ją Elwirą. Nie wiem, jak się panowie o tym dowiedzieli, bo nawet moi rodzice się nie orientują.

Ruszyński spoglądał na Kaczanowskiego, a ten na mecenasa. Obydwaj mieli bardzo głupie miny.

— Wiem, że źle zrobiłam wobec prawa. Jeżeli trzeba, to odsiedzę, lecz nie zabierajcie mi dziecka. Kocham je, jak gdybym urodziła. Prawdę mówią, że nie ta matka, co rodzi, ale ta, co wychowa. A w nagrodę spotkało mnie szczęście, bo mamy i własnego chłopczyka. Panowie go widzieli. Ale niech panowie zlitują się nad nami i nie zdradzą przed Wirką, że nie jestem jej matką. Dziecko ma już prawie cztery latka. Mogłaby zrozumieć, jaka krzywda ją spotkała.

— A tamta druga? — zapytał mecenas.

— Janka? Wysła za mąż za porządnego człowieka. Ma już dwójkę. Też chłopczyk i córeczka. Jakby się wydało, nie wiem, co by jej mąż powiedział!

— A rodzice męża nie domyślają się niczego?

— Oni wiedzą. Alek by przed ojcem nic nie ukrył. Ale są zadowoleni. Tym bardziej że i własnego się dochowaliśmy. W taborze najstarszy Cygan wszystkie dzieci traktuje jak własnych synów czy wnuków. A nieraz biorą dalekich krewniaków na wychowanie, jeżeli są sierotami. Ale skąd panowie się dowiedzieli? Przecież nie od rodziców Alka? Czyżby Janka była taka głupia, że się wygadała?

Adwokat postanowił powiedzieć prawdę.

— Proszę pani — zaczął — w Warszawie porwano dziecko. Małego chłopczyka. Właśnie w wieku pani córeczki. Dostaliśmy wiadomość, że macie u siebie cudze dziecko i przyjechaliśmy tutaj, aby sprawdzić. Myśleliśmy, że chodzi o Januszka Kowalskiego.

— Mam w dowodzie zapisaną Wirkę. Tutaj każdy poświadczy, że nigdy u nas nie było żadnego innego dziecka, tylko ta dwójka. W ubiegłym roku trochę jeździliśmy z mężem po Polsce, bo muzykował z cygańską orkiestrą. Ale od kiedy Andrzejek przyszedł na świat, siedzimy kamieniem w Słupsku. Alek nie opuścił żadnego dnia pracy. To łatwo sprawdzić w fabryce. Ja też bym nie mogła pozostawić małego.

— To prawda — adwokat już wiedział, że spotkała go kolejna porażka.

— Sprawdzimy pani słowa — oficer milieu był bardziej podejrzliwy.

— A co będzie z nami? — Kobieta znowu zaczęła się niepokoić.

— Sądzę — adwokat ważył każde słowo — że wprawdzie popełniła pani przestępstwo, ale nic złego się nie stało. Zwłaszcza dziecku. Dla dziewczynki nawet lepiej u was niż na wsi, z piętnem nieślubnego dziecka. Tam jeszcze panują zadawnione, głupie i złe przesady.

— Oj, to prawda — przytaknęła Irena Srocza.

— Dowiedziałem się o pani tajemnicy zupełnie przypadkiem. Co do mnie, gotów jestem o wszystkim zapomnieć, bo przecież i tak moglibyście państwo to dziecko adaptować i nosiłoby wasze nazwisko.

— Zrobiliśmy tak, bo nie chciałam, aby mała kiedykolwiek się dowiedziała, że nie jesteśmy jej rodzicami. A przy

adoptowaniu zawsze znajdzie się jakiś „życzliwy”, który wszystko dziecku wygada.

— Tak bywa — adwokat doskonale znał tragedie na tym tle.

Młoda kobieta spojrzała pytająco na oficera milicji.

— A pan, majorze?! — zapytał Ruszyński. — Co pan o tym myśli?

— Moim obowiązkiem jest sprawdzić prawdziwość tej historii. Prowadzę dochodzenie w sprawie porwania Janusza Kowalskiego. Jeśli się okaże, że jego tutaj nie ma, a wy macie alibi, to... — Kaczanowski trochę się zawahał — może jako milicjant nie powinienem tego robić, ale też... zapomnę.

— Nie wiem, jak panom dziękować! — Irena Srocza śmiała się uszczęśliwiona. — A przed chwilą tak strasznie się bałam, że stracę Wirkę. Nawet niczym panów nie poczęstowałam. Zrobię chociaż kawy.

— Dziękujemy bardzo — wymawiał się major — niedawno piliśmy.

— Nie, nie puszczę panów. Kawę zawsze można wypić. Moja na pewno lepsza niż w lokalu. Zaraz zrobię.

Nie zwalając na protesty, pani domu wyszła do kuchni. W pokoju zapanowało milczenie. Przerwał je adwokat.

— Znowu spuściliśmy. Jedyne zyski to przejażdżka pięknym autem.

— No i kawa, którą za chwilę dostaniemy — dodał starszy sierżant.

— Swoją drogą, jak to nieraz przypadkiem można się niepotrzebnie dowiedzieć czyjejs najbardziej skrywanej tajemnicy — zauważył mecenas. — Szukaliśmy jednego, znaleźliśmy zupełnie coś innego.

— Dałby mi pułkownik, gdyby wiedział, że jego podwładny staje się współnikiem przestępstwa.

— Co też pan major opowiada — sierżant ujął się za Niemirochem. — Pan pułkownik postąpiłby tak samo. Każdy porządny człowiek tak by zrobił, jak pan mecenas i pan major.

Weszła Irena Srocza z tacą pełną filiżanek.

— Mam tu gdzieś butelkę z jakąś wódką — zatroszczyła się stawiając kawę przed gośćmi — może panowie pozwolą po kieliszeczku?

— Mowoy o tym nie ma — zaprotestował major. — Jesteśmy samochodem. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby nas tak „lotna” złapała. Milicja i pod gazem! A z nimi razem sławny adwokat. Bardzo dziękujemy. Innym razem, kiedy państwa odwiedzimy prywatnie.

— Bardzo proszę. Zawsze bardzo proszę.

— Nie żałowała pani nigdy swojego kroku? Mam na myśli pani małżeństwo. Przepraszam, że pytam o sprawy ściśle prywatne — zastrzegł się Ruszyński. — Interesuje mnie to jako prawnika i adwokata, który tylu już ludzi rozwodził.

— Nigdy, ani przez chwilę — zapewniła gorąco pani Irena. — Nieraz bywało ciężko. Ale to przez ludzką głupotę. Zanim się przyzwyczaili. Nawet tu w Słupsku początkowo byli tacy, co wydziwiali. Teraz przywykli. Alek jest bardzo dobrym mężem. Cały zarobek zawsze mi przynosi. Co do grosza. Nie pije, za innymi kobietami nie ogląda się. Ostatnio rzucił palenie.

— Chciałbym być na jego miejscu — westchnął starszy sierżant — ja chyba z dziesięć razy rzucałem i ciągle palę.

— Alek nauczył się i w domu mi pomagać. Ale wtedy, kiedy nikt nie widzi, bo to dla Cygana niehonor. U nich są



męskie i babskie zajęcia. Cyganka, choćby miała marznąć, nigdy drzewa nie urąbie, a mąż garnków nie umyje. Teraz niejedna sąsiadka zazdrości mi chłopa.

— A nie ciągnie go w szeroki świat?

— To prawda. Po oczach widzę, że nieraz ciągnie. Kiedy w przeszłym roku muzykował, to chciał nieustannie zmieniać miejscowości. W Sopocie mieli duże powodzenie, dobrze im płacili. Mogli siedzieć choćby pół roku. Gdzie tam! Ledwie miesiąc wytrzymali, już byliśmy w Stargardzie, a tam było znacznie gorzej. Także w Berlinie mogli grać dłużej. Dawali im kontrakt do podpisu. Wyjechali. Byłby tak jeździł jeszcze dłużej, ale dostaliśmy mieszkanie, a ja byłam w daleko zaawansowanej ciąży

— Pani pracuje?

— Teraz nie. Wzięłam bezpłatny urlop. Ale jak się skończy, wrócę do swojego zawodu. Ukończyłam handlowkę i pracowałam tutaj w Narodowym Banku Polskim. Weźmiemy do siebie młodszą siostrę Alka. Trochę nam dzieci dopilnuje i będzie się uczyć w wieczorówce.

— A rodzice męża nie patrzą krzywo na synową?

— Mieli mi za złe, że nie ma dzieci. Teraz nam nawet sporo pomagają. Chociaż mąż pracuje jako, stolarz, to ten stół i krzesła, jak też całe urządzenie kuchni teść nam zrobił. A garnków od nich nadostawałam tyle, że do końca życia starczy.

— A inni Cyganie?

— Dla nich żona Cygana jest Cyganką. Ja to już nawet trochę nauczyłam się po cygańsku, Mała tak z ojcem gada, że ja nie zawsze mogę zrozumieć, o czym mówią.

— No, panowie — major spojrzął na zegarek — na nas czas. Mamy czterysta kilometrów drogi przed sobą.

— Jeszcze raz panom dziękuję za ich dobre serca — Irena Srocza odprowadziła gości do samochodu.

— Jak to dobrze — zauważył major, kiedy pędzili w stronę stolicy — że mecenas ani słowa nie powiedział o naszej wyprawie pani Helenie Kowalskiej.

Dwa dni przedtem Miecio święcił w „Szanghaju” swój triumf, dzisiaj poszedł tam, aby utopić gorycz porażki. One też lubią chodzić parami. Bo czarnowłosej nie było przy stoliku, który zwykle dziewczyna zajmowała.

## Rozdział X

### Kraków po raz drugi

Kiedy po powrocie ze Słupska Mieczysław Ruszyński zjawił się w zespole, woźny Franciszek wręczył mu małą paczuszkę.

— To przynieśli wczoraj dla pana mecenasa — wyjaśnił — musiałem pokwitować.

— Kto przyniósł, listonosz?

— Nie. Jakiś piętnastoletni chłopak.

— Cygan? — Miecicia tknęło przeczucie.

— Nie. Zwykły chłopak. Nie przyglądałem się mu. Wziąłem paczuszkę, podpisałem pokwitowanie, które miał przy sobie, i tyle go widziałem.

Adwokat rozpakował małe zawiniątko. W brązowym etui, wyłożonym granatowym pluszem, leżała duża złota bransoletka. Taka sama albo nawet ta sama, którą niedawno Ruszyński spostrzegł na ręku Tymoteusza Kwieka. Pod bransoletką znajdowała się kartka ze starannie wykaligrafowanym napisem: „Z podziękowaniem, pan wie za co”.

— No, no — Franciszek nie mógł wyjść ze zdumienia — to ma ze sześćdziesiąt gramów. Prawdziwe złoto?

— Przypuszczam — adwokat był nie mniej zdziwiony od pocziwego woźnego.

— To od tych dwóch Cyganów?

— Tyle wiem, co i Franciszek. Przypuszczam, że od tego starszego.

— Pan mecenas musiał im wielką sprawę załatwić.

— Nawet nie mogę mu tego odesłać, bo powie, że o nim nie wiem.

— Co też pan mecenas? Taki skarb odsyłać?

— A potem będą mówili, że Ruszyński bierze „na lewo”. Poza taksą.

— Ależ panie mecenasie! To nie pieniądze. Przyjaciel zawsze może dać prezent przyjacielowi. No nie?

Miecio jakby czekał, aby go ktoś w ten sposób przekonał. Schował pakiecik do kieszeni.

— Może Franciszek ma i rację — przyznał. — Pewnie, że to od przyjaciela. Ale co ja z tym będę robił? Przecież nie włożę na rękę.

— Mecenas ma grubą rękę, ale rozmiar na pewno dobry. Wejdzie.

— Wejść, wejdzie, ale czy ja Cygan, żebym takim kawałem złota ludziom w oczy świecił? Powiedzieliby, że Ruszyński na stare lata zwariował.

— Tylko nie na stare lata — zastrzegł się woźny — pan mecenas wygląda najwyżej na pięćdziesiątkę. A i czterdzie-stolatka by przeskoczył. Przedwczoraj, kiedy mecenasa nie było w zespole, przysła tu jedna klientka. Nie знаła nazwiska mecenasa i pytała się „o takiego przystojnego

pana z siwą czupryną”. Zapytałem, czy w moim wieku, powiedziała, że nie, dużo młodszy. Nie mogłem początkowo zmiarkować, że to o pana mecenasa chodziło. Ma przyjść dzisiaj.

Miecio łykał słodkie słówka jak indyk kluski. A woźny kadził dalej:

— Niejedna dziewczyna, jak tę bransoletkę zobaczy, to ze szczętem straci głowę.

— Żadnej nie pokażę — oświadczył adwokat. — Schowam na pamiątkę. Drugiej podobnej na pewno nigdy nie dostanę. Może kiedy dam ją córce?

— Albo wnukowi, jak dorośnie.

Miecio skrzywił się. Kto mówi o wnukach w obecności takiego młodego człowieka jak on? Szybko zapytał:

— Dużo klientów było w środę?

— Jak zawsze pełno, panie mecenasie. Jeden awanturował się, bo chciał płacić. Pani kasjerka nie wzięła pieniędzy, bo nie otrzymała żadnego polecenia. A może pan mecenas nie zechce przyjąć jego sprawy? A poza tym nie wiedziała, ile się będzie należało. Gość się kłócił, że jak zapłaci, to mecenas będzie musiał wziąć sprawę. Aż go kierownik uspokajał. Przyjdzie dzisiaj. Ale już dwie panie czekają.

— To niech je Franciszek daje — adwokat zaczął codzienną młockę przyjmowania klientów, udzielania porad, pisania pozwów i innych pism procesowych. Ciągłe jednak myślał, za co mu przysłano bransoletkę? Czy za wyciągnięcie młodego Kwieka z tarapatów, czy też za nieudaną podróż do Słupska i formę potraktowania sprawy małej Elwiry.

Zatelefonował pułkownik Adam Niemiuroch. Pytał, czy Ruszyński może przyjść do Pałacu Mostowskich nazajutrz i

jaka godzina mu odpowiada? Adwokat miał o dziewiętej termin, więc umówili się na dwunastą.

Kiedy mecenas wszedł do gabinetu naczelnika, siedział tam już major Janusz Kaczanowski. Przywitani się. Ruszyński zażartował:

— Dzisiaj nie będzie koniaku!

— Nie zasłużyliśmy sobie na pułkownikowski winiaczek — dodał Kaczanowski.

— Winiak może by się i znalazł — powiedział Niemirosch — nie mogę mieć do panów pretensji. Trop był dobry, po prostu sprawa inna. Ale dziękuję, mecenasie, i za inicjatywę, i za sposób załatwienia tamtej, słupskiej historii. Major opowiedział mi ze szczegółami. Uważam, że postąpiliście właściwie. A że trochę nieformalnie... — oficer milicji machnął ręką.

— Mam pewną wiadomość. Może to mecenasa zainteresuje — major zwrócił się do Ruszyńskiego. — Przyszły meldunki z Komendy Wojewódzkiej w Krakowie. Pani Maria Teresa Szczerbiecka nie była meldowana w żadnej kuracyjnej miejscowości województwa. Ani w Krynicy, gdzie się miała leczyć, ani w Muszynie, ani nawet w Zakopanem.

— Wiele osób mieszka u górali, którzy nie meldują swoich gości.

— To prawda — zgodził się Kaczanowski. — Wiemy jednak, że na pewno się nie leczyła. A przecież Szczerbiecka rzekomo wyjechała z Krakowa dla przeprowadzenia kuracji. Tymczasem nie zasięgała porady w żadnym ośrodku zdrowia województwa ani nie korzystała z kąpeli. To może o niczym nie świadczyć, ale podaję to panu do wiadomości jako fakt.

— Ta kobieta, tak zacięta w swoim gniewie, intryguje

mnie od początku — powiedział adwokat. — Znowu w przyszłym tygodniu muszę być pod Wawelem. Chyba jednak pójdę na Łobzowską po raz drugi.

— Szukamy wszędzie — informował pułkownik. — Nasi ludzie wykonali gigantyczną robotę. Przejrzano tysiące najrozmaitszych meldunków. Idziemy każdym, najmniejszym nawet śladem. Wywiadowcy obejrzeni parę setek dzieci, co do których istniały choćby drobne niedokładności w meldunkach. Na próżno.

— W tej chwili nie mam żadnej koncepcji — smętnie przyznał Ruszyński — dlatego właśnie chcę się zobaczyć ze Szczerbiecką. Może rozmowa z nią wniesie coś nowego. Żeby choć ruszyć z tego martwego punktu.

— Wszystko rozbija się o brak powodów przestępczego czynu — zreasumował pułkownik.

— Jeżeli zrozumiemy motywy postępowania porywacza, popchniemy sprawę.

— Wtedy na pewno okaże się ona zupełnie prosta. Ale na razie jadę do Krakowa. Kiedy stamtąd wrócę, zdam panom szczegółowy raport.

— A ja nadal będę się grzebał w meldunkach. Może coś ciekawego wreszcie znajdę.

W Krakowie, w mieszkaniu przy Łobzowskiej znowu zapanała cisza po dzwonku i znowu rozległo się człapanie. Ale twarz w szparze drzwi była tym razem inna. Mimo czarnych włosów wydawała się bardziej starsza, przypominała jednak tamtą równie wydatnym nosem.

— Ja do pani Szczerbieckiej — informował mecenas — już raz tu byłem. Przed dziesięćmioma dniami.

Drzwi otworzyły się bez dłuższych pertraktacji.

— Wiem. Mówiła mi siostra. Pan jest z milicji.

— Nic podobnego łaskawa pani. Jestem adwokatem.

Przyjechałem z Warszawy. Oto moja legitymacja.

Maria Teresa wzięła książeczkę i zwyczajem dalekowiedzów odczytała nazwisko, trzymając dokument na odległość wyciągniętej ręki.

— Mieczysław Ruszyński — przeczytała półgłosem — adwokat. Rada Adwokacka w Warszawie. Zgadza się.

Zwróciła legitymację jej właścicielowi.

— Czym mogę panu mecenasowi służyć i co pana do mnie sprowadza?

— Aż dwie rzeczy, szanowna pani. Pierwsza, że bardzo chętnie kupiłbym tę piękną sekretkę, którą tu widziałem za moją pierwszą bytnością. A także kilka innych ładnych drobiazgów. Kocham stare meble i starą porcelanę. Sam mam parę ciekawych sztuk w domu. Było więcej, niestety, wojna... O pani antykach słyszałem od znajomych.

— Nie mam nic na sprzedaż. Nie potrzebuję pieniędzy. Nauczyłam się obywać tym, co mam. To — Szczerbiecka zrobiła ruch ręką, jak gdyby chciała nią ogarnąć mieszkanie — zostawię moim wnukom. Niestety nie rodzonym. Niech one robią, co zechcą.

— Właśnie i o wnuczku szanownej pani chciałbym porozmawiać.

— Słucham — głos, pani domu nabrał twardych akcentów.

— Chodzi mi o małego Januszka. Pani wie, że zaginął?

— Słyszałam coś niecoś. W radio były komunikaty. Nic dziwnego, czy taka osoba może dopilnować i wychować dziecko? Biedaczek utopił się w Wiśle.

— Może jednak nie utopił się, lecz uprowadzono go? — zauważył adwokat.

— Proszę, niech pan mecenas wejdzie dalej. Nie będziemy tak stali i rozmawiali w przedpokoju.

Ruszyński znowu znalazł się w zagraconym salonie. A jednak ta sekretera naprawdę była ładna. Adwokat chętnie by ją przewiózł do Warszawy.

— Mamy pewne podstawy przypuszczać, że dziecko żyje, lecz zostało uprowadzone — tłumaczył. — Milicja prowadzi energiczne dochodzenie, ja zaś na prośbę pani Heleny Kowalskiej, której jestem pełnomocnikiem, również zajmuję się tą sprawą. Pani, zdaje się, nie utrzymywała bliższych kontaktów z synową?

— Jeszcze czego... — oburzyła się starsza dama. — Z taką „kuźdeno” z Puław?

Słowo „kuźdeno” miało oznaczać najwyższą pogardę dla pochodzenia społecznego dziewczyny, jak też i dla zanego miasta Puławy.

— A jednak mały Januszek jest jedynym pani wnukiem. Wasza krew. Teraz, kiedy pani syn nie żyje, ostatni potomek.

— To nie jego syn — krótko ucięła Szczerbiecka. — Sama Kowalska miała choć tę szczyptę uczciwości, że zapisała dziecko pod swoim panieńskim nazwiskiem.

— Rzeczywiście — dopiero teraz adwokat spostrzegł, że Januszek nie nosi nazwiska ojca, nazywa się „Kowalski”.

— Mój syn byłby wielkim człowiekiem. Bardzo zdolny. Nie wahałabym się powiedzieć: genialny. Cóż, ta kobieta zmarnowała mu życie. Przez nią umarł.

— Wybaczy pani... Słyszałem, że zmarł na białaczkę. Tym go przecież nie zaraziła.

— Karolek przez całe życie był posłusznym dzieckiem. Jedyny raz nie zastosował się do życzliwych rad kochającej go matki. I takie tego były skutki. Biedował, głodził się, nie dosypiał, tylko ślęczał nad książkami. Mieszkał w jakiejś norze pod Warszawą. Wątyły organizm nie wytrzymał. A



tej lafiryndzie jeszcze się zachciało mieć bękarta z jakimś chłopem.

— Czy pani dobrodziejka nie za bardzo surowo ocenia swoją byłą synową?

— Znam życie i wiem, jak tam u nich było. Uszanowałam wolę syna. Pogodziłam się z losem. Przyjeżdżałam nawet. Chciałam przemówić dziewczynie do rozumu, dawałam dobre rady. Jak groch o ścianę. Karolek męczył się przez cztery lata. Wreszcie i on zrozumiał, jak tragiczną pomyłkę popełnił. Niestety, było już za późno.

— Słyszałem jednak, że pański syn płacił alimenty.

— Sama go namówiłam, aby posyłać ten tysiąc złotych. Taka kobieta dla paru groszy nie zawahałaby się przed skandalem. Szargałaby nasze nazwisko po sądach.

— Pani nigdy nie widziała tego chłopczyka?

— Nie byłam ciekawa. Po co? Ta kobieta szybko zwęszyłaby swój interes, narzuciłaby się i mnie, i swojemu byłemu mężowi. Liczyłaby, że znowu uda jej się usidlić Karolka. Albo że jak ta kukułka podrzuci mi swojego... — starsza pani przelknęła ostatnie słowo, jakby dławiąc się nienawiścią do Heleny Kowalskiej. — Na szczęście Karol zmądrzał.

— Pani syn ożenił się powtórnie?

— Nie. Miałam mu wyszukać jakąś skromną i uczciwą panienkę, ale on po powrocie z Warszawy już nigdy nie odzyskał zdrowia. Zaczęły się różne choroby i wreszcie przyplątała się ta najstraszniejsza, białaczka.

— Nic się nie dało zrobić?

— Pan wierzy w lekarzy? Czy oni się na czym znają? Przetaczali krew chyba ze trzy razy. Jak to się mówi: „operacja się udała, tylko chory umarł”.

— Jak pani myśli, kto mógłby porwać dziecko?

— A skądże to mogę wiedzieć... Chyba jakiś szaleniec. Może zresztą ten, co je w swoim czasie zrobił?

To była pewna sugestia. Bardzo obraźliwa dla pięknej pani, ale rzeczywiście chłopak nie nosił nazwiska męża matki. Urodził się wprawdzie po rozwodzie, ale w okresie koncepcyjnym, powinien więc zgodnie z prawem nazywać się Janusz Szczerbiecki. Ruszyński postanowił, że po powrocie do Warszawy natychmiast rozszyfruje tę zagadkę.

— Az sekretarą to pani ostatnie słowo? Ma pani tyle wartościowych rzeczy, ten mebel tutaj nawet nie pasuje do kompletu salonu. Dobrze bym zapłacił — kusił Ruszyński.

— Nic z tego, panie mecenasie.

— Gdyby jednak pani kiedykolwiek się rozmyśliła, proszę mi dać pierwszeństwo kupna. Pani pozwoli, że zostawię jej mój bilet wizytowy.

Ruszyński wyjął zadrukowany biały kartonik.

— Dziękuję. Schowam go. Lecz niech mecenas raczej się nie łudzi.

Zapanowało niezręczne milczenie. Wypadało się pożegnać. Ale pani Szczerbiecka nie darowała sobie, aby jeszcze jednej łatki nie przypiąć byłej synowej i powiedziała:

— Nie przypuszczam, aby taka kobieta zbytnio się zmar-twiła utonięciem dziecka. Pozbyła się kramu. Teraz już spokojnie może robić to, co jej się żywnie podoba, aż skończy pod płotem.

— Szanowna pani — adwokat nieco się zdenerwował — i pani, i ja będziemy w piekle, ale proszę, aby każde z nas samo wybrało drogę do niego.

— Ja tam do piekła się nie wybieram — starsza pani nie rozumiała, czy też nie chciała zrozumieć aluzji.

Ruszyński miał już przerwać kłopotliwą wizytę, w porę jednak przypomniał sobie słowa majora Kaczanowskiego.

— Kiedy ostatni raz byłem w Krakowie — powiedział — pani przebywała właśnie na kuracji. W Krynicy?

— Tak. W Krynicy.

— Jakże się pani teraz czuje?

— Nie za bardzo. Zmęczyło mnie to.

— A mnie Krynica zawsze dobrze robi. Wybieram się tam w lutym. Jednakże w zimie trudno wynająć pokój. Może mogłaby mi pani polecić lokum, w którym się pani zatrzymała?

— Miałam wczasy. Wyjątkowo udało mi się je dostać, bo emerytom dają dopiero od października — wyjaśniła Szczerbiecka — ale że ktoś nie wykorzystał, więc w ostatnim momencie mi przyznali.

— Mam nadzieję, że w końcu kuracja dobrze pani zrobi. Zwykle po kąpielach człowiek przez pewien czas jest przemęczony. Ale to szybko minie... Miło mi było panią poznać — Ruszyński podniósł się z krzesła i z całą galanterią pocałował w rękę niegościnną i niesympatyczną panią domu. — Do widzenia.

— Do widzenia — ton, jakim Szczerbiecka wypowiedziała te słowa, niedwuznacznie świadczył, iż nie życzy sobie oglądać mecenasa ani w bliższej, ani w dalszej przyszłości.

Miecio spojrzął na zegarek. Dochodziła szósta po południu. Wsiadł do swojego zielonego samochodu i założył pas bezpieczeństwa. Bardzo lubił jeździć w pasie. Czuł się w nim dużo pewniej. Prawie jak

rajdowiec. Teraz także przyrzekał sobie, że przed dziesiątą będzie już w Warszawie. Zrezygnował nawet z odwiedzin „U Wierzynka”, chociaż ten lokal wysoko cenił.

## Rozdział XI

### Tajemnica rozwódki

Ruszyński nie krył w rozmowie z majorem Kaczanowskim treści i wymiany poglądów z Marią Teresą Szczerbiecką i jej uwag na temat małżeństwa syna. Przemilczał jedynie złośliwości starszej pani, dotyczących nazwiska dziecka, jak i jej zdania o prowadzeniu się pięknej rozwódki. Uważał, że te sprawy nie mają nic wspólnego z dochodzeniem, a nie widział potrzeby rzucania jakiegokolwiek cienia na swoją klientkę.

— Dobrze się zatem stało, że mecenas wybrał się na Łobzowską — zawyrokował major. — Baba coś ukrywa. Kłamie w żywe oczy, że była w Krynicy, a przecież my wiemy, że tam jej noga nie stanęła.

— Ludzie nie kłamią bez powodu — zgodził się Ruszyński.

— Na pewno i Szczerbiecka miała jakiś cel, aby pana wprowadzić w błąd. Zresztą sędzę, że nie tylko pana. Może nawet siostrę, która pilnowała jej mieszkania?

— Gdyby ta kobieta była młodsza, powiedziałbym: jakaś przygoda. Ale w wieku pani Szczerbieckiej te możliwości raczej nie wchodzą w rachubę.

— Niewątpliwie — przytaknął major. — Sprawdziłem,

starsza dama liczy sobie sześćdziesiąt osiem lat. Karol przyszedł na świat, kiedy jego matka miała trzydzieści siedem lat.

— Mieszkanie jest okropnie zagracone, ale poza rupieciami sporo w nim przedmiotów, których by się i muzeum nie powstydziło. Nie widać biedy, chociaż Szcherbiecka ma jedynie niewielką emeryturkę po mężu — zauważył adwokat.

— Około tysiąca ośmiuset złotych — oficer milicji jak zawsze wiedział dokładnie.

— Za tę sumkę trudno wyżyć samotnej osobie. W trzy pokojowym mieszkaniu, gdzie i komorne nie jest małe i opalić je także trzeba.

— Komorne wynosi przeszło czterysta złotych. W mieszkaniu zameldowała kilka osób. Rodzinę z Myślenic. Taka lipa, aby nie płacić nadmetrażu, ale i tak cztery setki to dużo dla samotnej emerytki.

— Może Szcherbiecka prowadzi jakieś podejrzone interesy? Dlatego woli swoje wyjazdy utrzymywać w tajemnicy. Jakiś zagraniczny handelek? — snuł przypuszczenia adwokat. — Albo czarna giełda?

— Czy pamięta pan, mecenasie, tę aferę w Łodzi? Biedna emerytka stała na czele gangu. W jej skromnym mieszkanku znaleziono między innymi cztery miliony gotówką, parę kilogramów złota i tysiące dolarów, złotych oraz papierowych, nie licząc innych walut. A najbliżsi sąsiedzi litowali się nad staruszką i zastanawiali się, z czego ona żyje.

— Nie przypuszczam, żebyśmy mieli na Łobzowskiej do czynienia z aferą na podobnie wielką skalę, jednakże nasza Maria Teresa ma jakieś tajemnice.

— Dam znać do Krakowa, aby zajęli się tą panią i

dyskretnie ją obserwowali. A co do porwania dziecka, jakie jest jej zdanie?

— Zionęta taką nienawiścią do pani Heleny Kowalskiej i do jej dziecka, że w ogóle nie można było rozmawiać poważnie. A poza tym, jak sam major wspominał, baba ma żelazne alibi. Gdyby miała porwać małego Januszka, to chyba dlatego, aby dziecko zamordować i w ten sposób zemścić się na matce chłopaka za urojone krzywdy, jakie Kowalska rzekomo wyrządziła „Karolkowi”.

— Taka teściowa to prawdziwy skarb — z uznaniem stwierdził major. — Żeby tak móc podsunąć ją naszym wrogom.

— Baa! — roześmiał się adwokat. — Ale jak to zrobić? A co u majora?

Oficer milicji skrzywił się.

— Nic. Kompletne fiasko. Mecenas przynajmniej na coś zawsze trafi. Ja nie mogę złapać nawet fałszywego tropu. Zaczarowana sprawa.

— Tylko dorożki bywają zaczarowane. Sprawy nie. Niech major nie traci animuszu.

— Widzę, że mecenas coś szykuje.

— Zawarliśmy, majorze, umowę, że będziemy szczerzy względem siebie. Umowy dotrzymuję. Muszę sprawdzić jedną wiadomość. Kiedy to zrobię, przyznam się do wszystkiego. Może to będzie właśnie taki nowy trop?

— A co pan chce sprawdzić?

— Nie mogę powiedzieć. Tu chodzi o honor kobiety.

Nieprzyjemną rozmowę z Kowalską, a mecenas nie lubił takiego włożenia z butami drugiemu człowiekowi w duszę, adwokat postanowił odbyć w swoim „gabiniecie”. Zatelefował więc do spółdzielni pracy i poprosił panią

Helenę o odwiedzenie w najbliższym czasie zespołu adwokackiego.

— Czy ma pan dla mnie jakieś pocieszające wiadomości?

— zapytała biedna matka.

— Na razie nic konkretnego. Mamy jednak dowody, że Januszek żyje. Milicja prowadzi dochodzenie z dużą energią. Podkręcam ich, jak mogę, żeby się pośpieszyli.

Punktualnie o czwartej po południu Helena Kowalska usiadła na krześle przed biurkiem w boksie Ruszyńskiego. Była bardzo ładna. Piękniejsza, niż kiedy Miccio ją poznał. Z twarzy kobiety znikł smutek i przygnębienie. Jednakże niepokój krył się w jej oczach.

— Byłem w Krakowie — zagał adwokat — wstąpiłem na Łobzowską. Rozmawiałem z pani teściową. Chyba się nie zmieniła od lat. Przynajmniej jeśli chodzi o charakter.

— W gruncie rzeczy żał mi tej starej kobiety. Straciła wszystko, co w życiu kochała.

— A jednocześnie — dodał mecenas — zrobiła wszystko, aby nie zdobyć innej miłości.

— O mnie na pewno ciągle źle się wyraża.

— Możliwie najgorzej — przyznał adwokat.

— Niech jej tam! Pogodziłam się z tym bardzo dawno. Kiedyś próbowałam jakoś ułagodzić. Nic z tego nie wyszło.

— Chciałbym panią zapytać — Ruszyński ostro zaatakował — czy Januszek jest synem Karola? Pani męża?

— Jak mam to rozumieć? — młoda kobieta zaczerwieniła się.

— Zgodnie z polskim prawem dziecko nosi nazwisko ojca. Męża matki dziecka urodzonego w małżeństwie. Dotyczy to również dziecka pozamałżeńskiego, panny, wdowy czy rozwódki i mężczyzny, który uznał się lub sądownie

został uznany za ojca. A tymczasem pani syn nazywa się Janusz Kowalski. Stąd moje pytanie.

— Zawsze się obawiałam, że ktoś kiedyś postawi mi to pytanie.

— Jednak muszę otrzymać odpowiedź.

Kowalska roześmiała się nerwowo.

— Nie mam, mecenasie, niczego do ukrywania. Nie zrobiłam niczego złego. Najwyżej może głupstwo, którego zresztą nieraz żałowałam. Człowiek nie powinien nic robić w złości.

— Nie rozumiem pani.

— Podczas naszego pierwszego spotkania wspominałam panu o moim nieudanym małżeństwie i o tym, że rozwodziliśmy się, kiedy byłam w ciąży. Zataiłam ciążę przed sądem, gdyż bałam się, że nie dałby nam rozwodu. A Karol tak mnie dotknął swoim nieludzkim postępowaniem, że chciałam jednego: żeby jak najprędzej znikł z mojego życia. Po rozwodzie wróciłam nawet do swojego panińskiego nazwiska.

— Staram się wczuć w pani sytuację.

— Kiedy dziecko się urodziło, radość z tego faktu kazała mi zapomnieć o dawnych urazach. Wysłałam do Krakowa depeszę; „Urodził ci się syn”. Byłam skłonna pogodzić się z mężem, gdyby uczynił w tym kierunku choć najmniejszy krok. Dziecko przecież powinno mieć ojca...

Adwokat słuchał z uwagą.

— W kilka godzin później — ciągnęła Kowalska — pielęgniarka przyniosła mi odpowiedź z ulicy Łobzowskiej.

Tekst był równie krótki jak mój: „To nie moje dziecko”. Bez podpisu, ale ja przecież wiedziałam, kto depeszuje. Płakałam i gryzłam palce ze złości. Nikt nie mógłby mnie bardziej dotknąć. Właśnie w takiej chwili. Miałam już dowód



osobisty na panieńskie nazwisko. Zapisałam syna jako nieślubne dziecko. Urzędnik nie sprawdził, że dziecko urodziło się za ledwie w trzy miesiące po rozwodzie. Zacięłam się w złości. To był mój błąd.

— Duży błąd.

— Schowałam tę depeszę z Krakowa. Chciałam kiedyś w przyszłości, kiedy dziecko będzie już dostatecznie duże, aby pewne rzeczy zrozumieć i zapyta o ojca, pokazać mu haniebny tekst. Aby znienawidził tego człowieka tak, jak ja go wtedy nienawidziłam. Dziś Karol nie żyje, ja także jestem daleka od myśli o zemście. Losy ludzkie dziwnie się układają.

— Jednakże kiedy odnajdziemy Januszkę, trzeba będzie sprostować akt urodzenia. Zajmę się tym. To nic trudnego. Zwalimy wszystko na omyłkę przy wypełnianiu danych personalnych dziecka.

— Nie zależy mi na tym.

— To może być w przyszłości ważne dla Janusza.

— Jeżeli tak pan mecenas uważa... Najważniejsze, aby dziecko nareszcie się odnalazło.

— Niech pani będzie spokojna. Znajdzie się — powiedział adwokat z pewnością, której wcale nie miał. — Pilnuję dochodzenia, na razie jestem z nich zadowolony. Bezbłędnie wykonują moje zalecenia.

— Ale to się ciągnie! Tak się boję o Januszkę.

— Na pewno nic mu się nie stało. A że się ciągnie... nie ukrywałem nigdy przed panią, że sprawa nie jest łatwa. Trzeba zbadać ogromny materiał, śledzić wielu ludzi, aby wreszcie trafić do kryjówki.

— Domyśla się pan, kto jest sprawcą porwania?

Adwokat znalazł się w trudnej sytuacji. Przyparto go do muru. Zdecydował, że najlepsza będzie szczerłość.

— Kiedy rozmawiałem z panią Szczerbiecką, właśnie ona zwróciła mi uwagę, że Janusz nie nosi nazwiska pani byłego męża. To mnie, jako prawnika, ogromnie zdziwiło. Dlatego zaprosiłem panią do swojej kancelarii, aby kwestię wyjaśnić.

— Wyobrażam sobie, jak moja była teściowa skomentowała ten fakt.

— Ja również wysnułem wniosek, że dziecko mógł wprowadzić ojciec.

— Mój ojciec?

— Nie, ojciec Janusza.

— Pojmuję, nie Karol, lecz ten drugi.

— Taki wniosek wyprowadziłem na podstawie faktów prawnych.

— Przysięgam panu na głowę mojego dziecka, że żadnego „drugiego” nie było. Nie ma go nawet do tej pory. Bardzo kochałam mojego męża i nie zdradzałam go... również w myślach. Co za przeklęta baba! I teraz, chociaż nas nic nie łączy, nie przestała mnie szkalować.

— Tym razem muszę wziąć panią Szczerbiecką w obronę. Pani sama wystawiła się „na sztych”.

— Straciłam panowanie nad sobą po tej depeszy.

— Przyznaję, to była wyjątkowa podłość. Później jednak pani były mąż płacił alimenty na dziecko.

— Byłam zaskoczona, kiedy pewnego dnia otrzymałam przekaz na tysiąc złotych. Na odwrocie znajdowała się krótka notatka ręką Karola: „Będę przysyłał 1.000 złotych miesięcznie. Na razie nie mogę więcej”. Jak zwykle bez podpisu.

— Pani nie występowała do sądu o te pieniądze?

— Nie odzywałam się do nich ani słówkiem. Byłam szczęśliwa, że dziecko jest wyłącznie moje i że wychowam

je własnym wysiłkiem. Początkowo chciałam odesłać ten tysiąc złotych. Koleżanki i koledzy z pracy wytłumaczyli mi, że w ten sposób zrobię krzywdę dziecku, bo przecież nie przelewało się u mnie ani wtedy, ani zresztą teraz. Po namyśle doszłam do wniosku, że mają rację. Przyjmo wałam te pieniądze i prowadziłam szczegółowe wyliczenia, co za nie Januszkowi kupiłam. Dla siebie nie wzięłam ani grosika. Do dzisiaj mam te rachunki.

Ruszyński uśmiechnął się lekko. Bawiła go ta skrupulatność, a jednocześnie nieomal przerażał bezmiar nienawiści obydwu stron.

— Odniosłem wrażenie — powiedział zmieniając tor rozmowy — że pani Szczerbieckiej powodzi się raczej nieźle. To, co jest w mieszkaniu, co ja widziałem, przedstawia wartość najmniej miliona złotych. Drugie tyle cennych rzeczy mogło być ukryte.

— Ona zawsze jęczała, że umiera z nędzy i zawsze miała pieniądze. Kiedy nam było tak ciężko, nie pomagała synowi przez złość i z wyrachowania: liczyła, że w ten sposób doprowadzi do rozbicia naszego małżeństwa. W dużej mierze jej rachuby okazały się trafne.

— Za czasów waszego małżeństwa zajmowała się jakimś handlem, wyjeżdżała często?

— Nic o tym nie wiem. Raczej nie ruszała się z Krakowa.

— Jeździła do Krynicy czy innych miejscowości uzdrowiskowych na kuracje?

— Także o tym nie słyszałam. Kiedy dwa czy trzy razy zdecydowała się przyjechać do nas, do Warszawy, to po dwóch dniach wracała do swojego ulubionego Krakowa. Karol kiedyś wspominał mi, że matka ma w Anglii brata, któremu się dobrze powodzi i który wielokrotnie zapraszał

ją do siebie. Ani razu z tego nie skorzystała. Może ten brat jej pomagał, ale ja nic nigdy o tym nie wiedziałam.

— Pani mąż skończył politechnikę? Jaki wydział?

— Mechanizację rolnictwa. Zdawał na budowę maszyn i nie dostał się. Przyjęli go bez egzaminu właśnie na słabiej obsadzoną mechanizację rolnictwa. Wtedy tam najłatwiej było się dostać.

— Jeszcze jedno. Pani Szczerbiecka zawsze była taka ciemnowłosa?

— Brunetka? — zdziwiła się młoda kobieta. — Pamiętam ją jako siwą. Taki nieładny mysi kolor siwizny. Nie dbała o fryzurę. Te siwe sterczące kosmyki doprowadzały mnie do prawdziwej irytacji. Obłudnie tłumaczyła, że w jej sytuacji nie może sobie pozwolić na fryzjera. Ale mnie się dotknąć nie pozwalała. A przecież znam się na tym. W akademiku połowa koleżanek przychodziła z prośbą, abym je uczesała.

Miecio odruchowo spojrział na miedzianozłote włosy pani Kowalskiej. Jej fryzurze nie można było nic zarzucić.

— Znała pani siostrę teściowej? Chyba młodszą?

— Zapewne mówi pan o pani Marcie. Tej z Myślenic. Miła i mądra babka. Trochę zahukana. Przez męża i kochaną siostrunię. Można je było wziąć za bliźniaczki, bo bardzo do siebie podobne. Całe szczęście, że chociaż charakterem się różniły.

— Dziękuję pani za szczerość i za te wszystkie informacje.

Helena Kowalska zrozumiała, że adwokat uważa rozmowę za skończoną. Podniosła się.

— Wyspowiadałam się, ale czy dostałam rozgrzeszenie?

Miecio roześmiał się.

— Żadnych grzechów nie znalazłem. Zresztą czy piękne kobiety mogą grzeszyć?

— Januszek! Tak się o niego boję. Jest coraz zimniej, a on nie miał nawet paletka.

— Niech mi pani zaufa. Mnie i milicji. Naprawdę robimy wszystko, co tylko można w tej sytuacji zrobić.

— Mogę jedynie powtórzyć, że mam do pana mecenasa bezgraniczne zaufanie.

Klientka wyszła, adwokat pozostał sam. Co innego robić dobrą minę do złej gry i przekonywać pustymi frazesami matkę, która tak łaknie choćby odrobiny pociechy, a co innego w samotności zastanawiać się nad sprawą. A tu nie działa się najlepiej. Ruszyński niezmordowanie budował jedną po drugiej coraz to nowe hipotezy, które pod byle podmuchem wały się jak domki z kart.

## Rozdział XII

### Znowu ginie dziecko

Tego dnia nie było jednak dane adwokatowi Ruszyńskiemu wysłuchać do końca skarg klientów. Gdzieś około wpół do szóstej woźny Franciszek zameldował:

— Telefon do pana mecenasa.

Dzwonił major Janusz Kaczanowski. Bardzo zdenerwowany oświadczył zwięźle:

— Znowu porwano dziecko.

— Gdzie?

— Na Grochowie. Przy Omulewskiej. Jestem tam z ekipą dochodzeniową.

— Dobrze, zaraz przyjadę.

Nie zważając na protesty klientów, którzy czekali na swoją kolej, adwokat wrzucił akta do szuflady i wybiegł z zespołu. Miał szczęście. Przed Hotel MDM zajeżdżała taksówka przywożąc jakiegoś pasażera. Ruszyński usiadł obok kierowcy i kazał się wieźć na Omulewską.

— Tylko szybko — polecił.

— Szybko to można dojechać do milicji — odpowiedział flegmatycznie taksówkarz.

— Właśnie tam jedziemy.

— Na Omulewskiej nie ma milicji.

— Jest, jest. Sam pan zobaczy.

Kierowca obrzucił pasażera uważnym spojrzeniem.

— Ja pana gdzieś widziałem. Pan jest majorem MO.

— Wyżej, znacznie wyżej.

Taksówkarz więcej nie pytał, docisnął gaz do dechy. „Warszawa” brawurowo przeleciała przez Marszałkowską i gnała Alejami Jeruzolimskimi. Na skrzyżowaniu z Nowym Światem jak zwykle był korek, ale kierowca poradził sobie. Pojechał po torach tramwajowych i przez sam środek ronda. Stojący tam milicjant przykładał gwizdek do ust, aby ukarać tak wielką bezczelność, ale kiedy rozpoznał przy szoferze popularnego adwokata, uśmiechnął się i zasalutował.

— Dobra nasza, panie pułkowniku — powiedział zadowolony kierowca — teraz polecimy jeszcze prędeż.

Za chwilę wóz gnał setką.

Na rogu Omulewskiej i Grochowskiej stał radiowóz.

— Pan się zatrzyma przy nich — polecił Ruszyński.

Taksówka stanęła. Miecio zerknął na licznik i sięgnął po pieniądze.

— Nie trzeba, panie pułkowniku — zastrzegął się kierowca — gdzieżbym tam od władzy brał pieniądze?

— Forsę trzeba brać zawsze — stwierdził sentencjonalnie adwokat. Podał taksówkarzowi dwadzieścia złotych i nie czekając na wydanie reszty wysiadł z samochodu.

Podszedł do radiowozu.

— Mecenas Ruszyński? — zapytał jeden z milicjantów.

— We własnej osobie.

— Major uprzedził, że pan przyjedzie. Dlatego czekaliśmy tutaj. Niech pan siada. To na sąsiedniej ulicy.

Podjechali ze dwieście metrów. Przed trzypiętrowym domem, zbudowanym przed dziesięciu czy piętnastu laty, stały dwa wozy milicyjne.

— Pierwsze piętro, mieszkanie numer osiem — informował milicjant — pan major tam jest. Ze schodów po lewej stronie.

W mieszkaniu panował zrozumiąły rozgardiasz. W sporym pokoju przy stole siedział major Kaczanowski. Obok niego jakiś porucznik MO. Na tapczanie dwie kobiety. Młodsza i starsza. Sądząc po rodzinnym podobieństwie, córka i matka. Młodsza kobieta płakała, ukrywszy twarz w dłoniach. Pod ścianą na fotelu siedział mężczyzna o ściśniętych bólem rysach twarzy. Obok niego stała trójka dzieci. Dwie dziewczynki, z których starsza miała ze dwanaście lat, a młodsza z pięć. Najbardziej przerażony był chłopak. Jego wiek adwokat ocenił na dziewięć, dziesięć lat.

— Oo! Mecenas już przyjechał — ucieszył się major.

— Pędziłem na złamanie karku. Dobrze, że nas wasi koledzy z „drogowej” nie zatrzymali. A niewiele brakowało, abym zamiast tutaj, pojechał do komendy.

— Zreferuję mecenasowi krótko przebieg całej sprawy — mówił major. — To są państwo Tadeusz i Julia Gumińscy. On jest majstrom budowlanym, ona pracuje w pobliskich

Zakładach Optycznych. Mają czwórkę dzieci: najstarsza Joanna, młodsza Michalina. Syn, ten, co stoi koło ojca, to Tomasz i najmłodsze dziecko, trzyletni Kazimierz. Właśnie jego porwano. Obok pani Julii Gumińskiej siedzi jej matka, Sabina Łojkowa.

— Jak to się stało?

— To wszystko przez niego — wybuchnęła gniewem Julia Gumińska — dam ja ci jeszcze. Ruski miesiąc popamiętasz.

Chłopak był tak przerażony, że nowa groźba już na niego nie działała. Stał z oczyma wbitymi w podłogę.

— Proszę państwa — wtrącił się adwokat — prowadzimy dochodzenie. Dziecko na pewno się znajdzie. Ale nie utrudniajcie nam pracy. Co się stało, to się stało. Żadne groźby i kary nie pomogą.

— A mówiłam, kiedy wychodził: pilnuj Kazia. Ale jemu tylko piłka w głowie — Gumińska znowu zaniósła się płaczem.

— Drodzy państwo — major przejął inicjatywę — w ten sposób niczego się nie dowiemy. Bardzo proszę, aby wszyscy przeszli do drugiego pokoju albo do kuchni. Będziemy pojedynczo rozmawiali z każdym z was.

Rodzina G Umińskich powoli opuszczała pokój.

— Tomek tu zostanie — oficer milicji poważnie obawiał się, że zrozpaczona matka spełni swoją groźbę. Wtedy o przesłuchaniu chłopaka nie byłoby już mowy. — Siadaj na krześle przy oknie i nie ruszaj się. Nie wtrącaj się także do rozmowy. Będziesz odpowiadał na moje pytania, kiedy przyjdzie czas.

— Mama jest bardzo nerwowa, ale to nie moja wina, że Kazio zginął — Tomasz usiadł grzecznie na krześle.

— Sądzę, że jako pierwszą przesłuchamy panią Gumińską.



Może to jej pozwoli trochę się opanować — zaproponował porucznik.

Ruszyński domyślał się, że młody oficer został oddelegowany z Komendy Dzielnicowej Praga-Południe.

— Jak pan widzi, panie majorze — Gumińska odpowiadała na stereotypowe pytanie „co pani wiadomo w tej sprawie?” — mamy małe i ciasne mieszkanie. A w domu siedem osób. I tak dziewczynki śpią na piętrowych łóżkach. Ten lokal otrzymaliśmy przed dwunastu laty. Mieliśmy wtedy jedno dziecko, Joaškę. Mama także nie mieszkała z nami. Staramy się o większe mieszkanie. Obiecano nam M-6, ale dopiero w przyszłym roku. Czwórki dzieci trudno samej dopilnować.

— Na pewno. Wiem coś o tym — Miecio powiedział to z pewnością ojca licznej rodziny.

— Tym bardziej że kiedy wracam z pracy, zawsze w domu jest dużo do roboty. Babcia stara i chociaż dobrze, że rano zrobi zakupy i potem obiad ugotuje. A przecież taką czwórkę trzeba oprąć i obreperować. Tomek spodnie z blachy i buty ze stali także by podał w parę tygodni. Miśka też nie lepsza. A Kazio potrafi usiąść na środku kałuży.

— Jak to dzieci — dodał major. Nie przerywał tego opowiadania nie mającego żadnego znaczenia dla sprawy. Wiedział, że to najlepszy sposób, aby biedna kobieta trochę się uspokoiła.

— Tak więc musiałam nauczyć dzieci od maleńkości, aby jedno drugiego pilnowało. Z najstarszą nigdy nie miałam kłopotów. Nawet Misia potrafiła się zająć Kaziem. Ale ten diabeł! — matka rzuciła złe spojrzenie w stronę syna. — Dzisiaj wróciłam z roboty, było tak przed trzecią, dałam dzieckom obiad i wzięłam się za przepierkę. Babcia trochę złe

się czuła, więc położyła się po obiedzie. Mój jeszcze nie nadszedł. Teraz ma robotę na Bródnie. Przy tym nowym osiedlu. Często trafiają się nadgodziny albo jaka fucha, pan major rozumie, ludzie wprowadzają się do nowych mieszkań i chcą, aby drzwi i okna się zamykały, a płytki PCW były równo przyklejone.

— Rozumiem — mecenas kiwnął głową.

— Mam dobrego męża. Nie chła, jak to inni na budowach. Swój grosz zawsze do domu doniesie. Że tam czasem coś dodatkowo zarobi, taki zaskórniak to dla mężczyzny nie grzech. Więc zostawiłam Tadeuszowi obiad, a sama biorę się za przepierkę. Joaśka miała dużo lekcji, a że pogoda ładna, mówię: „Tomek, weź Miskę i Kazia i idź z nimi na dwór. Tylko żebyście daleko od domu nie odchodzili”. Skończyłam robotę, zrobiło się późno, wyszłam na ulicę i rozglądam się za dziećmi. Tomek gra z koleżkami, Miśka siedzi obok z jakimiś dziewczynkami, Kazia nie widzę. Pytam o niego, a Tomek mówi, że pojechał samochodem z jednym panem. Pytam, co za pan i kiedy pojechali? Dokąd, dlaczego? On stoi jak ten głąb i nic nie odpowiada. Dopiero jakiś inny chłopak wyjaśnił, że to było co najmniej przed godziną. Podjechało jakieś auto i kierowca zaproponował, że kto z dzieciaków chce się przejechać, niech siada. Napchało się ich do wozu jak śledzi w beczce. Ten pan obwodził ich naokoło, tamtędy, jak stoi budynek straży ogniowej, i wrócił w to samo miejsce. Zatrzymał się i kazał wysiadać. Powiedział, że mojego Kazia jeszcze raz naokoło obwiezie, bo on najmłodszy i najgrzeczniejszy. Samego miał wziąć. W nagrodę. Dzieci wysiadły, Kazio został, samochód ruszył. A chłopaki jak gdyby nigdy nic dalej grali w piłkę.

— Tutaj, przed waszym domem?

— Nie, dalej. Na Omulewskiej. Koło Grochowskiej, na tym wolnym placu. Rano tam zawsze pełno samochodów, które przyjeżdżają do stacji obsługi, ale po południu jest pusto. Chłopaki z całej okolicy aż do nocy codziennie tam piłkę kopią.

— Znam ten plac — potwierdził adwokat, który czasami reperował swój wóz w tym warsztacie.

— Kiedy mi o Kaziu powiedzieli, jak gdyby mnie kto zdzielił obuchem. Pobiegłam do stacji obsługi samochodów, pozwolili mi zatelefonować. Jakiś urzędnik numer nakręcał, bo tak mi ręce drżały, że nie mogłam dać sobie rady. W milicji, kiedy opowiedziałam o dziecku, kazali czekać. Za kilka minut przyjechał radiowóz, a potem pan porucznik ze swoimi ludźmi.

— Czy pani nie zauważyła, koło waszych dzieci nie kręcił się ostatnio ktoś nieznanomy? Mężczyzna lub kobieta?

— Nie. Nie widziałam nikogo.

— Młodsze chodzą do przedszkola?

— Nie. Przed południem babcia je pilnuje. Bawią się na dworze z dziećmiakami sąsiadów. A jeżeli jest niepogoda, to albo u nas w domu, albo w innym mieszkaniu. Na Grochowie trudno o miejsca w przedszkolu.

— Nigdzie w Warszawie nie jest łatwo — zgodził się Ruszyński.

— Na razie dziękujemy pani — major zakończył przesłuchanie — i proszę być spokojną. Synek na pewno się odnajdzie.

— Przed kilku miesiącami zginęło dziecko na Powiślu — Gumińska nie orientowała się, że major prowadzi i tamto dochodzenie — tyle czasu upłynęło, a chłopczyka do tej pory nie odnaleziono.

— Tam było blisko Wisły. Dziecko znajdowało się samo na ulicy — major nie wahał się w tak przewrotny sposób pocieszyć matkę — mogło dojść do brzegu i wpaść do wody. To jest zupełnie inny wypadek. Tu wiemy, że dziecko żyje, lecz zostało uprowadzone.

— Ale czy nie porwali Kazia, żeby zamordować? — pani Julia znowu omal się nie rozplakała. — Na co komu takie dziecko! Chyba Cyganom?

Ruszyński słysząc te słowa pomyślał, jak silnie w społeczeństwie, bez względu na jego poziom kulturalny, rozpowszechniony jest mit o kradzieży dzieci przez Cyganów. Mit nie mający żadnego uzasadnienia, w faktach.

— Sądzę, że ktoś po prostu dopuścił się nieodpowiedzialnego żartu. Albo jacyś młodzi ludzie zrobili głupi zakład, że potrafią być porywaczami. A Kazio, zdrowy, w najbliższym czasie wróci do domu — powiedział.

— Ja także jestem pewien — stwierdził major — że dziecko się odnajdzie.

— Oby słowa panów się spełniły!

— A teraz porozmawiamy z Tomaszem. Raz jeszcze dziękujemy pani.

Julia Gumińska miała wielką ochotę asystować przy przesłuchaniu syna, w jej mniemaniu głównego sprawcy nieszczęścia. Jednakże Kaczanowski tak ostentacyjnie oczekiwał jej wyjścia z pokoju, że chcąc nie chcąc, przeszła do sąsiedniego.

— No, Tomek, jak to było?

— Tak, jak mamusia opowiedziała.

— Grałście w piłkę nożną?

— Tak.

— Macie swoją stałą drużynę?

— Jest nas kilkunastu chłopaków. Codziennie trenujemy.  
— Będziecie startowali w turnieju „Gramy o złotą piłkę?”  
— Nie. Nie dopuszczą nas. Jesteśmy za młodzi. Może za dwa lata?

— A jak się nazywacie?

— „Grochowskie orły”.

— Świetna nazwa. Na jakiej pozycji grasz?

— Ja? Na bramce.

— A umiesz łapać dolne strzały?

— No pewnie — pochwalił się Tomek.

— Nakrywką czy przez wybiecie?

— Nakrywka to moja specjalność. Mamy jeszcze jednego bramkarza, Bolka, ale ja jestem lepszy. Jak gramy z Męcińską lub z Kickiego, to zawsze ja stoję w bramce.

— A z kim graliście dzisiaj?

— Z chłopakami z Męcińskiej.

— Dobrzy?

— Dobrzy są, ale ich lejemy. Dzisiaj prowadziliśmy dziewięć do siedmiu, kiedy mamusia przyszła i trzeba było mecz przerwać.

— Ten pan, co zabrał dzieciaki na przejażdżkę, przyglądał się meczowi?

— Chyba tak. Bo stał obok samochodu z dziesięć minut. Dobrze widziałem, był niedaleko mojej bramki.

— Samochód też widziałeś?

— Tak. Jasna „syrena”.

— Nowa?

— Nie. Już dobrze podniszczona. Ma chyba ze cztery lata albo i więcej.

— Rejestrację widziałeś?

— Numeru nie pamiętam. Ale zaczynała się na literę „G”. Zapamiętałem, bo to jak moje nazwisko.

— Województwo gdańskie — dodał porucznik.

— Samochód miał jakieś znaki szczególne?

— Nie rozumiem?

— No, może był uszkodzony? Wygięty błotnik albo drzwi? Rdza na karoserii?

— Końce błotników były pordzewiałe. To pamiętam dobrze. Już wczoraj zauważyłem.

— To ten pan był także wczoraj?

— Był. Stał dalej. Na brukowanym parkingu przed stacją obsługi. A potem szedł piechotą w stronę Grochowskiej. Przystanął i też patrzył, jak gramy w piłkę. Pochwalił, że dobrze gramy.

— Co więcej mówił?

— Nic. Tylko nas chwalił.

— Nie zaproponował nikomu przejażdżki?

— Nie. Wtedy nie. Pewnie nie znał jeszcze drogi.

— Teraz ja nie rozumiem — przyznał major.

— Omulewska jest jednokierunkowa — wyjaśniał Tomek. — Żeby wyjechać z powrotem na Grochowską, trzeba zrobić koło. Przeszło półtora kilometra. A wyjeżdża się na sąsiednią ulicę. Właśnie przed naszym domem. Ci, co o tym wiedzą, zawsze chętnie podwożą dzieci, które czekają na taką okazję.

— To się zgadza — przyznał porucznik — auta muszą objeżdżać kawał drogi.

— Wyście prosili o podwiezienie?

— Nie — odpowiedział z dumą Tomasz. — My jesteśmy sportowcy. O przejażdżkę proszą maluchy.

— A wtedy nie prosili?

— Wczoraj było zimno i parę razy popadywało, to małe

dzieci zostały w domu. A my się zimna nie boimy. Gramy nawet w mróz.

— Słusznie — pochwalił major — trzeba trenować cały rok. A przedtem tego pana z „syreną” nie widzieliście? Nie przyjeżdżał na Omulewską?

— Nie widziałem.

— Dzisiaj dzieciaki go prosiły, aby je przewiózł?

— Nie. On sam zaproponował.

— Jak powiedział?

— Zwyczajnie: „Chcecie, dzieci, to was przewiozę w kółko, bo muszę już jechać”

— Dużo ich się napchało?.

— Bo ja wiem? Dzisiaj dzieciaków było pełno. Prawie każdy z nas przyszedł z bratem lub siostrą. Wszyscy się rzucili do auta. Może sześcioro albo i więcej.

— A ty nie jechałeś z nimi?

— Co pan? Przecież mieliśmy mecz.

— Siostrzyczka pojechała?

— Miśka wsiadła z Kazikiem. Kazia posadził obok siebie na przednim siedzeniu razem z innym chłopakiem. Trochę starszym.

— Jak on się nazywa?

— Geniek Bylewski. Z sąsiedniego domu. Miśka i reszta znalazła się z tyłu.

— No i co dalej?

— Nic. „Syrena” ruszyła i zrobiła kółko. Znowu wjechała na Omulewską i zatrzymała się w tym samym miejscu. Ten pan wyszedł z samochodu i kazał dzieciom wysiadać. Kiedy wysiadły, to powiedział, że zrobi jeszcze jedno kółko, ale zabierze samego Kazika, bo on jest najmłodszy i był najgreczniejszy. Odjechał, a myśmy grali w piłkę aż do

chwili, kiedy przysłała mamusia i zaczęła pytać, gdzie jest braciszek.

— Ile czasu mogło upłynąć od odjazdu samochodu z Kaziem aż do przyścia mamusi?

— Nie wiem. Nie miałem zegarka na rękę. Zostawiłem go w domu, żeby nie zepsuć. Może sędzia będzie wiedział?

— Mielście sędziego?

— Heniek Malara. Okulał na prawą nogę i nie mógł grać. Więc nam sędziował. On chyba miał zegarek na rękę. Mieszka na Męcińskiej. Mogę zaprowadzić.

— A tak na oko, dużo czasu minęło?

— Myślę, że z pół godziny albo i więcej. Co pół godziny zmieniamy strony boiska. Pamiętam, że dwa razy zmienialiśmy. Pierwszy zaraz po odjeździe samochodu. A drugi tuż przed przyściem mamusi.

— Podaj nam imiona i nazwiska graczy. A także, jeżeli znasz, to ich adresy.

Tomek bez zająknięcia wyliczył coś ponad trzydzieści nazwisk.

— Tak dużo? To nie gracie w jedenastkę?

— Gramy, ale u nas wolno zmieniać. Każdy z chłopaków chciałby kopnąć piłkę.

— A te dzieciaki, które jechały samochodem?

— Nie uważałem. Wiem tylko, że Kazio i Miśka.

— Jeszcze jedno nam powiedz, ten pan był sam? W samochodzie nie było nikogo poza nim? A może zauważyłeś, rozmawiał z jakąś panią?

— Nie. Sam był.

— A jak wyglądał?

— W jasnym płaszczu. Miał czapkę na głowie. Ciemne okulary. Nosił też duże baki i miał brodę.

— Wysoki?



— Chyba taki jak tatuś.

Major zauważył, kiedy pan Gumiński wstał z krzesła, aby opuścić pokój, że majster budowlany ma około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu.

— A teraz, Tomku, niech tu przyjdzie Misia.

— A ja będę mógł zostać w tym pokoju? — w głosie młodego człowieka zabrzmiały i nadzieja, i zaniepokojenie.

— Raczej nie — odpowiedział major — i tak spotkania z mamusią nie unikniesz.

— Ja się nie boję. Mamusia tak sobie mówi... To ja zawołam Miskę.

Miśka, młodsza od brata, była także i mniej od niego rezydentna. Niewiele można się było od niej dowiedzieć.

— Widziałaś już przedtem tego pana, który was wziął do samochodu?

— Ja nie wiem.

— A jak on wyglądał?

Miśka namyślała się.

— Miał brodę i czarne okulary. Takie jak mamusia nosi, kiedy jest słońce. Tatuś też miał brodę, ale mamusia mu kazała zgolić — dziewczynka mimo woli zdradziła tajemnicę, kto rządzi w tym domu.

— Dobrze było jechać samochodem?

— Dobrze, ale Kazio zginął. Ten pan go ukraść.

— A często jeździsz autem?

— Często.

— Naokoło Omulewskiej z innymi dziećmi?

— Tak.

— A kto z wami jechał?

— Krysia, Zygmus, Irenka, Marysia, Kazio też jechał.

— Wiesz, gdzie te dzieci mieszkają?

— Krysia mieszka tutaj obok. Inne nie wiem.

Po kilku dalszych pytaniach major zrezygnował z przesłuchiwania małego świadka. Rozmowy z najstarszą z rodzeństwa, Joasią, oraz panem Gumińskim i Sabiną Łojko były raczej bezowocne. Potwierdziły jedynie zeznania Julii Gumińskiej, nie wnosząc niczego nowego do sprawy.

W czasie tych przesłuchiwań wszedł do mieszkania jeden z milicjantów ekipy pracującej w terenie. Otrzymała ona radiotelefon. Pułkownik prosił, aby major Kaczanowski i mecenas Ruszyński, jeżeli adwokat będzie dysponował czasem, przyjechali do Pałacu Mostowskich, gdzie Adam Niemi-roch ich oczekuje.

## Rozdział XIII

### Wróżby mecenasa Ruszyńskiego

Pułkownik Adam Niemi-roch nie ukrywał zdenerwowania. Drugie porwanie dziecka w stolicy i to w tak krótkim, bo w kilkumiesięcznym odstępie czasu. Czyżby powstał nowy rodzaj przestępstwa? To mogło wzbudzić ogromną panikę. W Warszawie są tysiące dzieci w tym wieku i tysiące matek, które teraz dzień i noc będą drżały o swoje pociechy.

— Przez radiotelefon miałem sporo wiadomości od ekipy pracującej w terenie — informował pułkownik — ale teraz chciałbym usłyszeć szczegóły z pierwiastkowego dochodzenia. Opowiadajcie, majorze.

Janusz Kaczanowski zwięźle streścił przebieg wypadków

przy ulicy Omulewskiej oraz to, czego się zdołał dowiedzieć od młodocianych świadków.

— Mamy jeszcze około trzydziestu nazwisk i adresów — dodał kończąc raport. — W tej chwili wywiadowcy odszukują tych świadków i z nimi rozmawiają. Nie przypuszczam, aby wnieśli oni coś nowego do sprawy.

— Jakie zarządzenia?

— Milicja drogowa w całym kraju, a zwłaszcza na drogach dojazdowych i w województwie gdańskim, ma zwracać uwagę na jasną „syrenę” z rdzą na błotniku. Zatrzymywać wszystkie tego rodzaju pojazdy, legitymować jadących i sprawdzać, czy nie ma dziecka w samochodzie.

— Dobrze — pochwalił „stary”.

— Pracownia fotograficzna zrobi odbitki ze zdjęć Kazimierza Gumińskiego, które wzięłem od rodziców. Służba ruchu i patrole milicyjne otrzymają te fotki. Radio i telewizja będą co godzina nadawać komunikat o porwaniu dziecka. Jutrzejsza prasa w całym kraju powtórzy tę wiadomość na pierwszych stronach.

— Bardzo dobrze — powtórnie pochwalił pułkownik.

Dyżurny podoficer przyniósł trzy filiżanki z kawą i postawił na stole. Nastąpiła chwila odprężenia. Major i adwokat byli zmęczeni i wytrąceni z równowagi wydarzeniami dnia, toteż łapczywie pili czarny, mocny płyn.

— Zarządę także — major odstawił pustą filiżankę — aby służby kryminalne drogą operacyjną postarały się dowiedzieć czegoś o tym porwaniu. Może w ten sposób wpadniemy na jakiś trop, chociaż wątpię, aby kidnapingi były dziełem zawodowych przestępców.

— Ja także nie sądzę, ale musimy się chwytać każdego dostępnego nam sposobu. Sprawcy porwania muszą być

wykryci i to jak najszybciej. Dziecko musi wrócić do rodziców, żywe i zdrowe.

— Tak jest, obywatelu pułkownika.

— Jeśli chodzi o rysopis porywacza, proszę zwrócić uwagę, że na pewno zdążył zgolić te wielkie baki i brodę.

— Pomyślałem i o tym.

— Przypuszczam, że posługiwał się skradzionym samochodem, a tablica z gdańską rejestracją jest fałszywa.

— Wydałem polecenie sprawdzenia, czy w ostatnim czasie nie zginęła jakaś jasna „syrena”. Te dane otrzymam jednak dopiero jutro.

— Już z tych, którymi rozporządzamy, niedwuznacznie wynika, że porwania obydwu chłopców dokonały te same osoby. Tam także mieliśmy do czynienia z jasnym samochodem i z kierowcą średniego wzrostu, w jasnym płaszczu. Z tym, że w pierwszej akcji decydującą rolę grała kobieta.

— Tu, ze względu na okoliczności, wystarczył jeden człowiek — wyjaśnił major. — Dzieciaki znały zwyczajnie kierowców korzystających z usług warsztatu samochodowego na Omulewskiej i były przyzwyczajone, że chętnie je podwożą wracając na Grochowską.

— Porywacz musiał orientować się w tych zwyczajach — zauważył pułkownik.

— Może kiedyś naprawiał swój wózek na Omulewskiej?

— Albo mieszka w pobliżu? — podsunął major.

— Na to też trzeba zwrócić uwagę.

— Może być pułkownik spokojny, że tego nie zaniedbam.

— Ciągle zachodzę w głowę; jaki jest powód tych porwań? Na Grochowie mieszka kompletna rodzina, a zatem

porywaczem jest osoba całkowicie obca. Na co temu facetowi dziecko?

— Nie wiem — przyznał major. — To największa zagadka w tych sprawach.

Adwokat Ruszyński, dotychczas w milczeniu przysłuchujący się rozmowie dwóch oficerów, teraz postanowił wypowiedzieć swoją opinię.

— Powód drugiego uprowadzenia jest dla mnie całkowicie jasny.

Pułkownik Niemirosz aż podskoczył na te słowa.

— Może to panom wyda się dziwne, ale — w jakimś sensie, oczywiście — uspokoiłem się, kiedy major doniósł o nowym kidnappingu. Od kilku dni spodziewałem się tego. Mogę powiedzieć, że czekałem z niecierpliwością na tę wiadomość.

— A przewiduje pan dalszy rozwój wypadków? — ironicznie zapytał major.

— Żadna sztuka.. Rozwinęliście gigantyczną akcję. Wprawdzie to mi na rękę, ale w gruncie rzeczy wszystko, co robicie, w zasadzie jest zupełnie niepotrzebne. Mały Kazio odnajdzie się najpóźniej jutro wieczorem. Odnalazłby się nawet wówczas, gdyby żaden z milicjantów palcem nie kiwnął.

— Pan mecenas wróży z fusów od kawy? — pułkownikowi daleko było do żartów.

— Nie. Po prostu logicznie rozumię.

— Może jednak mecenas zdradzi nam powody porywania chłopców?

— Pierwszego ciągle nie znam, chociaż zaczynam się domyślać. Ale drugi jest zrozumiały.

— Ciekawym?

— Przestępca przestraszył się. Boi się mnie — skromnie przyznał Miecio.

— Pana?

— Mnie w znaczeniu władzy, której w pewnym stopniu jestem także przedstawicielem. Boi się i mnie, i was, całego potężnego aparatu milicji. Wpadł w panikę i popełnił błąd. Ten pierwszy błąd, na który tak długo czekaliśmy. Teraz rozwiązanie sprawy pójdzie już w szybszym tempie.

— Nie nadążam za tokiem pańskiego rozumowania — przyznał pułkownik. — Może dlatego, że wie pan od swojej klientki więcej niż my.

— A ja zacznym chwytac — powiedział major z pewną dozą uznania. — Mecenas uważa, że porywacze zostali zagrożeni w swoim bezpieczeństwie. Dlatego zdecydowali się na drugi kidnaping, aby nam pokazać, że pierwszy wcale nie był związany specjalnie z osobą Janusza Kowalskiego, lecz chodziło o pierwsze lepsze dziecko, które udało się uprowadzić.

— Ciepło, ciepło, gorąco — pochwalił mecenas. — Im właśnie zależy na tym, abyście się dziwili, jaki może być, powód porwania Kazimierza Gumińskiego. Żeby ta nowa sprawa niejako przesłoniła poprzednią. Teraz, kiedy radio i telewizja trąbią o kidnapingu, a prasa zrobi z tego światową sensację, przestępcy mają prosty sposób zakończenia afery. Pozwolą chłopakowi uciec albo go wypuszczą, niby to ze strachu, że i tak nie zdołaliby z nim umknąć.

— A mały Januszek?

— To co innego. Tego malca musimy nadal szukać, chociaż teraz, po wypadkach na Omulewskiej, krąg poszukiwań bardzo się zawężił.

— Rozumiem — przytaknął major. — Zrozumiałem.

— Najpierw — Niemiroch obruszył się — jeden z drugim

graliście, panowie, w ciuciubabkę, a obecnie obydwaj chcecie mnie, starego, wrobić w konia.

— Ależ panie pułkowniku! — sumitował się major. — Ja dopiero przed chwilą pojąłem, do czego zmierza mecenas. Mnie także początkowo zaskoczyły jego słowa. To jedna z hipotez roboczych.

— Sprawdź się, kiedy mały Kazio wróci do domu — potwierdził adwokat.

— Mówcie jaśniej albo nie mówcie nic i wynoście się z mojego pokoju. — Niemiroch rozżościł się na dobre.

Kaczanowski spojrzął na adwokata. Przecież to Ruszyński był „właścicielem” nowej hipotezy. Czy pozwoli na jej rozwinięcie? Miecio skinął głową. On także nie chciał bez żadnego powodu zadzierać z pułkownikiem, z którym łączyły go więzy dawnej znajomości, prawie przyjaźni i który, jeśli mógł, zawsze szedł na rękę słynnemu adwokatowi.

— Postaram się wyjaśnić teorię pana mecenas — zaczął Kaczanowski. — Nasze dochodzenie prowadziliśmy we wszelkich kierunkach. W pierwszym rzucie poszło ono naturalnie w kierunku zbadania, czy porwania nie dokonała rodzina zmarłego męża pani Kowalskiej, a ojca małego Januszka. Przede wszystkim zainteresowaliśmy się osobą teściowej. Marią Teresą Szczerbiecka. Ma niepodważalne alibi. W dniach uprowadzenia dziecka czy przedtem, kiedy przestępca wyrabiał Januszkowi metrykę w warszawskim Urzędzie Stanu Cywilnego pani Szczerbiecka nie opuszczała Krakowa. Ale niezależnie od nas, jej osoba wzbudziła zainteresowanie mecenas. Złożył on na ulicy Łobzowskiej w Krakowie aż dwie wizyty. Pierwszy raz nie zastał Marii Teresy w domu, bo rzekomo bawiła na kuracji w Krynicy. Za drugim razem

przeprowadził ze Szczerbecką dłuższą rozmowę. Wprawdzie starsza dama nadal zionęła nienawiścią do byłej synowej, a także i do wnuczka, niemniej popełniła drobny błąd: znowu podtrzymała wersję swojego pobytu w Krynicy. A my wiemy, że to nieprawda. Gdyby się skończyło na małym kłamstwie, prawdopodobnie nie ruszylibyśmy z miejsca. Ostatecznie każdy może mieć jakieś swoje tajemnice, pojechać, na przykład, do Szczecina, a twierdzić, że się było w Krynicy. Ale jeden błąd pociąga następne. Szczerbecką uznała, że podejrzewamy ją o udział w porwaniu małego Januszka. Dlatego nastąpił drugi kidnaping. W ten sposób nieuzasadnione jeszcze podejrzenia wobec starszej pani zamieniły się u nas w pewność.

— To wszystko jest ciekawe i bardzo piękne — pułkownik był sceptykiem — ale pisane palcem na wodzie. Nie ma ani cienia dowodu, że to prawda.

— Dowód otrzyma pułkownik w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin — stwierdził adwokat Ruszyński z niezachwianą pewnością siebie.

— Jaki?

— Odnajdzie się dziecko. Mały Gumiński.

— A dlaczego to Szczerbecką miałyby porwać wnuczka? Przecież i tak mogła się nim opiekować.

— Nie mogła. Ta kobieta każdym nerwem swojego ciała nienawidziła Heleny Kowalskiej. Była synowa w całej rozciągłości odpłacała to uczucie. Teściowa uważała, że synowa przyczyniła się do przedwczesnego zgonu jej syna. Kowalska nigdy nie wybaczyłaby Szczerbeckiej rozbicia jej małżeństwa. W sytuacji, kiedy starsza kobieta została zupełnie sama, mogła przelać wszystkie uczucia macierzyńskie na nie znanego



sobie chłopczyka i nie będąc w stanie inaczej ich zaspokoić, posunęła się aż do porwania.

— „Słowa, słowa, słowa... Ja muszę mieć dowody.

— Dam pułkownikowi dowód.

— No proszę?

— Kiedy rozmawiałem z pracowniczką Urzędu Stanu Cywilnego, dziewczyna opowiedziała mi, że początkowo trudno jej było znaleźć odpowiednią stronę w księdze, bo rzekomy dziadek wymienił inne nazwisko. Dopiero dzięki imieniu zidentyfikowano wpis do książki. Fałszywy poczciarz tłumaczył urzędnicze, że ma wnuki aż z czworga dzieci i mogły mu się pomylić ich nazwiska. Ani Szczerbiecka, ani cała rodzina zmarłego męża Kowalskiej nie wiedziała, że dziecko zostało zapisane pod panieńskim nazwiskiem matki. Szukali pod własnym.

— Jak to się mogło stać z tym nazwiskiem? — zdziwił się Niemiroch.

— Trochę sprytu matki, a reszta to nieuwaga urzędnika, który dokonywał wpisu do księgi. Pani Kowalska tak chciała zerwać wszelkie więzy łączące ją z byłym mężem, że nie zawahała się przed małym kręctwem. Sama zresztą przyznaje, że później tego żałowała. Tak więc porywacz czy też porywaczka rekrutują się spośród osób bliskich Marii Teresie. I to takich, którzy nie mieli przedtem kontaktu z Heleną ani z jej dzieckiem. Nie orientowali się w zmianie nazwiska. Dlatego też szukali metryki Januszka pod „Szczerbiecki”, a nie pod „Kowalski”. Nikt z obecnego otoczenia pani Kowalskiej nie znał tej historii. Każdy mógł uważać, że ta kobieta, jak to zwykle robią mężatki mające dzieci, zachowała nazwisko męża.

— To też jest tylko półargument — pułkownik należał

do ludzi upartych — ja nie łapię ryb przed niewodem.

— Wszystko razem: drobny incydent w urzędzie, porwanie Kazia Gumińskiego, odnalezienie się dzieciaka daje nam mocne fundamenty hipotezy, że stara Szczerbiecka albo sama uprowadziła wnuka, albo maczała palce w tej akcji.

— Na razie dziecko jeszcze się nie odnalazło. Mówię o Gumińskim.

— Znajdzie się, znajdzie. Najpóźniej jutro wieczorem.

— Jeśli to nastąpi, złożę wniosek do generała, aby stworzył przy Komendzie Głównej MO etat naczelnego wróżbity i mianował na to stanowisko adwokata Mieczysława Ruszyńskiego.

— To nie wróżby, lecz „baśka” pracuje — stwierdził skromnie mecenas.

— Podziwiam pańską pewność. A jeżeli mały się nie znajdzie?

— Mógłby się odnaleźć w jednym wypadku...

— W jakim?

— Gdyby go porywacze zamordowali i ukryli gdzieś zwłoki.

— Straszne! Niech mecenas nawet tego nie mówi — wzdrygnął się Kaczanowski. — Potworne!

— Ja także przypuszczam, że tak daleko się nie posuną — zgodził się adwokat — i to nie dlatego, aby im sumienie nie pozwalało popełnić tak ohydnej zbrodni, lecz po prostu z innych, bardziej prozaicznych powodów. Co innego jest odpowiadać za uprowadzenie dziecka na tle mniejszych lub większych niesnasek rodzinnych, a co innego kidnaping połączony z morderstwem. W tym drugim przypadku przestępca nie mógłby liczyć na jakiegokolwiek względy sądu, na okoliczności łagodzące lub na prawo łaski. Czapa murowana i to dla

wszystkich uczestników zbrodni. Na takie ryzyko nie pójdą. To są ludzie mądrzy, popełnili wprawdzie parę drobnych błędów, ale kto ich nie popełnia? I ja czasami, wprawdzie rzadko, także się mylę.

— Mecenas ma rację — przytaknął major — nie tkną dziecka.

Ruszyński zerknął na zegarek.

— Już po dziesiątej. Późny wieczór. Na mnie najwyższy czas.

— Co myślisz o teorii Ruszyńskiego? — zapytał Niemi-roch, kiedy oficerowie zostali sami w gabinecie.

— Trafia mi do przekonania. To jedyne logiczne wytłumaczenie dwóch tak sprzecznych ze sobą wypadków, jak porwanie Januszka Kowalskiego i uprowadzenie Kazia Gumińskiego. Hipoteza tłumaczy powody obu przestępstw.

— No, zobaczymy, co, wyniknie z tych waszych teorii — pułkownik do końca nie był przekonany. — Czy ten adwokat nie jest zbyt przemądrzały?

Ale na razie wszystko tak się układało, jak to Mieczysław Ruszyński przewidział. Nazajutrz, przed siódmą rano, w mieszkaniu państwa Gumińskich rozległ się dzwonek. Ku swojej ogromnej radości, matka zobaczyła małego Kazia stojącego w drzwiach. Dziecko było wyspane, umyte i najedzone. W kieszeniach paletka miało pełno cukierków.

Uszczęśliwieni rodzice natychmiast zawiadomili milicję. Major Kaczanowski prosto z domu pojechał na Grochów. O szczęśliwym odnalezieniu się chłopczyka oficer milicji zawiadomił naturalnie i adwokata. Zaproponował mecenasowi,

aby także asystował przy rozmowie z małą ofiarą porywaczy.

— Uważam to za stratę czasu — bronił się Ruszyński. — Jestem przekonany, że niczego się nie dowiemy. To zbyt małe dziecko, aby mogło zapamiętać coś, co ma istotne znaczenie dla sprawy.

Rzeczywiście od małego Kazia zarówno matka, jak i major niewiele się dowiedzieli. Chłopczyk zapamiętał jedno. Rano „ten pan” przywiózł go na miejsce, „gdzie chłopaki w piłkę grają” i zapytał:

— Trafisz stąd sam do domu?

Kiedy malec potwierdził, „ten pan” otworzył drzwiczki samochodu i powiedział:

— Zmykaj. A kłaniaj się rodzicom.

I to byłoby właściwie wszystko, co utkwilo w pamięci dzieciaka. Opowiedział jeszcze, że „ten pan” woził go samochodem, że jadł ciastka. Kazio, a nie „ten pan”. Że pił smaczny soczek.

— A nie płakałeś? Nie tęskniłeś za mamusią i tatusiem? — dopytywała się matka.

— Nie — odpowiedział mały Kazio ze szczerością właściwą dzieciom. — Ten pan był bardzo dobry. Dał mi taką dużą lalę. Większą, niż ma Joaska, i ładniejszą.

— A gdzie ta lala?

Chłopczyk ze smutkiem stwierdził:

— Nie ma.

— Spałeś?

— Spałem — przyznał mały obywatel.

— A gdzie?

— Nie wiem.

— Na łóżeczku?

— Na łóżeczku.

— Była tam jakaś pani?  
— Nie wiem.  
— A ten pan?  
— Nie wiem — dziecku zaczynało się na płacz zbierać od tego gradu pytań.  
— Zostawmy malca w spokoju — zdecydował oficer milicji — może sobie coś przypomni później i powie to pani. Proszę wtedy do mnie zatelefonować.

## Rozdział XIV

### Straszna wiadomość

Kiedy Kaczanowski zatelefonował do Ruszyńskiego, ten od razu w głosie swojego rozmówcy wyczuł zdenerwowanie. Major prosił mecenasa o jak najszybszy przyjazd do Pałacu Mostowskich. Miecio przyrzekł, że stawi się niedługo.

— Co się stało? — zapytał zamiast powitania, skoro znalazł się w pokoju oficera milicji.

— Straszna wiadomość z Wrocławia. Mały Januszek nie żyje. Zamordowano go.

— Kto?!

— Niech pan czyta — major podsunął Ruszyńskiemu kilka kartek zapisanych maszynowym pismem.

Adwokat rozsiadł się wygodnie i zabrał się do studiowania dokumentów. Pierwszym był raport z więzienia karnego w Rawiczu.

Naczelnik więzienia zawiadamiał Wojewódzką Komendę MO we Wrocławiu, z odpisem do prokuratora, że jeden z więźniów, odsiadujący dziesięcioletni wyrok za napad

bandycki, niejaki Waław Macieszko, zgłosił się do oddziałowego z żądaniem poufnej rozmowy z naczelnikiem więzienia, ponieważ chce mu przekazać bardzo ważną wiadomość. Strażnik początkowo zlekceważył to, w więzieniu na porządku dziennym są takie prośby, i wytłumaczył Macieszce, że może zgłosić swoją sprawę, kiedy ktoś z kierownictwa będzie dokonywał wizytacji cel, co zdarza się raz na dwa tygodnie. Jednakże więzień nie ustępował i w końcu oddziałowy zawiadomił przełożonego. Ten zaś polecił sprowadzić więźnia do swojego gabinetu.

Macieszko na wstępie zastrzegł, że wyjawi zbrodnię, jaką popełnił niedawno jeden ze współwięźniów — jednakże pod warunkiem przeniesienia go do innej części gmachu, gdyż po tym, co powie, boi się wracać do własnej celi.

I takie sprawy zdarzały się często. Solidarność więźniów wobec władz więziennych jest tylko mitem, więc naczelnik przyrzekł, że jeśli rewelacje Macieszki będą istotnie ważne, spełni jego prośbę.

Rewelacje Macieszki dotyczyły Cegłowicza, recydywisty, skazanego ostatnio na piętnaście lat więzienia za napad z bronią w rękę i usiłowanie zabójstwa. I oto „kolega po fachu” przechwalał się przed współmieszkańcami celi, że brał udział w porwaniu i zamordowaniu dziecka na Powiślu w Warszawie.

Milicja natychmiast przewiozła Feliksa Cegłowicza do Wrocławia, gdzie poddano go przesłuchaniom. Bandyta początkowo wszystkiemu zaprzeczał, kiedy jednak pokazano mu zeznania Macieszki, przyznał się i opowiedział następującą historię:

Przez trzy lata Feliks Cegłowicz odsiadywał jakąś karę

za jedno z poprzednich przestępstw w więzieniu karno-sędziwym w Gniewie pod Gdańskiem, Tam zaprzyjaźnił się z niejakiem Zenonem Gembałą. Razem planowali różne akcje, które mieli wykonać po wyjściu z więzienia.

Gembala znalazł się na wolności nieco wcześniej od Cegłowicza i wyjechał do Warszawy, gdzie miał rodzinę. U niej postanowił się zatrzymać. Przyszły wspólnik po paru miesiącach podążył także do stolicy i odszukał przyjaciela. Razem obrobili kilka kiosków „Ruchu” i jeden sklep spożywczy. Cegłowicz podawał w swoich zeznaniach dokładne adresy tych kiosków i daty dokonania włamań. Były to jednak stosunkowo bardzo mizerne łupy. Obu bandytom marzyła się większa zdobycz.

W tym czasie, a był to kwiecień, może początek maja, Gembala miał nawiązać kontakt z pewną Amerykanką polskiego pochodzenia, panią Łajtman, mieszkającą w hotelu „Bristol”.

Bezdzietna cudzoziemka chciała zaadoptować jakieś polskie dziecko. Stawiała tylko warunek, żeby to był chłopczyk nie starszy niż cztery i nie młodszy niż trzy lata. Poza tym dziecko, naturalnie, musiało jej przypaść do gustu. Za takiego chłopca obiecywała zapłacić 5.000 dolarów. Płatne od razu gotówką lub towarami do wyboru, które by przysyłała z zagranicy.

Gembala początkowo postanowił przehandlować Amerykance swojego siostrzeńca. Jednakże siostra nie zgodziła się na taką transakcję, a nawet zagroziła Zenkowi, że go wyrzuci z domu. Wobec tego Gembala wtajemniczył we wszystko Cegłowicza i obaj zaczęli się rozglądać za odpowiednim chłopcem. Łącząc po ulicach Warszawy, spostrzegli na Powiślu ładnego chłopczyka, który zdaniem Zenka akurat

nadawałby się dla mającej duże wymagania Amerykanki.

Ustalenie, gdzie dziecko mieszka, jak się nazywa i jakie są zwyczaje rodziców, a raczej matki, nie przedstawiało dla dwóch cwaniaków większej trudności. W dniu ósmego czerwca bandyci zrealizowali swoje zamiary i porwali Januszka Kowalskiego. Dziecko ukryli na terenie ogrodów działkowych przy ulicy Komarowa na Mokotowie. Tam szwagier Gembali ma ogród i wybudował całkiem solidny domek. Przy dziecku czuwali na zmianę. Chłopak był zdrów, lecz ciągle płakał, krzyczał i wyrwał się do matki. Na szczęście dla przestępców pogoda w czerwcu była nie najlepsza i mało działkowiczów pracowało w swoich ogrodach. Dlatego udało się utrzymać tajemnicę miejsca przechowywania małego więźnia.

Pani Łajtman obejrzała dziecko i chłopczyk bardzo się jej spodobał. Przestraszyła się jednak wiadomości, że to porwane dziecko. Amerykanka chciała sprawę załatwić legalnie i uzyskać od rodziców dobrowolne zrzeczenie się praw do dziecka. Obawiała się, że inaczej Januszka nie przewiezie za granicę.

Gembala i na to miał sposób. Tłumaczył cudzoziemce, że trzeba trochę dzieciaka przetrzymać w ukryciu. Kiedy już pierwszy impet milicji osłabnie, wtedy wykombinuje się chłopcu jakieś lipne papiery i podstawy fałszywych rodziców, którzy w sądzie wyrażą zgodę na adoptację małego. Jednakże Łajtmanowa wahała się.

Tymczasem pewnego wieczoru, kiedy dyżur pilnowania Januszka przypadał Gembali, bandycie strasznie zachciało się wódki. Niewiele myśląc, związał chłopaka i aby ten nie krzyczał, zakneblował mu usta. Kiedy nazajutrz Zenek wytrzeźwiał i przywłókł się na ulicę Komarowa, ku swojemu



przerażeniu stwierdził, że dziecko nie żyje. Uduśliło się.

Ani Cegłowicz, ani Gembala nie chcieli śmierci chłopca, z którym wiązali nadzieje tak wysokiego zarobku. Cegłowicz zeznał, że karmili Januszka dobrze, a nawet kupowali mu różne zabawki. Między innymi ładny japoński samochodek na baterie, kosztujący około stu pięćdziesięciu złotych.

Wobec tego, co się stało, Gembala zawiadomił Amerykankę, że postanowili dziecko zwrócić rodzinie. Ciało chłopaka włożyli do worka i przewieźli na Szczęśliwiec Tam wieczorem, po obciążeniu worka kamieniami, wrzucili go do jednej z glinianek.

Adwokat przeczytał ostatnią kartkę i zwrócił maszynopis majorowi.

— Co pan o tym powie? — zapytał oficer milicji.

— Potworne... Ale ja w to nie wierzę.

— Zażądałem natychmiastowego przestania Cegłowicza do Warszawy, do naszej dyspozycji. Będziemy z nim rozmawiali.

— A ten Zenek Gembala?

— To także znany bandzior, niejednokrotnie notowany w milicji. Miałem z nim osobiście do czynienia. Dobrze sobie przypominam, że ostatni wyrok odsiadywał właśnie w Gniewie.

— Aresztowaliście go?

— Niestety, to jest niemożliwe. Gembala został ranny w jakiejś bójce na Woli. Zmarł w szpitalu w trzy czy cztery dni później. Prawdopodobnie bandycka dintojra, bo sprawcy zbrodni nigdy nie odnaleziono.

— Może go nawet nie szukano ze zbyt wielką energią? — powątpiewał адвокат. — Ostatecznie społeczeństwo

niewiele straciło. Tym bardziej należy bardzo ostrożnie podchodzić do rewelacji Cegłowicza.

— Kiedy już przyjedzie do Warszawy, zrobimy wizję lokalną. Będzie musiał krok po kroku odtworzyć cały przebieg przestępstwa. Na razie sprawdzimy to, co można na miejscu sprawdzić. Jednakże w opowiadaniu bandyty jest wiele prawdy. Już ustaliliśmy, że istotnie w kwietniu i w maju przebywali w Polsce obywatele Stanów Zjednoczonych — państwo Wardman. Małżonkowie rzeczywiście poszukiwali dziecka dla adopcji. W tym celu nawiązali kontakt z pewnym adwokatem i w jego towarzystwie zwiedzili kilka Domów Dziecka, lecz nie mogli się zdecydować na wybór. Ostatecznie pani Wardmanowa zrezygnowała ze swoich zamiarów i w połowie czerwca Amerykanie wyjechali z Polski.

— A jednak nie wierzę w tę historyjkę — upierał się Ruszyński — ta kobieta na pewno natychmiast zawiadomiłaby milicję, że ktoś proponuje jej kupno uprowadzonego dziecka. W Stanach Zjednoczonych kidnaping jest przestępstwem budzącym powszechną odrazę i zagrożonym najwyższymi karami. Nawet wówczas, jeśli porywacze zwrócą rodzicom dziecko całe i zdrowe. Ta kara obejmuje w USA wszystkich, którzy wiedzieli o zbrodni i nie donieśli o niej władzom. Obywatelka amerykańska musiała o tym doskonale wiedzieć. Wiedziała także, że nawet wyjazd z Polski nie uchroniłby jej przed karą. To przestępstwo uważa się w Stanach Zjednoczonych za zbrodnię przeciwko ludzkości i karane jest bez względu na miejsce jego popełnienia. Wardmanowie nie poszliby na takie ryzyko.

— Bardzo bym chciał, żeby pan miał rację — przyznał

major — niestety mam i inny dowód, że rewelacje Cegłowicza mogą być prawdziwe.

— Jaki?

— Ten samochodzik na bateryjki. Wprawdzie siostra Gembali i jego szwagier jakoś dotychczas nie mieli nic wspólnego z kodeksem karnym, ale naturalnie ich adres był nam doskonale znany. Wiedzieliśmy, że w rzadkich chwilach pobytu na wolności bandyta właśnie tam znajduje melinę. Maszynopis dostałem wczoraj w południe. Od razu złożyliśmy wizytę Henrykowi Juszczukowi, tak się ten szwagier nazywa. Rzeczywiście mają działkę w ogrodach przy ulicy Komarowa i co gorsza znaleźliśmy japoński samochodzik.

— A co zeznawali Juszczukowie?

— Zaprzeczali wszystkimu. Twierdzili, że zabawkę, kupił Gembala gdzieś w maju dla ich dziecka. Mają chłopczyka mniej więcej w wieku Janusza Kowalskiego. To zresztą ich jedyny synek.

— Gembala proponował im sprzedanie dziecka Amerykance?

— Zofia Juszczukowa kategorycznie temu zaprzecza. Twierdzi, że gdyby brat wystąpił z czymś takim, sama by mu oczy wydrapała.

— Więc jednak punkt dla mnie.

— Tylko ten samochodzik... Trudno przypuszczać, aby taki pijak i bandyta nagle robił kosztowne prezenty dziecku siostry.

— Nigdy nic nie wiadomo. Może miał słabość do chłopaka? Każdy człowiek ma ambicję zdobycia czyjeś uczucia, czyjeś dobrej o sobie opinii. Gembalę mógł pokochać i dobrze o nim mniemać jedynie mały chłopczyk, który od wujka

dostał upragnioną zabawkę. A co z ogrodem działkowym?

— Żadnych śladów pobytu Janusza Kowalskiego tam nie stwierdziliśmy. Nic dziwnego, od tego czasu zbyt dużo wody w Wiśle upłynęło. Natomiast prawdą jest, że na działce Juszczykowie zbudowali bardzo porządną domkę. W lecie, w czasie upałów, mieszkają tam i nocują. Nie byłoby trudno ukrywać się tam z dzieckiem.

— Przecież Juszczykowie musieliby coś o tym wiedzieć.

— Może wiedzą i milczą, aby ich nie uznano za pomocników w przestępstwie? Twierdzą, że na początku czerwca nie bywali na działce, bo Juszczyk leżał chory. Jakaś infekcja. Żona zwolniła się wtedy z pracy, aby pielęgnować męża. To już dzisiaj sprawdziliśmy w Zakładach „Róży Luksemburg”, bo Henryk pracuje w tej fabryce. Chorował przeszło trzy tygodnie.

— W opowiadaniu Feliksa Cegłowicza prawda przeplata się z fantazją. Dlatego takie szczegóły, jak domek na działce przy ulicy Komarowa czy japońska zabawka zgadzają się dokładnie z rzeczywistością. Cegłowicz bywał na pewno u swojego przyjaciela. Może nawet nocował w ogrodach działkowych, jeśli nie miał w Warszawie lepszej mety. A zabawkę widział w rękach małego Juszczyka. Te szczegóły wplótł do swojego opowiadania.

— A historia z Amerykanką?

— Z pewnością nie była tajemnicą. Pan przecież zasięgał informacji w „Bristolu”, prawda?

— Tak.

— Skoro służba hotelowa pamięta do tej pory panią Wardman i fakt, że poszukiwała dziecka dla zaadoptowania go, to wiadomość mogła przedostać się na zewnątrz.

Cegłowicz mógł się o tym dowiedzieć zupełnie przypadkowo, z innego źródła. Zresztą nie wykluczam, że Gembala mógł się skontaktować z obywatelką USA i usiłował w czymś pośredniczyć, aby zarobić kilka dolarów. Ten adwokat, o którym major wspominał, nie robił niczego innego. Z tą różnicą, że swoje kroki osłaniał prawem, stroił się w piórka pełnomocnika strony dla załatwienia formalności adopcyjnych. Bandzior z więzienia w Gniewie był bardziej szczerzy w swoich intencjach.

— Dodał mi pan, mecenasie, trochę otuchy. Ta straszna wiadomość wytrąciła mnie wczoraj zupełnie z równowagi.

— Całkiem niepotrzebnie. Przecież zagadkę porwania Januszka Kowalskiego właściwie już rozwiązałem. Dziwiw się, że pan się przejął taką naiwną historyjką.

— Oby naiwną, mecenasie... Nie można, niestety, w tej chwili wykluczyć, że to jest prawda.

— Zwykła fantazja bandziora, który się nudzi w swojej celi. Śmierć dziecka przez uduszenie przypomina mi uprowadzenie synka słynnego amerykańskiego lotnika, Lindberga, człowieka, który pierwszy przeleciał Atlantyk z Zachodu na Wschód. I pomyśleć... Tak niedawno to był wspaniały, bohaterski wyczyn, a upłynęło zaledwie kilkanaście dziesiątków lat i dzisiaj ludzie latają na Księżyc...

— Jednakże ciągle myślę nie o Księżycu, tylko o zeznaniach Cegłowicza.

— Kiedy bandzior zaszczyci pana swoją wizytą?

— Jutro go przywiozą do Warszawy. Pojutrze będę go przesłuchiwał.

— Chciałbym być obecny przy jednym z takich przesłuchań.

— Miałem o to prosić mecenasa. Może pojutrze?

— Nie. To za wcześnie. Niech major sam z nim parę razy porozmawia.

— Zorganizujemy też wizję lokalną.

— Jeszcze jedna prośba — zastrzegł się Ruszyński. — Aż do momentu, kiedy będziemy mieć całkowitą pewność, że Januszek nie żyje, matce ani słowa.

— To się samo przez się rozumie. Przede wszystkim przeszukamy gliniankę, którą nam Cegłowicz wskaże. Jeżeli znajdziemy tam zwłoki... To byłby jedyny pewny dowód. Brr, aż boję się o tym myśleć!

— Nic nie znajdziecie — powiedział mecenas z niezachwianą pewnością w głosie.

Po kilku dniach Janusz Kaczanowski zawiadomił adwokata, że parokrotnie przesłuchiwał przestępcę. Odbyła się także wizja lokalna. Cegłowicz bez wahania demonstrował, w jaki sposób porwano i uprowadzono małego Januszka. Natomiast zwłok zamordowanego nie znaleziono, pomimo że w poszukiwaniach skorzystano z pomocy Warszawskiego Klubu Płetwonurków. To jednak o niczym nie świadczyło, bo glnianka wskazana przez Cegłowicza jest głęboka, dno ma muliste i wodę mętną, a widoczność na dnie ograniczona ledwie do pół metra. Użycie sieci także nie dało rezultatu, bo całe dno jeziora zasłane jest najrozmaitszymi kamieniami, gruzem, kłodami drzewa, są tam nawet wraki samochodów i jakaś poniemiecka armata.

— Niestety — kończył telefoniczną rozmowę major — coraz bardziej jestem skłonny wierzyć Cegłowiczowi. Ostatecznie grozi mu przecież wysoki wyrok za udział w tej zbrodni. Stawiałem wiele podchwytliwych pytań. Nie dał się wciągnąć w żadną zasadzkę. Bardzo dokładnie opisał ubranie malca. Podawał także szczegóły ubrania pani Wardman

i jakim samochodem przyjechała na ulicę Komarowa, aby obejrzeć chłopczyka. To również się zgadza.

— Mógłbym jutro pogadać z pańskim bohaterem?

— Dobrze. Przesłucham go jeszcze raz, a mecenas będzie przy tym asystował jako pełnomocnik Heleny Kowalskiej, ewentualny przyszły oskarżyciel posiłkowy — major był zawsze skrupulatny i dokładnie trzymał się przepisów prawa — powiedzmy o dziesiątej, u mnie w Pałacu Mostowskich.

Feliks Cegłowicz miał szare, nieco przerzedzone włosy, twarz pełną, jakby nalaną, wskazującą na częste i długie pobyty w więzieniu, cerę bladą, bystre,; niewielkie oczka piwnego koloru. Był mężczyzną średniego wzrostu o silnej budowie. Jak każdy recydywista, schludnie ubrany, włoski przylizane gładko, niezmiernie ugrzeczniony. Kiedy ktoś, choćby szeregowy milicjant, wchodził do pokoju majora Kaczanowskiego, więzień zrywał się z krzesła i stawał na baczność. Na pytania odpowiadał cichym, spokojnym głosem, jak gdyby beznamiętnie. W tej układności wyczuwało się jednak jakiś nieprzyjemny odcień. Tak samo układne i posłuszne są tygrysy, kiedy demonstrują w cyrku różne sztuki. Ten człowiek był grzeczny, ale arogancko grzeczny. W jego spojrzeniu i uśmiechu czytało się wyraźnie pogardę, jaką bandyta żywi do otaczających go ludzi.

Teraz Cegłowicz siedział przed biurkiem majora Kaczanowskiego w pozycji mającej wyrażać najwyższy szacunek i chęć jak największego przysłużenia się oficerowi milicji. Nieco z boku, pod oknem, zajął miejsce adwokat Mieczysław Ruszyński.

— Powiedzcie, Cegłowicz, jeszcze raz, jak to było? — polecił major.

— Przepraszam, panie majorze, ale kto jest ten pan? — więzień wskazał na mecenasa. — Zgodnie z kodeksem mam prawo wiedzieć, kto mnie przesłuchuje. Pan major wybaczy moją śmiałość.

— To jest adwokat Ruszyński, oskarżyciel posiłkowy z ramienia pani Heleny Kowalskiej, matki małego Januszka.

— Bardzo dziękuję, panie majorze. Można by jednego papieroska?

Ruszyński podał przesłuchiwanemu całą paczkę.

— No, mówcie — zachęcił Kaczanowski.

— Czy, panie majorze, od samego początku, jak to poznałem Zenka w Gniewie?

— Nie, wtedy na Solcu.

— To było tak — zaczął — dlaczego nie, mogę, jeszcze raz powtórzyć. Kikowaliśmy już parę dni na tego małego w czerwonym berecie. Gembala myślał, że chłopak jak raz nadałby się pani Łajtman. Idziemy Solcem, patrzymy, mały stoi przed wystawą i gapi się, co się w środku dzieje. Zenek, jak się zorientował, że dzieciak jest sam, a na ulicy ludzi niewiele, przy przystanku autobusowym żywej duszy, mówi do mnie: „Felek, zrywamy szczeniaka?” Ja też widzę, że okazja rzadka, więc potakuję. Podeszlim do chłopaka, ja z jednej strony za rękę, Zenek z drugiej i taszczy my bachora przez ulicę.

— W którą stronę? — zapytał adwokat.

— W drugą stronę Solca. Tam, gdzie jest ten duży sklep elektryczny.

— Januszek dał się prowadzić?

— Zaczął drzeć mordę, ale Zenek mu przygroził „Milcz,



gówniarzu, bo ci łeb ukręcę”, to zamilkł i szedł jak ślepe cielę.

— A potem?

— Przeszliśmy przez Solec i zasuwamy dołem pod wiaduktem. Tam zaraz przy ulicy Kruczkowskiego jest duży plac. Mieli budować garaże na pięćset samochodów. Wybudowali tylko piwnice. Stało to wiele lat ogrodzone parkanem. Nawet jakiś cieć pilnował i mieszkał w baraku. Teraz barak rozebrali, a płot rozkradli. Tylko te lochy zastały. Tam się zamelinowałam.

— Długo siedzieliście w piwnicy?

— Chyba do dziesiątej wieczorem. Zenek wyskoczył na Dobrej do apteki, kupił bandaże i na Solcu na rozgrzewkę pół litra. Jak już było dobrze ciemno, obandażowaliśmy małemu cały pysk razem z oczyma, że nic nie widział. Znowu za rękę go i poszliśmy na Solec, Tam niedaleko szpitala taryfy stoją. Wsiadliśmy do jednej, niby że to Zenek wiezie syna ze szpitala po opatrunku. Szczeniak płakał i darł się, że chce do mamy, ale to nikogo nie dziwiło, wiadomo, chore dziecko, to i płacze.

— Co było dalej?

— Chciałbym dodać — przypomniał sobie Cegłowicz — że zdjęliśmy małemu z głowy ten czerwony beret, żeby nie podpadał za bardzo ludziom w oczy. Poza tym chłopak był ubrany w granatowy kostium. Jak noszą sportowcy. Na nogach miał brązowe trepki.

— Dobrze, dobrze — mruknął mecenas.

— Podjechaliśmy taryfą na róg Raclawickiej i Komarowa. Wsiadliśmy, zapłaciliśmy, co się należało i kiedy szoferak odjechał, zabraliśmy dzieciaka do ogrodów działkowych. Tych przy Komarowa. Tam szwagier Zenka ma swoją działkę. Trzymaliśmy Janusza przeszło tydzień.

- Przecież brama była zamknięta — zauważył major.
- A po co wchodzić przez bramę? Czy to dziur w siatce nie ma albo tak trudno je zrobić? Przeleźlim jedną i zbyte.
- Teren ogrodów jest pilnowany.
- Ciecie śpią w nocy. Albo się boją wytknąć nosa ze swojej nory.
- Juszczycowicie wiedzieli, że trzymacie chłopca w ich domku?
- Pewnie, że wiedzieli. Przecież Zośka, siostra Gembali, przynosiła nam żarcie. Przytargała też dla dzieciaka ciuchy swojego synka, a te zabrała, aby wyprać, bo się uświnił jak nieboskie stworzenie. Jakby go takiego Łajtmanowa zobaczyła, gadać by z nami nie chciała.
- Siedzieliście w tym domku z dzieciakiem i nikt was nie zauważył?
- A co miał patrzeć? Ludzie grzebali w ziemi. Myśmy się nie kryli. Siedzieliśmy na ławce przed domkiem. Zośka z nami. Ją znali, a że przy nas był dzieciak? Przecież Zośka miała takiego samego, w tym samym wieku. Z daleka szczeniaka od szczeniaka nie odróżni.
- Pani Wardman przychodziła do was?
- Raz była. Przyjechała z mężem, samochodem. Ciemnoniebieski „polski fiat”. A na głowie miała cały ogród. Warzywa, owoce, nawet jakieś ptaszki siedziały. Taki duży kapelusz. Ludzie, jak ją zobaczyli, aż się za boki brali ze śmiechu.
- I co z tą Amerykanką?
- Cykoryjna babka była. Chłopak bardzo się jej podobał. Rzeczywiście, gówniarz był ładny, słowa powiedzieć nie można. Ale coś baba wyniuchała. Pyta się, czy to nie jest aby dziecko, które zginęło niedawno? Zenek naturalnie poszedł

w zaparte. Tłumaczy, że to jego krewniaków, którzy mieszka-  
ją na wsi i sami nie mogli bachora przywieźć, bo teraz dużo  
roboty w polu. Ale Łajtmanowa uparła się. Musi rozmawiać z  
rodzicami i musi mieć dzieciak wszystkie papiery, że mucha  
nie siada. Żeby można było iść do sądu i zrobić przepiskę.  
Zenek ją bajtlował, że wszystko dokumentnie załatwi i rodzi-  
ce zgłoszą się do niej za parę dni. Chcieliśmy lipę skutecznie  
i podstawić kogoś frajerom. Ale temu moczymordzie chlać  
się zachciało i zadusił szczeniaka. Ciut, ciut, za bardzo mu  
buzię okręcił. Kiedy rano wróciłem na Komarowa, chłopak  
był już zimny trup. Co było robić, trzeba się było pozbyć  
ciała. Więc do wora. Parę kamieni wrzuciło się także i buch  
do glinianki. Pokazywałem panom milicjantom, z którego  
miejsca go rzucili, ale nic nie znaleźli. Pewnie do tej pory  
ryby i pijawki obszczypały go do kości.

— Przecież zwłoki i kamienie to razem dość duży ciężar.  
Nie mogliście daleko rzucić.

— Tam, panie mecenasie, z miejsca głębia. A worek roz-  
bujaliśmy we dwóch, że najmarniej z pięć metrów poleciał,  
zanim chlupnął do wody. Sam mało się nie wykąpałem przy  
tym. Szkoda dzieciaka. Nie chcieliśmy go zabić, a można  
było od tej Łajtmanowej gites zarobić.

— Będziecie za to morderstwo odpowiadać.

— Ja wiem, panie mecenasie, ale mnie sumienie gryzło.  
Musiąłem opowiedzieć, jak na świętej spowiedzi. Spokoju nie  
miałem. Nie ja go zadusiłem, tylko Zenek. A wszystko przez  
tę przeklętą gołdę.

Adwokat, rzucił pozornie nic nie znaczące pytanie:

— Pamiętacie, o której zdjęliście chłopca sprzed wysta-  
wy?

— To było tak koło czwartej, panie mecenasie — odpowiedział Cegłowicz.

— Tak wcześniej? — zdziwił się adwokat — czy się nie mylicie?

— Przepraszam, panie mecenasie. Przypominam sobie, to już było gdzieś po szóstej. O czwartej ludzie wracają z pracy. Na Solcu wtedy duży ruch. A później ulica robi się pusta. Wtedy na przystanku autobusowym nie było ani jednego człowieka.

Ruszyński w głos się roześmiał.

— Dobrzeście to sobie, Cegłowicz, wykombinowali. Pod całą jest nudno. Wciąż te same twarze. Współwięźniów i strażników. Lepiej pojechać do Warszawy. Trochę się rozrwać, milicję nabajtłować. A i żarcie lepsze, popalić też dadzą. Wykuliście tę bajeczkę na blachę. A że Zenek nie żyje, więc i zaprzeczyć pie miał kto. Ale w takich wypadkach, widzicie, Felek, trzeba znać nawet drobne szczegóły sprawy. Przegraliście. Trzeba będzie wrócić do Rawicza.

Tak dotychczas greczny i układny Feliks Cegłowicz zmienił się w mgnieniu oka. Bluznął najordynarniejszymi przekleństwami.

— Głupie gliniarze uwierzyli we wszystko. Gdyby nie ten najmimorda!... — tu znowu posypała się „facina”.

Zerwał się z miejsca i byłby się rzucił na adwokata, gdyby nie żelazny chwyt Kaczanowskiego, który posadził Cegłowicza z powrotem na krzesło.

Major kazał wyprowadzić awanturującego się więźnia. Trzech milicjantów musiało go siłą ciągnąć do aresztu.

— Winszuję, mecenasie — ucieszył się Kaczanowski — dobrze go pan złapał.

— To było proste — skromnie stwierdził Miecio. —

Przejrzałem jego grę. We wszystkich komunikatach, w radio, telewizji i prasie podawaliście bardzo dokładnie, jak było ubrane dziecko. Ale nigdzie nie znalazłem najmniejszej nawet wzmianki o godzinie jego zaginięcia. Słusznie więc wywnioskowałem, że Cegłowicz tego nie wie. Będzie musiał zgadywać. No i nie zgadł.

— Wardmanową jednak dobrze opisał, A także i samochód wynajęty przez nią w administracji „Bristolu”.

— Zapewne ją widział, może z nią rozmawiał? Przypuszczam, że obaj bandyci kręcili się koło ekscentrycznej Amerykanki, chcąc wyłudzić od niej trochę dolarów. A co do Cegłowicza, to stara, ograna historia. Recydywiści nudzą się i nie takie bujdy wymyślają. Jestem pewien, że nasz bohater ma na dzień ósmego czerwca niepodważalne alibi. Z całym rozmysłem doprowadziłby do rozprawy sądowej, a tam dopiero ujawniłby swoją niewinność tłumacząc, że milicja głodem i biciem zmusiła go do składania takich, a nie innych zeznań.

— Trzeba nie mieć za grosz sumienia! Przecież jest matka, która jakże ciężko przeżyłaby wiadomość o śmierci jedynego dziecka.

— Spodziewa się pan, majorze, odruchów sumienia u bandyty sześciokrotnie karanego za złodziejstwo i napad z bronią w rękę?

— A jednak w każdym człowieku drzemie jakaś lepsza cząstka.

— Optymisto, optymisto — gorzko roześmiał się mecnas — nieraz przeżyje pan wielkie rozczarowanie, szukając tej lepszej cząstki.

— Ale i nieraz przeżyję radość znajdując ją.

## Rozdział XV

### List z zagranicy

— Panie mecenasie — meldował Mieczysławowi Ruszyńskiemu woźny Franciszek — znowu przyszła ta ruda.

— Jaka ruda? — adwokatowi zajętemu badaniem akt jakiejś skomplikowanej sprawy słowo „ruda” automatycznie skojarzyło się ze sprytnym dziewczęciem, które odplynęło w siną dal z pewnym Szwedem o mocnej głowie i zamiłowaniu do popijania likieru piwem. — Niech idzie do diabła! Nie chcę jej więcej znać. Niech pan spyta, czy Szwed ją puścił kantem, czy też wrócił do Skandynawii?

Wierny woźny orientował się coś niecoś w rozlicznych problemach słynnego adwokata, więc zniżając głos, aby go nie było słycać w sąsiednich klitkach, gdzie urzędowali koledzy Miecia ze sto czwartego zespołu, informował:

— Nie ta Concita z „Grand Hotelu”. Przyszła ruda, co jej dziecko ukradli.

— Dlaczego Franciszek bawi się w zagadki, zamiast powiedzieć, że przyszła, pani Helena Kowalska?

— Kiedy ja nie mam głowy do nazwisk.

— Concitę jednak Franciszek zapamiętał — mruknął Miecio. Dziewczyna w rzeczywistości nazywała się bardziej prozaicznie: Katarzyna.

— To jak, prosić tę panią?

— Naturalnie, że prosić. Co za pytanie?

Kiedy weszła Helena Kowalska, Ruszyński od razu zauważył, że kobieta ma zaczerwienione oczy. Znowu niedawno płakała.

— Pan mecenas tak mnie pocieszał, że już niedługo

Januszek się odnajdzie — powiedziała strapiona matka po przywitaniu się z adwokatem — tymczasem dzisiaj dostałam list.

— Jaki list?

— Z zagranicy.

Pani Kowalska wyjęła z torebki długą, wąską kopertę kremowego koloru, opatrzoną kilkoma kolorowymi znaczkami. Podała ją Ruszyńskiemu.

Adwokat starannie obejrzał kopertę. Znaczki były z portretem królowej Elżbiety II. List nadano w Londynie przed pięcioma dniami. Adres na maszynie. Nie zapomniano nawet o kodzie. Natomiast nie było nazwiska nadawcy ani jego miejsca zamieszkania. W kopercie znajdowała się kartka papieru, najwyraźniej oderwana z całego arkusza. Napisano na niej zaledwie kilkanaście słów:

TWÓJ SYN ŻYJE I JEST ZDRÓW. NIE MARTW SIĘ O NIEGO I NIE SZUKAJ GO, BO TO NADAREMNE. WYJEŹDŹA DZISIAJ DO AMERYKI, GDZIE ZOSTANIE WYCHOWANY PRZEZ MILIONERA. BĘDZIESZ OD NIEGO DOSTAWAŁA PACZKI, A SYN WYROŚNIE NA BOGATEGO CZŁOWIEKA.

Pod tekstem nie było podpisu.

— To wysłano przed pięcioma dniami. Dzisiaj znalazłam w skrzynce listowej. Jak otworzyłam kopertę, spłakałam się. Zabrali mi mojego Januszka. Wywieźli do Ameryki. Już go więcej nie zobaczę — kobieta sięgnęła po chusteczkę, bo znowu łzy zaczęły jej płynąć po twarzy. — Co mi po pieniądzach i paczkach!

— Nie dostanie pani ani pieniędzy, ani paczek — roześmiał się Ruszyński — ten cały list to zwykła bujda.

Porywacze boją się, że milicja jest na ich tropie i postanowili nas wprowadzić w błąd.

— Pan myśli? — w głosie matki zadźwięczała nadzieja.

— Jestem tego najzupełniej pewien. Czy to tak trudno znaleźć kogoś, kto jedzie do Londynu i poprosić go o drobną przysługę: wrzucenie listu do skrzynki pocztowej? Nie mogę pani wiele powiedzieć, bo jestem związany tajemnicą śledztwa, ale to zdradzę, że dochodzenie idzie właściwym tropem i posuwa się naprzód. Sprawa nie jest prosta, bo Polska duża i na tym terenie mieszka przeszło trzydzieści trzy miliony ludzi. Odszukać jednego i to niezbyt wielkiego, jak Januszek, niełatwo. Ale myśmy już się przebili przez ten stóg siana i jesteśmy coraz bliżej naszej igły.

— Pan mecenas zawsze umie mnie pocieszyć i natchnąć nową otuchą. Ale kiedy, panie mecenasie? Tak strasznie tęsknię za synkiem.

— Nie mówię „dziś” i nie mówię „jutro”. Ale niedługo. Musi się pani uzbroić w cierpliwość.

— To już cztery miesiące...

— Do mnie pani przyszła zaledwie przed miesiącem.

— Ja wiem, panie mecenasie, że pan wiele dla mnie zrobił. Jestem ogromnie wdzięczna. Gdyby nie pan mecenas, milicja nie ruszyłaby ponownie sprawy.

— Jeszcze trochę cierpliwości, droga pani Heleno — pocieszał adwokat.

— To ja już pójdę. Tam w korytarzu dużo klientów czeka na pana. Bardzo dziękuję za wszystko, a przede wszystkim za pociechę i dobre słowa. Żeby się nareszcie sprawdziły...

Kobieta wstała i chciała wyjść z adwokackiego boksu, ale Ruszyński ją zatrzymał.



— Ten list, pani mi go zostawi.

— Po co? Teraz, kiedy już wiem, że nie jest prawdziwy, chciałam go spalić.

— Broń Boże! — zawołał adwokat. — To bardzo ważny dokument.

— Proszę, mecenasie — Kowalska ponownie wyjęła z torebki kremową kopertę i podała ją adwokatowi.

— Oddam list milicji, zrobią analizę papieru, dowiedzą się, gdzie takie papeterie są sprzedawane, a także zbadają, na jakiej maszynie to napisano. Nie ma bowiem dwóch maszyn do pisania, które by miały identyczne czcionki. Być może, ten list przyczyni się do szybszego zdemaskowania przestępców.

Zaraz po odejściu Heleny Kowalskiej adwokat zatelefonował do Pałacu Mostowskich. Miał szczęście. Zastał Janusza Kaczanowskiego. Major wysłuchał relacji o liście z Anglii i zapytał:

— Mecenasa długo będzie w zespole?

— Jak zwykle przyjmuję klientów od czwartej do szóstej. O szóstej, żeby tam pioruny waliły, wychodzę.

— Doskonale, wpadnę do mecenasa przed szóstą. A gdybym się parę minut spóźnił?

— Dla władzy robi się wyjątki. Poczekam.

— Postaram się być punktualnie.

Jednocześnie z pożegnaniem przez adwokata ostatniego klienta, oficer milicji zjawił się w lokalu zespołu. Kaczanowski także dokładnie przestudiował pismo z Anglii.

— Stemple oryginalne — stwierdził — znaczki przyklejone przed ostemplowaniem listu. Bezsporne więc, że przesyłkę nadano w Londynie. Co do maszyny do pisania, znam się trochę na tym, to na pewno jest czeski „Consul” z długim wałkiem. Jeszcze prawie nowy. Czcionki nie są zdarte, ale

druk ma nierówne odstępy, bardzo charakterystyczne właśnie dla tej marki z długim wałkiem. Naciąg mają za mocny. Naturalnie w tej sprawie musi się wypowiedzieć specjalista z Zakładu Kryminalistyki, ale trzymam zakład, że tylko potwierdzi moje zdanie. Znajdzie też na pewno wiele cech indywidualnych tej maszyny, co w przyszłości pozwoli nam ustalić, na jakim „Consulu” napisano list.

— Maszyna o niczym nie świadczy. Może się znaleźć „Consul” i w Anglii, chociaż wątpię, aby „amerykański milionier” posługiwał się właśnie tą marką. Raczej używałby „Underwoodu” lub „Remingtona”.

— Ja też tak sędzę.

— Natomiast papier listowy wydaje mi się dziwnie znajomy. Nie przysięgnę, ale chyba mam paczkę takiego samego w domu.

— Tak, to chyba „Mirków”? O ile wiem, papierów listowych nie eksportujemy, bo i produkcja nie pokrywa zapotrzebowania rynku krajowego i jakość, nawet w porównaniu z czeskimi, węgierskimi czy niemieckimi z NRD, nie za wyso-  
ka.

— Piszący jest człowiekiem oszczędnym — uśmiechnął się adwokat — pożłował całego arkusika. Przeciął go na pół.

— To nie oszczędność. Na tej dolnej połówce był znak wodny. Przestępca starał się wprowadzić nas w błąd. Po tym znaku moglibyśmy się domyśleć, że list sfabrykowano w kraju i jedynie wrzucono na pocztę w Anglii. Spryciarz! Ale okazało się, że my sprytniejsi.

— W każdym razie dowodzi to jednego. Przestępca czy też przestępcy coraz bardziej się nas boją.

— Maria Teresa Szczerbiecka?

— Ona na pewno wie znacznie więcej, niż nam to powiedziała.

— Ale nie brała udziału w porwaniu tego drugiego chłopca. Tam występował mężczyzna — zauważył Kaczanowski.

— To tylko dowodzi, że porywaczy jest dwoje. Nie twierdzę, że jednym z nich jest starsza pani z Krakowa, choć są pewne dane, które przemawiają przeciwko niej, niemniej porywacze rekrutują się z tej rodziny. To więcej niż pewne.

— List zabieram do ekspertyzy.

— Oczywiście — zgodził się Ruszyński — jedynie dlatego prosiłem panią Kowalską o zostawienie mi tego pisma. Nie kolekcjonuję dowodów ludzkiej głupoty. Musiałbym na takie archiwum wynająć jakieś wielkie pomieszczenie.

— Jeszcze jedno — zauważył oficer milicji — i tym razem intuicja mecenasa nie zawiodła. Sprawdziliśmy, okazuje się, że Feliks Cegłowicz i Zenon Gembala w dniu siódmego czerwca wieczorem usiłowali okraść jakiegoś pijaka na Dworcu Głównym w Warszawie. A może zresztą nie okraść? Może doszło do jakiegoś towarzyskiego nieporozumienia pomiędzy nimi w bufecie przy piwie? Dość, że następne dwadzieścia cztery godziny zacna para przyjaciół spędziła w areszcie komisariatu kolejowego MO. Wyobrażam sobie, jak się nasz Feluś, oskarżony o współudział w morderstwie dziecka, z góry cieszył na przedstawienie, które zamierzał urządzić na rozprawie.

— Moja intuicja rzadko zawodzi — zauważył Miecio z wrodzoną sobie skromnością. — Taki już jestem od dziecka.

— Mecenas skończył urzędowanie?

— Tak. Na szczęście przed pana przyjściem udało mi się spławić ostatniego klienta.

— A dalsze plany na wieczór?

— Żadne.

— Może byśmy więc poszli do „Grandu”, sprawdzić, czy nas tam nie ma?

— Nie lubię tego lokalu, jak na mój gust, za dużo tam cudzoziemców.

— A więc dokąd?

— A co by major powiedział, gdybyśmy tak skromniutko poszli na placki kartoflane?

— Znakomicie.

— Świetnie dają po węgiersku w „Budapeszcie”. A pewna kelnereczka zgrabna jak marzenie.

— Ruda? — zapytał major.

Mieciec tylko się roześmiał.

## Rozdział XVI

### Zmarłych zmartwychwstanie

— Panowie — zaczął pułkownik Adam Niemiroch, kiedy cała trójka: gospodarz, adwokat Mieczysław Ruszyński i major Kaczanowski zebrali się w pokoju naczelnika wydziału zabójstw MO — obiecywaliście mi cuda, tworzyliście genialne koncepcje, a ja po prostu pytam: gdzie jest Janusz Kowski?

— Moja koncepcja na pewno jest słuszna, lecz...

— Tak dobrze żarło i zdechło — przerwał mu kpiącym przysłowiem Niemiroch.

— Mecenas ma rację. Ujęcie sprawców porwania to

kwestia czasu. Nie ulega wątpliwości, że Maria Teresa Szczerbiecka maczała palce w tym przestępstwie. Jest śledzona i w dzień, i w nocy. Uzyskaliśmy także zgodę prokuratora na kontrolowanie jej korespondencji. To nas musi naprowadzić na trop dziecka.

— Jeżeli jest tak podejrzana, to należy ją zatrzymać, przeprowadzić w jej domu dokładne przeszukanie.

— Przeszukanie nic nam nie da: Z pewnością dziecka nie ma w Krakowie przy ulicy Łobzowskiej.

— A gdzie jest?

— Tego jeszcze nie wiemy — tłumaczył się major — ale będziemy wiedzieli.

— A tymczasem ja, stary, muszę za was świecić oczyma. Nie dalej jak wczoraj nasłuchiłem się w KG MO o „pewnych bardzo długo przeciągających się dochodzeniach”. Nie rozumiem. Macie porywaczkę, a nie możecie znaleźć chłopczyka?

— W tym sęk, pułkowniku — adwokat zabrał głos — że nie mamy porywaczy.

— No, a ta Szczerbiecka?

— Ona dużo wie. Może nawet wszystko, ale ona nie porwała Januszka Kowalskiego. Im dłużej zastanawiam się nad tą sprawą, tym bardziej jestem tego pewien.

— Tak pan sądzi? — zdziwił się major. — Zmienił mecenas zdanie?

— Tylko głupcy nie zmieniają zdania...

— Na czym pan opiera swoje przekonanie, że Szczerbiecka nie jest porywaczką?

— Przede wszystkim na moim nosie — to mówiąc Miecío dotknął mięsistej, z lekka zadartej ozdoby twarzy — on mnie nigdy nie zawodzi!

— Obawiam się, że to za mało — zauważył sarkastycznie major.

— Dość długo rozmawiałem z Marią Teresą — tłumaczył adwokat — i zapewniam panów, że nie była to zbyt przyjemna konwersacja. Ta kobieta zionie jakąś patologiczną nienawiścią do swojej synowej. Czas, który przecież wszystko łagodzi, chyba tym razem jeszcze bardziej podsycił tę niechęć. Spodziewałem się, że zastanę w Krakowie starszą panią rozpaczającą po stracie jedyne go syna, a zastałem tam wulkan nienawiści. O Karolu wspomniała mimochodem. Natomiast żal i gniew, jaki żywi do Heleny Kowalskiej, rozciąga się także na jej synka.

— To mogła być gra.

— Znam się, panowie, trochę, na ludziach — oburzył się adwokat — wiem, kiedy mówią prawdę, a kiedy kłamią. Szczerbiecką nie była zadowolona z mojej wizyty, nawet, co mnie wtedy trochę zdziwiło, nieco przestraszona, ale nie udawała nienawiści. Gdyby podnosiła głos, miotała na głowę byle jak synowej jakieś przekleństwa, mógłbym podejrzewać ją o aktorstwo, ale ona mówiła spokojnie, cicho, za, to przypominała jadowitą żmiję, która zaraz ugryzie.

— Uprowadzenie przez nią Januszka mogłoby być aktem zemsty.

— Mogłoby — zgodził się mecenas — ale ja w to nie wierzę. Następne kroki porywaczy świadczą o czymś innym. Oni chcą wywołać wrażenie, że dziecka nie warto szukać, bo i tak się go nie odnajdzie. Stąd wniosek, że Januszka porwano, bo ktoś chce go wychować jako własne dziecko. Fakt, że przestępcy uaktywnili się po mojej rozmowie ze Szczerbiecką, dowodzi niedwuznacznie, że starsza dama stoi blisko porywaczy.

— Mamy meldunki, że nie opuszcza Krakowa, nie otrzymuje żadnej korespondencji, a kontakty, które utrzymuje, są bez znaczenia dla naszej sprawy.

— Przywarowała. Nigdy zresztą nie twierdziłem, że to głupia kobieta.

— Co panowie proponujecie dalej?

— Czekać — odpowiedział adwokat.

— Na co? Na śnieg? — spokój Ruszyńskiego drażnił pułkownika. — Ja uważam, że przeciwnie, musimy się śpieszyć. Kowalska i moje władze zwierzchnie żyć mi nie dają.

— Pośpiech nieraz jest potrzebny, a przy łapaniu pcheł nawet konieczny, ale nie przy prowadzeniu takiego dochodzenia. Jakies nasze nierozważne posunięcie może spłoszyć przestępców — adwokat obstawał przy swoim. — Dziecko na pewno ma dobrą opiekę. Zależy komuś na tym. Bardzo boleję nad nieszczęściem matki, lepiej jednak, aby pani Kowalska poczekała na synka jeszcze miesiąc czy choćby dwa, niż gdyby się go miała w ogóle nie doczekać. Cała sprawa to „gra w błędy” między nami i przeciwnikami. Na początek tej gry błędy popełnialiśmy przede wszystkim my. Teraz przyszła kolej na nich. Nie śpieszmy się z przejściem pałeczki tej sztafety.

— Mecenas ma rację — major gorąco poparł adwokata. — Nie siedzimy przecież i nie czekamy beczynnie z założonymi rękoma. Cały czas inicjatywa jest po naszej stronie. Jesteśmy jak pająk, który rozpiął sieć i czeka, aż mucha w nią wpadnie. Nie leży w interesie pająka uprzedzanie muchy, że znajduje się tuż przy siatce.

— Cholernie trudna sprawa! — zaklął Niemiroch.

— Pułkownik nie ma racji — zaprzeczył Ruszyński. — Sprawa już teraz nie jest trudna. Odwaliliśmy kawał solidnej

roboty i największe trudności mamy poza sobą. Jestem pewien, że milicja zebrała pełny materiał dochodzeniowy. Brakuje nam małego kluczyka, żeby otworzyć ten skarbiec.

— Odnoszę to samo wrażenie — przytaknął Janusz Kaczanowski. — Przyznaję, że po raz nie wiadomo który studiuję akta, chociaż znam je chyba na pamięć. Rozumiem całą technikę przestępstwa, wszystkie pociągnięcia porywaczy dla zmylenia dochodzenia. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że uprowadzenia dziecka dokonała rodzina Szczerbieckich, chociaż różnię się w poglądach z mecenasem. Twierdzę bowiem, że Maria Teresa brała w tym osobisty udział. Fakt, że dwie siostry są bardzo do siebie podobne i że Szczerbiecka nie utrzymuje żadnych kontaktów z sąsiadami, pozwala jej mieć fałszywe alibi. Brakuje mi jednak wyraźnego powodu, dla którego pani Kowalskiej wykradziono jej małego synka.

— Układam łamigłówkę. Taką dziecięcą zabawkę z kolorowych kostek. Na każdej znajduje się jakiś fragment obrazka. Trzeba z tych kwadracików złożyć całość. Wprawdzie już ją ułożyłem, ale parę kostek znalazło się na niewłaściwych miejscach i cała robota na nic. Obrazek jest niezrozumiały. Przekładam te kwadraciki, odwracam kostki i nic z tego nie wychodzi, mimo że prawidłowe rozwiązanie jest o krok, o jeden ruch kostki...

— Odrzucam całą waszą filozofię o kluczykach i klockach do łamigłówki — stwierdził zniecierpliwionym tonem Adam Niemiroch — pająki i muchy też zostawmy w spokoju. Prawidłowo prowadzone dochodzenie zawsze w końcu trafia na przestępcę. To nasze błędy komplikują sprawę. Panowie zachwycacie się swoją robotą. Ja twierdzę, że może była pracochłonna, ale zła. Nie wykryto sprawcy porwania



dziecka. Macie na swoim koncie jakieś niedociągnięcia. Nie wiem, jakie, ale to nie podlega dyskusji. Ciągłe mówicie, że porwania dokonała rodzina Szczerbieckiej albo nawet sama starsza dama. Dla mnie to nie jest takie jasne. Gdyby żył Karol Szczerbiecki, wtedy to byłoby zrozumiałe.

Janusz Kaczanowski nagle się ożywił.

— Właściwie — powiedział — jakie mamy dowody, że młody Szczerbiecki naprawdę nie żyje? W aktach naszego dochodzenia nie ma na ten temat najmniejszej wzmianki. Wiemy tylko, że Helena Kowalska otrzymała przed mniej więcej dwoma laty list od byłej teściowej, zawiadamiający ją o śmierci eksmęża. Poza tym pani Szczerbiecka wspomniała w rozmowie z mecenasem Ruszyńskim, że syn jej zmarł, o ile dobrze pamiętam, na białaczkę. To wszystko. Nikt tego nie sprawdzał.

Adwokat tak gwałtownie zerwał się z miejsca, że aż krzesło z hałasem przewróciło się na podłogę. Podbiegł do Kaczanowskiego.

— Brawo! Brawo! — zawołał. — Winszuję! Tego nam brakowało. To moja ostatnia kostka do łamigłówek. Że też mogłem popełnić tak piramidalne głupstwo i oprzeć się wyłącznie na jakimś liście czy też czyichś słowach. Co za dureń ze mnie! Dobrze mi tak! Słusznie zostałem ukarany za swoje zarozumiałstwo. Myślałem, że sam rozwiążę tę zagadkę, a tymczasem ostatnie słowo należało do milicji. Może to zresztą i lepiej. W końcu nie jest rolą adwokatów zastępować władze bezpieczeństwa. Jestem pełen podziwu dla majora.

— Przypuszczam — Kaczanowski, jak zwykle ostrożny, ważył każde słowo — że Szczerbieccy wprowadzili w błąd Helenę Kowalską, gdyż Karolowi znudziło się płacić alimenty.

Później nie można już się było z tego wycofać.

— Tu nie ma co przypuszczać — Miecio głośno wyrażał swój entuzjazm — w ciągu kilku dni kończymy sprawę! Odnalezienie Karola Szczerbieckiego nie powinno być trudne dla aparatu milicyjnego. Facet skończył mechanizację rolnictwa i zaszył się gdzieś na wsi, w jakimś PGR albo w POM. Dzieciaka zabrał do siebie i nawet nie potrzebował go meldować, bo do gminy daleko, a bliżej tym się nikt specjalnie nie interesował. Trzymam zakład, że odnajdziecie młodego Szczerbieckiego pod jego prawdziwym nazwiskiem.

— A jak nie, to wyciśniemy ten adres od starszej pani z Krakowa — dodał Kaczanowski.

— Tego bym nie robił — przestrzegł adwokat. — Baba zatnie się i nic nie powie, a zaalarmuje Karola i resztę rodziny. Wtedy małego tak gdzieś ukryją, że znowu stracimy długie miesiące na odszukanie chłopca. Lepiej działać wolniej, niech to trwa kilka dni dłużej, ale za to na pewniaka.

— Najpierw sprawdzimy krakowskie meldunki młodego Szczerbieckiego. Nie przypuszczam, aby mógł wykombinować własny akt zgonu?

— Gdyby nawet tak było, choćby mi pokazano jego grób — zapalił się adwokat — będę żądał ekshumacji i zbadania, kto w tej trumnie właściwie został pochowany.

— Mam nadzieję, że nie dojdzie aż do tego. Szczerbiecki przez dwa lata przyzwyczał się, że była małżonka pogodziła się z jego śmiercią. Pewnie najspokojniej żyje gdzieś zupełnie legalnie. Po porwaniu Januszka cała rodzina zachowała pewne środki ostrożności. Stąd wzmianka o śmierci Karola w rozmowie mecenasa ze Szczerbiecką.

— A ja to wszystko przyjmowałem za dobrą monetę!

Jeszcze się dziwiłem, że ta kobieta po stracie syna jest tak spokojna, nie interesuje się jedynym jego potomkiem i nadal go nienawidzi. A w mieszkaniu ani najmniejszego zdjęcia zmarłego jedynaka. Co za bałwan ze mnie!

— Zaraz nadam telefonogram do Krakowa w sprawie tych meldunków. Będę ciągnął za tę nitkę tak długo, aż wreszcie dojdziemy do kłębka.

— A ten teraz jak porzucił pajęczynę, to złapał się za nitkę! — westchnął pułkownik, ale adwokat i major przeszli do porządku dziennego nad utyskiwaniem Niemirocha.

— W tym tygodniu skończą się nasze zmartwienia, a przede wszystkim rozpacz matki. Helena Kowalska odzyska swojego Januszka.

— A z nim razem — dodał Kaczanowski — także i dość okrągłą sumkę zaległych alimentów. Szczerbieccy postarają się, żeby przynajmniej ten punkt nie figurował w akcie oskarżenia; nadałoby to postępowaniu ojca dziecka bardzo brudny wygląd. Co im zresztą niewiele pomoże.

— Pani Helenie nigdy nie chodziło o pieniądze. Przecież tylko dlatego zapisała syna pod panieńskim nazwiskiem, aby pozbyć się wspomnienia o Szczerbieckich. Będę jednak musiał nauczyć chłopaka pływać.

— Pływać? Dlaczego? — zdziwił się pułkownik, który poza jedną uwagą w milczeniu przysłuchiwał się dialogowi dwóch entuzjastów, kończących w teorii całe dochodzenie i uważających się za zwycięzców.

— Tak mi się kilka słów wyrwało... — przyznał Miecio. — Chciałem kiedyś pocieszyć panią Kowalską, a nie miałem czym. Obiecałem jej, że po odnalezieniu Januszka wezmę go na pływalnię. Trudno — słowo się rzekło, kobyłka u płota.

— Jeżeli to mecenasowi nie odpowiada, zajmę się chłopcem. Dwa razy w tygodniu chodzę na pływalnię. Mogę zabierać ze sobą Januszka.

Ruszyński uważnie popatrzył na majora, ale nie powiedział ani słowa.

— O ile wasze przypuszczenia się sprawdzą — szybko wkroczył Niemiroch — cała zasługa z odnalezienia chłopca przypada mnie.

— Jak to? — Miecio nie lubił zbyt wielu współników do sukcesu.

— Gdybym was nie rugnął, żebyście sobie z głowy wybili różne łamigłówki, to nadal byście tutaj filozofowali o niebieskich migdałach. A tak, pomyśleli i znaleźli.

## Rozdział XVII

### Januszek wraca do matki

Wypadki nie potoczyły się jednak tak prosto, jak to sobie major Janusz Kaczanowski i mecenas Mieczysław Ruszyński wyobrażali. Z Krakowa przyszło zawiadomienie, że Karol Szczerbiecki, syn Franciszka Józefa i Marii Teresy z domu Kukulskiej, po powrocie z Warszawy został zameldowany w mieszkaniu matki przy ulicy Łobzowskiej i mieszkał tam prawie dwa lata. Następnie wymeldował się do Leska w województwie rzeszowskim.

Z kolei major wysłał odpowiedni telefonogram do Komendy Wojewódzkiej MO w Rzeszowie, aby zbadano, jak się sprawa przedstawia w Lesku. Odpowiedź wyjaśniała, że Szczerbiecki pracował w Lesku, w tamtejszym zespole PGR przez siedem miesięcy, po czym został zwolniony na własną

prośbę i wymeldowany w niewiadomym kierunku. Wymeldowanie pokrywało się mniej więcej w czasie z miesiącem, kiedy to pani Helena Kowalska otrzymała list od teściowej, zawiadamiający ją o śmierci Karola.

Sprawdzono w Centralnym Biurze Adresowym. W Polsce nie było ani jednego człowieka noszącego imię i nazwisko: Karol Szczerbiecki.

Ale major Kaczanowski był zbyt doświadczonym pracownikiem milicji, aby się przejmować tak drobnymi niepowodzeniami. Zresztą, cóż to za niepowodzenia? Przecież stwierdzono, że Karol Szczerbiecki nie umarł, lecz ukrywa się gdzieś w kraju. A jeśli ktoś nosił nazwisko „Szczerbiecki”, to najlepiej sfałszować dokumenty, zmieniając dwie literki „e” na „ń” i „c” na „s”. Wtedy Szczerbiecki zamieniał się w Szczerbińskiego.

Karolów Szczerbińskich było w kraju kilkunastu. To nazwisko jest znacznie bardziej popularne niż „Szczerbiecki”. A jeden z tych Karolów, tak się dziwnie złożyło, miał tę samą datę urodzenia, co syn Marii Teresy i Franciszka Józefa. Co dziwniejsze, ten Karol był także z zawodu inżynierem, specjalistą od mechanizacji rolnictwa i pracował wprawdzie nie w PGR, lecz był dyrektorem dużego POM-u pod Kościanem w województwie poznańskim.

W tak dziwne zbiegi okoliczności oficer milicji nie wierzył, więc zatelefonował do adwokata Ruszyńskiego i podzielił się z nim uzyskanymi wiadomościami.

— Jutro jadę do Kościana po dziecko, no i po figlarnego tatusia. Naskładało mu się sporo spraw i sprawek na koncie. Trzeba uregulować te rachunki. Mam nadzieję, że mecenas pojedzie z nami?

Ruszyński odmówił. Tłumaczył się jakimś ważnym terminem w Sądzie Wojewódzkim. Może tak było naprawdę? A może Miecio ciągle nie mógł przeboleć, że nie pozostał aż do końca primabaleriną tego dochodzenia? Dość, że Janusz Kaczanowski wybrał się w Poznańskie tylko ze swoimi ludźmi.

Mieszkanie dyrektora POM-u znajdowało się poza granicą zabudowań warsztatowych. Była to zgrabna, niedawno wybudowana willa, otoczona sporym ogródkiem. Major zostawił samochód i swoich ludzi trochę dalej, a sam w towarzystwie porucznika z Komendy Powiatowej MO w Kościanie zadzwonił do drzwi.

Otworzyła im młoda, sympatycznie wyglądająca blondynka..

— Panowie zapewne pomylili się — powiedziała na widok dwóch mężczyzn — biura POM znajdują się w tym piętrowym budynku, który widać na prawo.

Za kobietą, w uchylonych drzwiach prowadzących do jednego z pokojów, stał dość wysoki chłopczyk, ciekawie spoglądający na przybyszów. Nie mogło być mowy o pomyłce. To dziecko oficer milicji oglądał nieraz na najrozmaitszych zdjęciach. Niektóre z nich miał nawet przy sobie.

— Czy pana Szczerbińskiego zastaliśmy?

— Męża nie ma. Ani w domu, ani w biurze. Wyjechał służbowo do Poznania.

— Samochodem? Tą swoją jasną „syrenką”?

Kobieta roześmiała się.

— „Syrenkę” sprzedaliśmy przed kilkoma dniami. Mamy teraz „trabanta”.

— Przyjechaliśmy po dziecko — rozmowa toczyła się ciągle na ganku przed willą.

— Z Myślenic? Od pani Marty? Nic nie rozumiem? — blondynka była bardzo zaskoczona.

— Nie z Myślenic, lecz z Warszawy — oficer milicji uważał, że czas już przerwać tę komedię. Wyjął legitymację służbową i pokazał ją pani Szczerbińskiej.

— Major Janusz Kaczanowski — machinalnie przeczytała młoda kobieta — nie rozumiem?

— Nie będziemy cały czas rozmawiali na dworze. — Major polecił swojemu towarzyszowi: — Poruczniku, zawołajcie tu naszych ludzi. Niech przeprowadzą przeszukanie willi, no i naturalnie zabezpieczą Janusza Kowalskiego.

— Panowie, to jakaś omyłka — Szczerbińska usiłowała protestować — to dziecko ma na imię wprawdzie również Janusz, ale jest synem mojego męża z jego pierwszego małżeństwa i nosi nazwisko: Szczerbiński.

— Skończmy z tą farsą — oficer wszedł do pokoju, a jego asysta za nim. Jeden z milicjantów stanął przy dziecku, jak gdyby eskorta honorowa. Mały Januszek na widok nieznanomych zaczął płakać. Kobieta podbiegła do niego i usiłowała go uspokoić.

— Proszę mi wytłumaczyć, o co chodzi? — powtórzyła, kiedy chłopczyk przestał pochlipywać.

— Niech pani nie udaje, że nie wie pani o niczym.

— O czym mam wiedzieć?

— Skąd to dziecko znalazło się w waszym domu?

— Przywiozła je siostra mojej teściowej. Z Myślenic. Tam go wychowywała od niemowlęstwa, bo matka nie chciała się w ogóle troszczyć o swojego synka. Rzuciła męża i kazała mu zabrać dziecko, kiedy ono miało zaledwie trzy miesiące. Mężczyzna nie dałby sobie rady z takim niemowlakiem. Na szczęście chłopczykiem zaopiekowała się pani

Marta. Teraz, kiedy mamy odpowiednie warunki, postanowiliśmy z mężem, że weźmiemy Januszka do siebie.

— Bardzo to ładnie pani ułożyła. Piękna bajeczka — roześmiał się major — i jak w każdej bajce nie ma w niej słowa prawdy. Nawet tego, że pani mąż nazywa się Szcerbiński.

Kobieta milczała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— A w ogóle kim pani jest? Proszę mówić prawdę.

Kobieta była oburzona.

— Nazywam się Jolanta Szcerbińska. Z domu Dębska. Urodzona w Krakowie dwudziestego lutego 1950 roku. Czy mam pokazać dowód osobisty?

— Na razie nie. Przyjdzie czas, dokumenty także obejmujemy.

— Jak panowie się zachowują? Co to za najście na nasz dom?

— Proszę bardzo. Mamy nakaz przeszukania — porucznik skwapliwie podał Szcerbińskiej dokument wystawiony przez prokuratora w Kościanie. — Może pani powie, że nigdy nie słyszała o porwaniu dziecka w Warszawie w dniu ósmego czerwca tego roku?

— Pod koniec maja zachorowałam i leżałam w szpitalu. W początkach czerwca byłam operowana.

— Nie czytała pani gazet, nie słuchała radia, nie oglądała telewizji?

— Walczyłam ze śmiercią. Szóstego czerwca poszłam na stół operacyjny. Potem jeszcze przez wiele dni mój stan był krytyczny. Leżałam w powiatowym szpitalu. Mogą panowie łatwo to sprawdzić. Opiekowała się mną moja mama. Przyjechała na ten czas z Krakowa.

— A mąż? Był wtedy w Kościanie?



— Niestety, przed samą operacją, trzeciego czy też czwartego czerwca musiał wyjechać do Warszawy, do ministerstwa na jakąś ważną kursokonferencję. Wrócił, jak już było po wszystkim.

— Z dzieckiem?

— Nie. Widząc, jak bardzo przeżywam, że nie będę mogła mieć własnych dzieci, Karol dopiero wtedy przyznał się, że ma synka z pierwszego małżeństwa, który jest wychowywany przez jego ciotkę w Myślenicach. Z radością zgodziłam się wziąć dziecko do naszego domu.

— A chłopczyk, nic nie opowiadał?

— Dziecko jak dziecko. Kiedy się znalazło w nowym otoczeniu, nic dziwnego, że tęskniło. Płakało za matką. On panią Martę nazywał matką, bo ta wychowywała go od pierwszych miesięcy jego życia. Ale szybko przyzwyczaił się. Starłam się, aby mu u nas było jak najlepiej. Naprawdę nie rozumiem, czego panowie chcą ode mnie i od mojego męża?

— Skoro pani się upiera, że nic nie wie, spróbuję odświeżyć jej pamięć. Sprawa jest bardzo brzydka i zarówno pani, jak i jej mężowi grozi poważna odpowiedzialność karna.

— Za co? — przestraszyła się Jolanta Szczerbińska.

— Za wiele najrozmaitszych przestępstw.

— Pan żartuje. Ani mój mąż, ani ja nie popełniliśmy nigdy niczego złego. Karol by nawet ziarenka zboża nie wziął z cudzego pola, a ja? Cóż ja takiego zrobiłam?

— Pani zna swoją teściową, matkę Karola?

— Znam. Bardzo miła starsza pani. Bardzo nam pomagała, kiedy jako młode małżeństwo byliśmy jeszcze na dorobku. Zresztą to właściwie ona mnie wyswatała za swojego syna. Karol ogromnie się sparzył na pierwszym małżeństwie i,

mocno to przeżywał. Początkowo nawet nie chciałam słyszeć o wyjściu za mąż za rozwodnika.

— Nigdy nie dziwiło panią, że jej mąż nosi inne nazwisko niż rodzice? Wprawdzie podobne, ale inne.

— Znam doskonale tę historię. Nieraz pani Szczerbiecka opowiadała mi, jak do tego doszło. Jej mąż, Franciszek Józef urodził się w Wiedniu, tam bowiem Józef Szczerbiński był jakimś wysokim urzędnikiem austriackim. Metryki wówczas sporządzane były po łacinie, metryka ojca Karola przez księdza — Austriaka, który naturalnie nie władał językiem polskim i nie umiał wymówić tak trudnego nazwiska. Dlatego też popełnił błąd i zamiast „Szczerbiński” wpisał dziecku „Szczerbiecki”. Tak już zostało. Ale kiedy państwu Szczerbieckim urodził się syn, dopilnowali, aby dziecko wróciło do dawnego, rodowego nazwiska.

— Bardzo to sprytne, ale nieprawdziwe. Pani mąż sam sfałszował metrykę, a także inne dokumenty i dowód osobisty.

— Dlaczego miałyby to zrobić?!

— Najpierw dlatego, aby nie płacić tysiąca złotych alimentów swojej byłej żonie, Helenie Kowalskiej, na koszty wychowania ich dziecka. Później zaś dlatego, aby milicja nie mogła go odszukać. A jednak tu jesteśmy.

— Temu, co słyszę, brakuje logiki — pani Szczerbińska stawiała się coraz pewniejsza siebie. — Po co mój mąż miałby płacić alimenty tej kobiecie? Że go zdradzała kolejno, z kim się tylko dało, a później wyrzekła się swojego dziecka, kiedy chłopczyk nie miał jeszcze stu dni życia? To była wyjątkowo podła kobieta. Wiem o tym nie tyle od Karola, co przede wszystkim od jego matki, która opowiedziała mi całą

tragiczną historię małżeństwa swego syna:

— Nie wiem, czy pani tak zręcznie kłamie, czy też po prostu nie orientuje się, w jakim dziwnym kręgu kłamstwa dotychczas pani przebywała. Prawda jest zupełnie inna. Dużo, dużo gorsza dla pani.

— Jaka? — zapytała młoda kobieta z lekką drwiną w głosie — niechże ją usłyszę.

— Proszę bardzo — zgodził się oficer milicji — oto fakty. Karol Szczerbiecki, bo tak się wtedy nazywał, studiował na Politechnice Warszawskiej. I tam poznał młodszą koleżankę, również studentkę, Helenę Kowalską. Młodzi, pomimo że nie mieli ani mieszkania, ani żadnych poza stypendium dochodów, postanowili się pobrać. Na pewno z punktu widzenia ludzi starszych i doświadczonych była to decyzja szalona. Ale przecież takich studenckich małżeństw tylko w samej Warszawie zawiera się co roku setki. Niektóre nawet nie kończą się rozwodem.

— Znam tę historię, opowiadała mi o niej teściowa — sucho przyznała Jolanta.

— W najlepszym razie zna pani jedną wersję. A moje opowiadanie ma wszystkie cechy bezstronności, bo urzędowo badaliśmy cały życiorys Karola Szczerbieckiego vel Szczerbińskiego, jak i jego pierwszej żony. Młode małżeństwo mieszkało przy ulicy Kickiego, na Grochowie, w domach akademickich. On w bloku męskim, ona naprzeciwko, przez ulicę. Materialnie było im bardzo ciężko, bo rodzice Heleny nie mogli pomagać córce, zaś Maria Teresa Szczerbiecka od początku zajęła zdecydowanie wrogą postawę wobec synowej, która, o zgrozo! była córką zwykłego funkcjonariusza pocztowego z Puław. W całej „arystokratycznej” rodzinie byłego rzeczywistego tajnego radcy dworu o młodej pani

Karolowej nie mówiło się inaczej, jak z przekąsem „listonoszówna”.

Szczerbińska z lekka się zaczerwieniła. Musiała słyszeć ten epitet.

— Małżeństwo borykało się z twardym losem jeszcze ponad rok. Wreszcie mieli tego dosyć. Postanowili, że Helena rzuci studia, zacznie pracować, aby utrzymać siebie i męża. Kiedy zaś on uzyska dyplom inżyniera, wtedy z kolei ona wróci do przerwanej nauki. Kowalska otrzymała pracę w jednej ze spółdzielni, wynajęli pokój na dalekim przedmieściu Warszawy. Ale nadal im się nie przelewało. Ona przecież początkowo dużo nie zarabiała.

— To była zła, niemoralna dziewczyna, od dnia ślubu zdradzała męża.

— To jest wersja teściowej — uśmiechnął się major — czy tak było naprawdę? Wątpię. W każdym bądź razie ona harowała, on studiował. Był już na ostatnim roku, robił dyplom. Zdawało się więc, że słońce zaświeci i na ich ulicy. Wtedy właśnie Helena zaszła w ciążę. Pomiędzy małżonkami doszło do poważnych nieporozumień. On, podjudzany głównie przez matkę, żądał, aby żona „pozbyła się kłopotu”. Kowalska, o przepraszam, wtedy pani Szczerbiecka, odmówiła. Karol mieszkał z żoną we wspólnym pokoju do dnia otrzymania tytułu inżyniera magistra, potem natychmiast się wyprowadził i wystąpił o rozwód.

— Pan się myli, majorze, to ona zażądała rozwodu. Chciała mieć pełną wolność. Małżeństwo ją krępowało w jej trybie życia.

— Badałem akta procesu rozwodowego. Wyrok zapadł na żądanie męża. Żona zgodziła się na rozwód bez orzekania winy stron. Ostatnia rozprawa sądowa odbyła się zaledwie trzy miesiące przed urodzeniem się dziecka. Helena zataiła

przed sądem swoją ciążę. Jak ona to zrobiła? Gdyby sąd orientował się, na pewno nie orzekłby rozwodu.

— To dlaczego się zgodziła?

— Po prostu miała dosyć ciągłych awantur z teściową i jej ukochanym synkiem. Zresztą zagrożono jej wywołaniem skandalu, że dziecko nie jest Karola. Chyba porównywała pani męża i Januszka? Nie trzeba przeprowadzać żadnych badań krwi, wystarczy spojrzeć na nich obu.

— Tak. To prawda. Podobieństwo jest uderzające.

— Mam nadzieję, że jedynie fizyczne — zadrwił oficer milicji. — Kiedy mały się urodził, Helena zawiadomiła o tym swojego byłego męża. Dostała na to depezę z odpowiedzią: „To nie jest mój syn”.

— Podłość! — Jolanta ponownie zaczerwieniła się.

— To jeszcze kaszka z mleczkiem w porównaniu z dalszym postępowaniem Karola Szczerbieckiego. Oburzona do żywego pani Helena, która wróciła do panińskiego nazwiska „Kowalska”, pod tym samym nazwiskiem zapisała swojego synka. Jak gdyby był nieślubnym dzieckiem. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, młoda matka zaczęła później otrzymywać od byłego męża po tysiąc złotych miesięcznie. Choć nigdy ani do niego, ani do sądu nie zwracała się o alimenty. Karol pieniądze płacił przez pewien czas, potem przestał, za to jego matka zawiadomiła byłą synową, że młody Szczerbiecki zmarł na białaczkę.

— Niewiarygodne!

— A jednak prawdziwe. Wtedy to właśnie Karol dopuścił się pierwszego przestępstwa. Dotychczas robił świństwa, teraz wszedł na drogę łamania prawa. Sfałszował swoje dokumenty: przerobił nazwisko „Szczerbiecki” na „Szczerbiński”. Jednocześnie wymeldował się z Leska, gdzie wtedy

pracował, w niewiadomym kierunku. To było przed zawarciem przez was związku małżeńskiego.

— Nie wierzę! — młoda kobieta była bliska płaczu. — Nie wierzę!

— Przez przeszło dwa lata nic się nie działo. Syn Karola, Januszek Kowalski, wyrastał na normalne, zdrowe dziecko. Położenie materialne jego matki powoli się poprawiało. Dorobiła się własnego mieszkania spółdzielczego, w pracy awansowała. Podjęła przerwane przed laty studia. Naturalnie już zaocznie. I oto w dniu ósmego czerwca chłopczyk, mający około czterech lat, zostawiony przed sklepem przez sąsiadkę, która dorywczo opiekowała się nim, ginie bez śladu. Do Wisły stamtąd nie więcej niż sto metrów. Początkowo wszyscy, łącznie z nami, milicją, podejrzewali, że dziecko utonęło w rzece. Dopiero później ustalono, że małego porwano. Dokonała tego jakaś starsza kobieta przy pomocy kierowcy samochodu „syrena”. Dość starego, z plamami rdzy na błotnikach. Pani dobrze znała wasz dawny samochód?

Jolanta nie odzywała się ani słowem. Zakryła twarz rękoma.

— Sądziłem, że to matka pana Karola pomagała mu w kidnapingu. Dopiero dzisiaj z pani ust dowiedziałem się, że przestępstwa dopuścili się pani mąż i jego ciotka, Marta, zamieszkała w Myślenicach. Tam też zapewne ukryto uprowadzone dziecko, a później przywieziono je tutaj. To także wynika z informacji uzyskanej od pani. Kiedy pani Marta przywiozła Januszka?

— To było w lipcu.

— A więc ukrywała go u siebie przeszło miesiąc.

— Przysięgam, że nic o tym nie wiedziałam. To potworne. Gdybym się czegokolwiek domyśliła, zaraz odwiozłabym

dziecko matce — chociaż przyznaję, do Januszka zdołałam się bardzo przywiązać.

— To nie koniec — dorzucił Kaczanowski.

— Co jeszcze?!

— Rodzina Szcherbieckich początkowo myślała, że przyjęliśmy bez zastrzeżeń wersję o utonięciu chłopca. Kiedy jednak nasze dochodzenie ustaliło, że dziecko żyje, ale uprowadzono je, zaczęliśmy się interesować Marią Teresą, matką Karola. O nim samym wówczas myśleliśmy, że rzeczywiście nie żyje. To był nasz najpoważniejszy błąd. Z panią Szcherbiecką rozmawiał w Krakowie mecenas Mieczysław Ruszyński, który jako pełnomocnik Heleny Kowalskiej, pomagał nam w dochodzeniu. Starsza pani przestraszyła się i podniosła alarm. Jestem pewien, że we wrześniu przyjechała tu do was.

— Pani Szcherbiecką była w ubiegłym miesiącu aż dwa razy w Kościanie. Przyjeżdżała w odstępie kilku dni. Za pierwszym razem bawiła u nas prawie tydzień. Drugi raz dwa dni. Usiłowała nam wytłumaczyć, że powinniśmy Januszka z powrotem oddać na wychowanie jej siostrze Marcie, bo to na pewno dziecko ze złymi skłonnościami, nic dobrego z niego nie wyrośnie i będziemy mieli same przykrości. Z oburzeniem odrzuciłam jej propozycję. Tyle mówiła do mnie. Z synem rozmawiała także podczas mojej nieobecności. Domyślałam się, że dochodziło pomiędzy nimi do dużych zadrażeń. Za drugim razem wyjechała stąd nawet się nie pożegnawszy.

— To by się zgadzało. Pani Maria Teresa nie pochwałała porwania dziecka. Tak nienawidziła swojej byłej synowej, że niechęć przeszła na jej syna, a wnuka starszej pani. Dlatego też próbowała Karolowi wyperswadować wychowanie tego

dziecka. A zjawienie się drugi raz, za ledwie po kilkudniowej przerwie, to już był alarm, że milicja węszy za blisko. Ten alarm, niestety, nie poskutkowało, jedynym bezpośrednim jego następstwem było nowe przestępstwo, popełnione już samodzielnie przez pani męża.

— Jakże znowu? — przestraszyła się pani Jolanta.

— Mąż pani pod koniec września wyjeżdżał do Warszawy?

— Nie — zaprzeczyła młoda kobieta.

— Cały czas we wrześniu był w Kościanie?

— Nie było go cztery dni. Wyjeżdżał służbowo do Poznania. Wyjechał, o ile mnie pamięć nie myli, dwudziestego piątego rano i wrócił w piątek, dwudziestego ósmego po południu.

— Wyjechał, oczywiście, samochodem? Jeszcze wtedy mieliście „syrenę”?

— Tak. Samochodem. Do Poznania najwygodniej autem.

— Jestem pewien, że pani mąż nie był w Poznaniu. Zresztą to łatwo będzie sprawdzić. Pojechał do Warszawy i tam w czwartek, w godzinach popołudniowych, działając tym razem samodzielnie, porwał następne dziecko. Trzyletniego chłopczyka, Kazimierza Gumińskiego.

— Jezus, Maria! — wykrzyknęła Jolanta. — Po co?

— Żeby wprowadzić w błąd milicję. Stworzyć złudzenie, że istnieje jakaś banda lub jakiś samotny przestępca, który porywa małe dzieci, a rodzina Szczerbieckich nie ma nic wspólnego z tymi zbrodniami.

— A co z małym?

— Na drugi dzień rano mąż pani odwiózł dziecko pod dom, w którym mieszkają jego rodzice. Nie muszę pani dodawać, że na wiadomość o nowym wypadku kidnapingu



postawiliśmy na nogi milicję w całym kraju. Znowu poszły w świat komunikaty nadawane przez radio i telewizję. Tysiące ludzi rzuciło swoją pracę, żeby szukać chłopczyka i porywaczy.

— To potworne.

— Czy ktoś z waszych znajomych ostatnio wyjeżdżał za granicę? Na przykład do Anglii? W każdym bądź razie na Zachód?

Młodą kobietę zdziwiło pytanie oficera milicji.

— Mój brat jest właśnie w Anglii. Wyjechał tam na trzy miesiące, na zaproszenie rodziny. Chciał wybrać się wcześniej, ale coś mu się nie składało, potem nie było miejsca w samolocie, dość że wyleciał do Londynu z Warszawy piątego października.

— A przedtem był u was?

— Pan major wszystko wie.

— Nie wiedziałem, po prostu domyśliłem się.

— Rzeczywiście Mundek, brat, mieszka we Wrocławiu, jechał do Warszawy przez Poznań, bo chciał skorzystać z okazji i odwiedzić nas tutaj. Nie widziałam go przeszło rok, w Kościanie on w ogóle u nas nigdy nie był.

— Korzystając z wyjazdu szwagra do Anglii, pan Karol wpadł na nowy pomysł. Dał mu list adresowany do swojej byłej żony z prośbą o wrzucenie go do skrzynki pocztowej w Londynie.

— Ale po co? — młoda kobieta z apatią przyjmowała nowe ciosy, które spadały na nią w miarę opowieści majora Kaczanowskiego.

— Znowu tylko po to, aby utrudnić dochodzenie milicyjne. W tym liście, pisanym na maszynie, która, jak przypuszczam, znajduje się w miejscowym POM-ie, anonimowy nadawca zawiadomił matkę Januszka, że jej porwane

dziecko znajduje się chwilowo w Anglii, skąd zostanie wywiezione przez jakiegoś amerykańskiego milionera do Stanów Zjednoczonych. Wszelkie więc usiłowania odnalezienia chłopczyka są z góry skazane na niepowodzenie. Anonim wielkodusznie obiecuje strapionej matce paczki zagraniczne w zamian za utraconego synka.

— Nie mogę tego dłużej słuchać. Proszę, niech pan przestanie!

— Właściwie to już wyczerpałem rejestr grzechów Karola Szczerbieckiego vel Szczerbińskiego. Pozostają do wyjaśnienia techniczne szczegóły popełniania poszczególnych przestępstw. Najbardziej mnie jednak dziwi — stwierdził major — że pani Marta Biedrzycka, która przecież sama jest matką dwojga dzieci i babką wnuczków w wieku mniej więcej Januszka, dała się namówić na wzięcie udziału w takiej awanturze. Może ją to drogo kosztować. Wprawdzie jestem tylko milicjantem i nie do mnie należy orzekanie o winie i karze, boję się jednak, że w takiej sprawie sąd oceni udział tej kobiety w zbrodni z całą surowością prawa. Prędkiej dla ojca znajdzie jakieś okoliczności łągodzące.

— W pewnej mierze rozumiem postępek pani Marty. Dla niej Karol był uosobieniem pewnego ideału. Zarówno syn, jak i córka tej kobiety, nie spełnili jej ambicji. Oboje nie chcieli się uczyć, z trudem przebrnęli przez powszechniak i jakąś zawodówkę. Ona jest ekspedientką w miejscowym geesie, on to trochę więcej niż zwykły robotnik w jakimś zakładzie przemysłowym w Myślenicach. W przeciwieństwie do nich, Karol był zawsze dobrym uczniem, grzecznym i posłusznym synem, wspiał się na szczyt drabiny społecznej. Został inżynierem, sięgnął po stanowisko dyrektorskie. Jako dziecko i

później jako uczeń stale przebywał u ciotki w Myślenicach, miała więc okazję porównywać tego chłopca ze swoją dwójką. Jako człowiek dorosły, musiał imponować tej kobiecie. Skoro prawdą są te straszne historie, które usłyszałam od pana majora, nie dziwię się, że nikt inny z rodziny, tylko właśnie Marta pomagała mu w tym działaniu.

— A matka?

— Matka na pewno nie. W przeciwieństwie do pani Marty, miłość Marii Teresy do syna ma w sobie coś zachłannego, powiedziałabym nawet samolubnego. To nie miłość, lecz szczęście posiadania. Dla niej syn był i jest jej wyłączną własnością. Tak jak każdy mebel w tym zagraconym mieszkaniu. Taki mebel można przesuwać z miejsca na miejsce. Karol zawsze jej słuchał, zawsze liczył się z jej zdaniem. Teraz wiele zrozumiałam. To nieprawda, że teściowa nie zaakceptowała pierwszej żony Karola ze względu na jej pochodzenie. Bo czym lepsza jest „kolejarzówna” od „listonoszówny” z Puław? Przecież ja jestem córką zwrotniczego ze stacji Kraków-Płaszów. Różnica nie do przyjęcia dla Marii Teresy polegała na tym, że tamtą dziewczynę Karol sam wybrał i nie zapytał matki o pozwolenie poślubienia jej. Ze mną było inaczej. Najpierw poznałam swoją przyszłą teściową, dopiero później jej syna. I to właśnie starsza pani parła do naszego małżeństwa. Z tych samych powodów ta kobieta musiała się przeciwstawić planom wzięcia na wychowanie przez nas dziecka Karola z jego pierwszego związku. Byłaby przeciwna nawet wtedy, gdyby Januszka nie uprowadzono od matki, tylko wszystko załatwiono formalnie, za zgodą obu stron.

— Rozumiem. Może pani ma rację? Mój przyjaciel, mecenas Ruszyński, prawie od początku wykluczał udział pani

Szczerbieckiej w przestępstwie. Jeżeli dopuszczał tę myśl, to motywował wyłącznie nienawiścią.

— Nienawiść wynikała z naruszenia prawa posiadania.

— Możliwe.

W tym momencie zza okna dobiegł warkot samochodu. Przed domem zatrzymał się nowiuteńki „trabant”. Wkrótce do mieszkania wszedł mężczyzna średniego wzrostu, dość przystojny, trochę za tęgi i z ogorzałą twarzą, jak to zwykle bywa u ludzi spędzających wiele czasu na wolnym powietrzu. Na widok dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu i milicjantów w mundurach odruchowo się cofnął, ale już nie miał odwrotu. Pomimo opalenizny, wyraźnie zbladł.

— Obywatelu Karolu Szczerbiecki vel Szczerbiński jest pan zatrzymany do dyspozycji władz prokuratorskich pod zarzutem popełnienia następujących przestępstw: fałszerstwa dokumentów osobistych, porwania dwojga dzieci, a to: w dniu ósmego czerwca Januszka Kowalskiego i w dniu dwudziestego siódmego września Kazimierza Gumińskiego, oraz o usiłowanie wprowadzenia w błąd władz prowadzących dochodzenie w tych sprawach — major wygłosił tradycyjną formułę aresztowania przestępcy.

Zaległo ciężkie milczenie.

— Powiedz coś! — Jolanta zerwała się z krzesła. — Zaprzecz! Broń się!

Karol milczał.

Kobieta zaniósł się głośnym szlochem.

## Rozdział XVIII

### Rude są fałszywe

To był piękny dzień. Jak na październik, wprost wyjątkowy. Ciepło niczym w lipcu. Ostatni chyba upalny dzień roku. Prawdziwa „złota jesień”. Nic więc dziwnego, że ulice i parki Warszawy zaroily się barwnie ubranym tłumem mężczyzn, kobiet i dzieci. Jedni wybierali się na spacer, inni po różne zakupy, a większość po prostu korzystając z pięknej pogody bez specjalnego celu wyległa na świeże powietrze. W taki dzień grzechem byłoby siedzieć w domu. Tym bardziej że to już ostatki lata.

Adwokat Mieczysław Ruszyński nie śpiesząc się, wolnym krokiem szedł ulicą Kruczą. Czasem przystanął przed jakąś wystawą, aby obejrzeć coś, co przyciągnęło jego wzrok. Miłali go ludzie; dziewczęta jeszcze z wakacyjną opalenizną, przeważnie wysokie, zgrabne i ładne.

Jak to dobrze — stwierdził w myślach Miecio — że długich nóg nie zasłaniają te obrzydliwe, do kostek sięgające kiecki, które jakiś paryski dom mody usiłował wylansować przed dwoma laty! Przynajmniej jest na czym oko oprzeć.

Mecenas zerknął na zegarek. Jeszcze nie było czwartej. Miał więc masę czasu. Nareszcie zdołał się umówić z pewną dziewczyną. To ta, która niekiedy w gronie kolegów i koleżanek siadywała w kawiarni „Szanghaj”, ale zawsze ciekawie i życzliwie spozierała na Ruszyńskiego, ilekroć ten szedł schodami na górę, do restauracji. Miecio od razu zauważył te spojrzenia i uśmieški, lecz tak się pechowo składało, że nigdy nie mógł poderwać ślicznego kota. Albo on był w

towarzystwie, albo dziewczyna była tak obstawiona, że ani do niej przystąpić. Trwał ten mały flirtik na odległość już chyba z miesiąc. Aż wreszcie...

Umówił się z nią o wpół do piątej. Naturalnie także w swoim ulubionym „Szanghaju”, ale nie w kawiarni, tylko na górze. Miecio nie znosił kawiarni. Gdyby mógł, pozamykałby wszystkie te „przybytki próżniaczego bytowania”. Albo jeszcze lepiej, kazałby je przerobić na restauracje. Oczywiście nie na te straszne knajpy, gdzie tylko wódka i śledź, ale na przytulne małe restauracyjki, w których kelner wita ukłonem i życzliwym uśmiechem miłych gości — stałych klientów, a gdzie kucharz w wysokiej, niepokalanie białej czapie przychodzi do stolika, aby jak szef sztabu generalnego z naczelnym wodzem omówić wszelkie szczegóły bitwy. Łza się w oku kręci! Gdzie się podziały zaciszne lokaliki, starzy dobrzy kelnerzy i kucharze?

Naraz Ruszyński zwolnił kroku. Przed nim szła para. On wysoki, postawny, o ciemnych, z lekka sfalowanych włosach. Ona zgrabna, szczupła. Ładna noga i przepiękne włosy koloru złota stopionego z miedzią. Miecio wiedział, że twarz tej kobiety mogłaby służyć starym włoskim mistrzom do modelu ich Madonn. Znał przecież tych dwoje.

On coś jej opowiadał. To musiało być wesołe, bo piękna pani śmiała się i, przytulona do mężczyzny, patrzyła mu w oczy, nie dostrzegając tuż, tuż idącego mecenasa.

Miecio zapamiętał tę piękną twarz. Jakże niedawno widział, jak po tych policzkach toczyły się łzy. Jeszcze miał w uszach słowa: „Jak ja się panu mecenasowi zdołam kiedykolwiek w życiu odwdziżyć”.

Uśmiechnął się gorzko.

Janusz Kaczanowski to wspaniały chłop. Adwokat przekonał się o tym. Początkowo darli ze sobą koty, ale później współpraca ułożyła się lojalnie i można powiedzieć, że nawet bardzo dobrze. To otwarta głowa, Ruszyński nie miał do niego pretensji, że w toczącym się dochodzeniu ostatnie słowo przypadło właśnie oficerowi milicji. Wróżył mu dalszą, wielką karierę. I przecież on sam poradził majorowi, co ma zrobić z tamtymi trzema goździkami... Nie żałował mu teraz tej randki.

Jednakże minął przeszło tydzień od powrotu do domu małego Januszka Kowalskiego. Piękna pani tak się widocznie cieszyła swoim szczęściem, że nie znalazła chwili czasu, aby pomyśleć o mecenasie, spotkać się z nim osobiście, bo cóż znaczy te kilka słów konwencjonalnego podziękowania przez telefon. A przedtem potrafiła dzwonić i po dwa razy dziennie do zespołu lub do jego prywatnego mieszkania...

Miecio nawet przez chwilę nie pomyślał o nieuregulowanym w kasie zespołu adwokackiego honorarium. Ostatecznie nigdy nie przywiązywał większej wagi do pieniędzy. Zawsze traktował je jedynie jako środek napędowy pogoni za pełnią życia. Ale teraz, kiedy ujrzał panią Kowalską uradowaną i szczęśliwą, zabrakło mu kilku słów osobistego podziękowania.

Przystojna, tak dobrana para zatrzymała się na narożniku Kruczej i Wspólnej. Czekali na zmianę świateł. Zapewne szli do „Grandu”. Może oblać sukces zdolnego, wybijającego się majora z Komendy Stołecznej MO?

Mieciowi nie pozostało nic innego, jak skręcić w przeciwnym kierunku. Nagle poczuł, że ma dosyć tego spaceru w promieniach jesienno słońca. Postanowił: od razu pójdzie do „Szanghaju”. Ten kwadrans czy pół godzinki zaczeka

przy stoliku, przy szklance piwa. Może dziewczyna zjawi się punktualnie?

Podobała mu się. Wprawdzie nie ma tak pięknych rudych włosów jak kobieta, która teraz wchodzi właśnie do „Grand Hotelu”, ani nawet jak ta ostatnia, co go niedawno w tej samej knajpie wystawiła do wiatru z jakimś Szwedem, ale... Ta była czarna jak kruk. Może to i lepiej?

— Rude są fałszywe!

Miecio powiedział te słowa tak głośno, że jakaś mijająca go dziewczyna, także o złotawym odcieniu włosów, przystanąła i obejrzała się. Czego od niej chce ten elegancki starszy pan?

A on po prostu zapomniał, że różnica polega tylko na innym kolorze farby.

Swoją drogą właśnie był poniedziałek. Miecio nie bez racji więc twierdził zawsze, że najgorszy jest poniedziałek.



## SPIS ROZDZIAŁÓW

I. Zły dzień mecenasa . . . . .	5
II. Nikt nic nie wie	11
III. Pierwsze kroki	25
IV. Major Kaczanowski wznawia dochodzenie .	37
V. Tajemnica cukierka „Bajeczny”	46
VI. Dyplomatyczne zabiegi pułkownika .	59
VII. Po sukcesach porażki	66
VIII. Masz, Cyganie, świadka? .....	75
IX. Wyprawa do Słupska .....	90
X. Kraków po raz drugi	105
XI. Tajemnica rozwódki .	115
XII. Znowu ginie dziecko	124
XIII. Wróżby mecenasa Ruszyńskiego	137
XIV. Straszna wiadomość	148
.XV. List z zagranicy	165
XVI. Zmarłych zmartwychwstanie	171
XVII. Januszek wraca do matki	179
XVIII. Rude są fałszywe	196